

HELENA MNISZEK

ORDYNAT MICHOROWSKI

POWIEŚĆ

WYDANIE TRZYNASTE



W POZNANIU
WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA NAKŁADOWA KAROLA RZEPECKIEGO
Sp. z o. o.
1930

TEJŻE AUTORKI:

TREĐOWATA	wydanie	piętnaste
GEHENNA	„	dziesiąte
PANICZ	„	siódme
PUSTELNIK	„	czwarte
VERTE	„	piąte
KROLOWA GIZELLA	„	trzecie
DZIEDZICTWO	„	drugie
ZASZUMIAŁY PIORA	„	trzecie
KSIĄŻĘTA BORU	„	trzecie
PLUTON i PERSEFONA, baśń fantastyczna		
KWIAT MAGNOLJI		
PRAWA LUDZI		
SFINKS		
POWOJENNI		

Plomień rósł, potężniał. Jaskrawe języki, wymykając się zdradziecko z szarych mas budowli, strzelały w górę śmiałym pędem. Jak żmije kurczą i prostują swe ślizkie cielska do skoku, tak rozżarte bicze ognia, skotłowane w kłębek, rozwijały się gwałtownie i parły z wściekłą zjadłością coraz wyżej do szczytów.

Wark i świst złowrogi brała w siebie noc marcowa; szare masy fabryczne, spiętrzone kominy — rysowały się nikle w czarnych przestworzach. Teraz otaczał je u dołu krwawy wieniec, niby z krzewów koralu, ale ruchomy, szarpiący się w żądry niszczenia. Straszliwe gzygzaki pełzły węzowym skretem, przeżyły się, buchając grzywą purpury i złota. I rosły jak tytany, i szalonym tańcem rozchychotanych demonów goniły za sobą, łącząc w piekielnych uściskach rozwielnione, żarłoczne cielska.

Już nie krzewy koralu, lecz rozpasane fontanny ognia otaczały budowle. Zapaliło się niebo, różowe płachty na chmurach wchłaniały czerwień. Pożoga nabrała rozpędu, waliła w czeluść nocy hukiem, przerażającym gwizdem ognistych batów; niosła w czerwone obłoki olbrzymy dymów. Rozjaśniła się okolica, morelowy odblask lunął na śniegi. Pożar sypał potokami iskier. Deszcz z gwiazd purpurowych i złotych, ciskanych z żywiołową furją zarażał inne dachy, opalał drzewa. Wulkan wybuchał za wulkanem. Kilka ich ziało potężnie, rozlewając się w bezmierny ocean fal.

Sadza dymów rosła w bór, zbity, huczący, ziemia wydała głuchy jęk, szedł po niej grzmot, niby dreszcz przerażenia.

Żywioł szalał. Ostre gwizdawkę sygnałów umilkły, mrowisko ludzkie cofnęło się w popłochu. Wielki dzwon alarmowy wydawał krótki urywany krzyk.

Gore! Gore!

Kaski strażaków migają w tłumie jak pochodnie. Wiły się nad głowami przerażonych ludzi grube węże sikawek, warczały cienkie tasiemki wody, ginąc w otchłaniach ognistych.

Trzask tryskających pomp zagłuszały ryczące kłębiska szatanów.

Okropność bezmierna ogarnęła ludzi. Szalony strach skuwał ich na miejscu. Paliły się niebo i ziemia.

I coraz słabiej, ciszej, boleśniej wołał dzwon resztkami sił: Gore! gore!

Nagle niebem, powietrzem, ziemią szarpnął gwałtownie straszliwy huk. Ludziom zdawało się, że ziemia wysadzona dynamitem.

Ze środka rozpalonego muru wielkiego budynku, wybuchnął niebieskofioletowy słup ognia, znów się skórczył, rozwalił mur i, jak lava z wulkanu, runął po stoku góry niebieską rzeką palącego się spirytusu.

Pękł zbiornik w gorzelni.

Pożar przy błękitnej szarfie płynącego alkoholu stał się żółtym i jakby zmałał. Wykwitły z pożogi bukiet płomieni odmiennej barwy zaćmił go na chwilę. Lecz nie zmniejszył, — żądza niszczenia rwała z siłą naprzód.

.

Tłum ogarnęła panika. Ludzie z wrzaskiem uciekali przed pędzącą rzeką spirytusu. Szał zawładnął żywiołem i ludźmi. Potop, zawieja ognia do oblędu doprowadziła umysły. Tłumy darły się, przewracały, biegnąc na oślep i wpadając na siebie. Szloch, krzyk ludzki zmniejszały się chwilami, i wówczas słyhać było pojedyncze głosy, tu i tam rozsiane, głosy stanowcze, fanatyczne. Czasem pod wpływem mówców, kilkadziesiąt pięci wznosiło się ponad głowami, wygrażając strażakom. Inni z przekleństwem grozili w przeciwną stronę pożogi. A pojedyncze głosy w przerwach łomotu, trzasku, świstu płomieni, dominowały ciągle.

— Zabiją nas — szeptali strażacy.

— Ratować! — brzmiała komenda dowódcy.

— Nie uratujemy.

Pożar huczał, jak tysiące trąb powietrznych.



II.

— Romny palą się! Gorzelnia ordynacka płonie! Parowe młyny! — rozlegały się po okolicy przerażone głosy.

W jaskrawem świetle pożogi bieleły w oddali mury bliższych folwarków. Jasność, żar piekący rozdzielał noc na daleką przestrzeń.

Śniegi, leżące blisko ognia, stały, w brudnych kałużach odbijając gorące łuny. Rozżarzone główne, warkocze iskier — z sykiem grzęły w błocie, buchając resztkami ognia, jak zmęczone bestje pianą. Zdawało się, że słońce spadło na ziemię, rozprysło i skłębia się, ciska w górę, rzucając dokoła swe zabójcze pasma, niby macki potworu.

Wyniosłe baszty i wieżycy ordynackiej siedziby rozblwały w świetle.

Róż wsiąknął w mury; krwawo świeciły szyby okien.

Z wielkiej bramy sklepionej wypadł ostrym galopem mały orszak konnych, i gnał do pożaru fantastyczny, jak hufiec upiórów. Na czele biegł koń czarny, zziębnięty, z rozwianą gęstwą ogona i grzywy. Pożar grał mu w źrenicach; nozdrza niosły pochodnie. Cwałował naprzód, świecąc marmurową piersią. Unosił na grzbiecie smukłą sylwetkę jeźdźcy, w rozniesionej przez pęd burce, spiętej tylko na ramionach.

Już dopadali pożaru, gdy zastąpił im drogę inny jeździec, bez czapki, z osmaloną czupryną i okopconą twarzą. Konie, wstrzymane gwałtownie, stanęły dęba. Zapytania i odpowiedzi skrzyżowały się:

— Jaki powód?

— Podpalone... wszystkie rogi zajęte. Obcy ludzie... dowodzą agitatorzy!

— Wszystkie straże są?

— Tak panie ordynacie.

— Ratować domy robotników i służby; od fabryk odstąpić. Żywo!

— Młyny zgorzały. Ale spirytus, panie ordynacie!...

— Słuchać komendy. Ludzie ważniejsi. Na miejsce Badowicz!

Głos brzmiał spokojnie, lecz stanowczo.

W tej chwili właśnie pękł zbiornik alkoholu. Oślepiająca rakietą, piorunowym grzmotem cisnęła się pod różowy strop nieba i potoczyła z góry, warcząc przeraźliwie, wprost na ordynata.

Olbrzymi strzelec i dwaj inni gwałtownie odciągnęli karego wierzchowca daleko na stronę. Oniemieli z przestachu, bladzi, wydali okropny okrzyk zgrozy.

— Panie ordynacie... dalej... dalej! — Tu ogień dosięgnie!

— Dziękuję wam. Brunon i Jur do pożaru; ratować mieszkania! Pan do naczelnika straży na pomoc.

Łowczy Urbański skłonił się.

— Ale, panie ordynacie: samemu niebezpiecznie... obcy ludzie... bunt.

— Proszę być spokojnym.

Ordynat został sam. Silnie trzymał rozgorączkowanego konia, lecz Apollo walił kopytami, bryzgając błotem. Chrapał wściekle, przysiadał na tylnych nogach, z nozdrzy ział ogniem.

Z pod czarnej czapki ordynata szare oczy błyszczały jaśnią pożaru. Brwi miał zmarszczone w gęsty łuk. Smągła, szczupła twarz zabarwiła się ogniście. Patrzył w rozpętaną przemoc ognia spokojniej od Apolla, tylko nozdrza latały mu prędko, podniecone wewnętrzną gorączką i swędem spalenizny.

— Co ja im zrobiłem?... Czy to zemsta? Za co... myślał poruszony.

— Agitatorstwo... bunt... Więc fala przyszła i tu!

Uśmiech ironiczny błąkał się na jego ustach, przemknął po wydatnych rysach i zawieją sarkazmu omglił szare źrenice.

— Bydło! — wyrzuciły skrzywione wargi. — A przecież mają naukę; daję im ją — myślał z goryczą.

— Owczy pęd! I jeszcze słabe mózgi!

Już był podniecony ideą ocalenia zbłąkanych tłumów.

Ostrogami trącił Apolla, ruszył obcesem w huczące masy ludu, w burzę ognia i dymów.

Lecz powstrzymał go olbrzymi Jur, chwytając konia za uzdę.

— Jaśnie panie!... tam nie można... tam grożą... przeklinają.

Ordynat parł naprzód.

— Kogo przeklinają? Mnie?

— Jaśnie pana... to podlecycy!

— No dobrze. Mówiłem ci: ratować mieszkania! Ruszaj do pożaru!

— Jaśnie panie...

— Ruszaj!...

Głos ordynata zasyczał, Jur znikł w tłumie.

— Zabawna historia! myślał Michorowski. — Tego jeszcze nie widziałem. Ciekawym!

I z uśmiechem lekceważącym wtłoczył konia w skłębione rojowisko ludzkie.

III.

Jur, ukryty przed wzrokiem ordynata, czuwał jednak, z dłonią nieznacznie umieszczoną na kolbie rewolweru. Słyszał gorące mowy agitatorów, którzy wygrażali na panów i milionerów; widział wzburzony tłum, zaciśnięte pięści i bał się o ukochanego pana.

Bali się również naczelnicy straży ogniowej i cała inteligencja administracji, zgromadzona przy ratunku.

Najspokojniejszym był ordynat. Na swym groźnym wierzchowcu jechał poważny, dumny, rozsuwając piersią końską zbite gromady robotników i służby folwarcznej. Spotykanym strażakom dawał krótkie, donośne rozkazy i wolno mijał tłumy nie zwracając na nie najmniejszej uwagi. Całą akcję ratunkową skierował na domy zamieszkane; od fabryk odstąpili wszyscy.

A ludzie oniemieli na jego widok.

Spokój i powaga ordynata wywołały podziw ogólny. Zaczęto ustępować mu z drogi z pospiechem. Tu i tam jakaś ręka, rozwijając zaciśniętą pięść, nieśmiało zdejmowała czapkę z głowy. I ukłonów takich było coraz więcej. Przekleństwa cichły, w oczach gasły żary wściekłości. Tłum zakołysał się wydając już z siebie zaledwie głuchy pomruk zdziwienia.

Niespodziewano się tu ordynata.

Na widok jego wyniosłej postaci na koniu, jego twarzy jak z lodu wykutej, bez cienia lęku w oczach, przeciwnie, z szyderstwem widocznym nawet dla ogółu, agitatorowie zamilkli. Jakiś majestat ich zagłuszył. Setki oczu wpiło się w jadącego pana ze strachem, z nagle obudzoną pokorą. Wydał im się karcącym duchem, który ich zgniecie do ziemi. Widny dla tłumów, górował nad nimi, oświetlony pożogą, pewny siebie, drwiący. Nawet trochę zawiedziony zachowaniem się wyjących przed chwilą groźnych mas.

W tem z oddalonej gromady robotniczej odezwał się zachrypły głos i począł wołać tubalnie:

— Burzuj! burzuj! milioner! Nie dajcie się, bracia!... Okradacz biednego narodu!... Pączek w maśle!... Spalić go, zra-

bować!... Kto mu się kłania, temu kula w łeb... bracia, to burżuj... Niech żyje komuna!... Zgładzić panów!...

Głos agitatora zmienił się w ryk; odpowiedziało mu kilka pojedynczych okrzyków z tłumu i głucha cisza. Tylko palące się swobodnie fabryki huczały rozszalałym płomieniem.

Ordynat ani drgnął. Jechał dalej, lecz na jego ustach uśmiešek ironiczny wzmógł się, w oczach błysnął humor.

Zalęknione gromady ludzi, podbudzone nowym krzykiem agitatora, zaczęły się tłoczyć, popychać. Niektórzy wpadli w ogień; rozległy się wrzaski duszonych. Na kilku zapaliło się ubranie.

Powstała panika, którą spotęgowało jeszcze walenie się przepalonych murów.

— Burżuj!... burżuj! wyzyskiwacz biednych! Truteń!... — ryczał rozjuszony głos w oddali.

Gromady, zewsząd popychane, otoczyły Apolla, zwartą, ciężką bryłą ciał ludzkich. Koń wyrzucał głową, zaczął bić kopytami.

Coraz więcej duszonych głosów wychodziło z tłumu. Wielki komin gorzelni, czerwony jak rubin, chwiał się u podstawy. Groza straszliwa wleciała tu wichrem i rozniosła trwogę.

Ordynat stanął w strzemionach, podniósł rękę, i wskazując błyszczącą, błotną przestrzeń poza ogniem, zawołał donośnie:

— Kto nie ratuje... tam!... marsz!... Wolno... wolno... Ustępować... nie tłoczyć się... Wolno!...

Głos ponury nie milknął:

— Burżuj... Śmierć mu!...

W okropnym gwarze ludzkim, w szumie fali ognia — rozległy się dwa suche trzaski rewolwerowe, jeden po drugim: traf! traf! — odczute raczej instynktem, niż słyszane. Dwie kule świsnęły powyżej ordynata. On lekko przybladł, lecz nie tracąc spokoju wołał, dalej stojąc w strzemionach:

— Wolno... wolno... W tył... wolno!

Posłuszne gromady szły w porządku, ale w oddali, skąd strzelano, rozległ się mrozący krew wrzask ludzki. Krzyki przeszły w ryk, w wycie dzikich zwierząt. To rozjuzzone tłumy robotników goniły uciekającego agitatora, pragnąc zemścić się za strzały.

Te dwa trzaski rewolwerowe były przesileniem na korzyść ordynata. Oburzenie graniczące z obłędem ogarnęło lud. Żądza zemsty za ukochanego pana zagłuszyła wszelkie uczucie ludzkie. Bo w tym tłumie obalamuconym, ogłupiałym, miłość do ordynata buchnęła na nowo, jakby odrodzona.

W tej chwili wszyscy w najwyższym przerażeniu zrozumieli, że nad uciekającym przybyszem może się spełnić sąd doraźny. Ale ordynat runął z koniem naprzód; wyprostował się na siodle i prze-
rażliwie gwizdnął.

Dopadło go kilku strażaków.

— Nie pozwolić na rozlew krwi... Żywo tam! Wyrwać go z tłumu! — krzyknął z płomieniami w oczach.

Gdy strażacy skoczyli co tchu spełnić to polecenie, ordynat znów jął wolno wypuszczać zdumione gromady z pogorzelska.

Prawie wszyscy już byli poza pożarem, gdy z łoskotem zawalił się przepalony komin. Stęknęła ziemia pod nowym obuchem. Komin rozsypał dokoła mnóstwo rubinowych cegieł i olbrzymie łomy gruzów. Cały pusty plac wśród płomieni zajaśniał żarem. Teraz już ogień, dym siwo-czarny, skołtuniony, gryzący, zamieć sypkich iskier: wszystko zbiło się w masę, w ogniste cielsko, miażdżyło się wzajem, pożerało.

Do ordynata przycwałował naczelnik straży głębowickiej, wołając:

— Ocalony od mordy, ale ciężko ranny. Wzburzenie ogromne. Pilnują go strażacy. Co robić?...

— Jak się zachowuje? Czy chce zbiedz?

— Nie może: pokaleczone ma nogi i zbity.

Ordynat pomyślał chwilę.

— Odnieść go do naszego szpitala.

— Jakto, panie ordynacie?! Do... naszego?...

— Tak!

IV.

Żywioł przycichał. Już tylko gdzieniegdzie wystrzelał słup jaskrawych płomieni. Otchłań ognista rozlała się nisko przy ziemi kończąc piekielne dzieło.

Dogorywała gorzelnia, zabudowania jej i młyny parowe. Zdołano zaledwo w części uratować mieszkania robotników.

Sikawki parowe i ręczne działały bez przerwy; straże z Głębowicz, Słodkowic i Romnów, a także straż z Obronnego nie ustawały w pracy. Ale żar i mnóstwo rozpalonych głowni utrudniały ratunek. Pogorzelsko otaczał obóz ludzki; naród napływał gromadnie z okolicznych folwarków i wsi. Jedni biegali ratować, inni wyrzekali głośno.

Szloch poszkodowanych napełnił powietrze. Rozległy się przekleństwa i ciężkie westchnienia zachrypłych piersi. Głosy, nad niepojętą dla tych ludzi dobrocią ordynata, rozbrzmiewały donośnie. On ich nie słyszał. Stał oddalony od pożaru — w otoczeniu kilku powozów z okolicy i konnych mężczyzn. Rozmawiał z hrabstwem Trestka, również na koniach. Był nawet wesół, tylko z lekką chmurą na czole.

Na wschodzie niebo zaczęło różowieć — inaczej niż luna, jaśniej, weselej. Słońce, blade, wznosiło się w górę, przysłonięte dymami pożogi. Mętny dzień rozświetlał zmęczone twarze zielonym blaskiem.

Przerażenie zastygło w rysach ludzi, kopeć osiadły na skórze i ten trupi refleks marcowego dnia w samym zaraniu, nadawał zgębnionym gromadom wygląd niebożczyków.

Hrabia Trestka mówił do ordynata:

— Straszny objaw ten pożar! Jeśli lotry zdołały podburzyć do tego stopnia pańskich ludzi, to, dalibóg! koniec świata. Cóż mówić o mnie?... Chyba zemknę za granicę.

— No, w tej okolicy nieprędka się taka rzecz powtórzy — rzekł w zamyśleniu ordynat.

— Ajej! To samo mówiliśmy po dewastacji w Szalach. Czemu nie? — fala płynie. Pana oni kochają, a jednak... No, i moją Ritę kochają w Ożarowie; może przez nią i mnie oszczędzą.

— Nie licz na to — odrzekła hrabina.

— Ale wie pan, co mi się zdaje?... — mówił Trestka. — Gorzelnia padła ofiarą głównie dlatego, że spirytus denaturowany. Inaczej łajdaki rozbiliby tylko kufy, aby się spić.

Ordynat machnął ręką.

— To na jedno wychodzi.

— Wcale nie: bo-by się pochorowali przynajmniej: a zresztą spitych powięzało by się jak baranów i do policji. O szelmy! Do czego to teraz dochodzi? Sapristi! Jabym wiedział jak z nimi postąpić.

Hrabina Rita rzuciła na męża niechętnie spojrzenie, gorycz ugryzła ją w serce boleśnie.

Ona odczuła co myślał w tej chwili ordynat. Wzrok jego błędził po rumowisku dymiących węgli, jakby szukając, nie kary, lecz pomocy dla ciemnych nizin ludzkich, które siłą konieczności wywołanej nędzą, sybarytyzmem możnych, idą na oślep za tymi co ukazują im raj poza gruzami. Żądza, jeśli nie równości, to

choć sprawiedliwości materialnej, pędzi tych domniemyanych wodzów do czynów krwawych i otumanienia tłumu.

Ordynat wzdrygnął się. Inna myśl napłynęła mu do mózgu.

— Jednak świetną była groza wybuchu! Ale cóż za widok! — mówił Michorowski.

Pani Rita patrzyła na niego zdumiona.

— Podziwiam pana. W takich warunkach mógł pan zachwycać się widokiem?...

— No, jeszcze wtedy nie strzelano do mnie.

— Ależ sama groza... Okropność!

— Cóż pan zrobi z tym ptaszkiem, skoro wyzdrowieje? — zapytał Trestka.

— Ha! pójdzie w świat. Może się poprawi...

W tej chwili przygalopował gorzelany. Stał przed ordynatem z wahaniem mnąc kapelusz w rękę.

— Co tam nowego?

— Robotnicy chcą przeprosić pana ordynata — rzekł nieśmiało. — Wszyscy co do jednego są zawstydzeni i upokorzeni. Mówią, że ich obalamucono.

— Bardzo wierzę — rzekł ordynat — gdyż inaczej nie gubiliby samych siebie.

Gorzelany spojrział bystro i spuścił oczy.

— Czy mogą przeprosić?... — zapytał.

— Powiedz im pan: niech się najpierw wyśpią! ja ich sam zawołam.

Gorzelany skłonił się i odjechał.

— Jeśli istnieje państwo archanielskie to napewno u pana — zawołał hrabia Trestka. — Tym lajdakom udało się, że na pana trafili. Gdzieindziej poszliby wszyscy w dyby; nie mówiąc o agitatorze, który dłwno witałby się z Abrahamem.

— Źle mówisz, drogi — przerwała hrabina. — Wątpię, czy gdzieindziej za taki strzał lud pragnąłby krwi agitatora. Pragnienie zemsty nad nim to dowód oślepienia tych mas, lecz i miłości dla ordynata.

— Jednak ferment musiał się dawno szerzyć?...

— O tak! z początku nie słuchano podjudzań różnych wędrowców, zbito nawet paru; potem ogólny prąd pociągnął ku sobie. Dużo dopełniły broszury tajemnie rozdawane.

Ordynat umilkł, gdyż wiele osób z okolicy zegnało się z nim, odjeżdżając.

— Was zabieram do zamku — rzekł do hrabstwa Trestków. Dzień już był zupełny, gdy ordynat z swym orszakiem opuszczał pogorzelnisko. Rozpalone ruiny buchały jeszcze ogniem... Strażaków ordynat kazał zastąpić innymi ludźmi. Rozdzierano zgliszczą bosakami; kobiety zalewały pojedyncze ogniska wodą, dźwiganą niemal z pasją. Całą złość i żal tłum wywierał teraz na ogniu. Pastwiono się nad nim, obrzucano błotem, rwano w kawały. Nastąpiła istna orgja zawziętości. Kobiety wśród przekleństw ciskały się na płomienie, jak hyeny. Obraz przedstawiał okrutne zniszczenie rozpasanego żywiołu i zwierzęcą zemstę ludu. Ordynat miał na ustach ironiczny uśmiech.

— Nazywają moich ludzi kulturalnymi, a ot, patrzcie — rzekł do Trestków.

— Barbarzyńcy! Nie trzyma ich się kultura — odpowiedział hrabia. — Daremny trud. Najlepiej machnąć ręką.

— Nie: stale kulturę dawać, aż ich przetrawi — odrzekł Michorowski.

Pani Rita utkwiała w nim oczy, pełne uwielbienia.

Jechano w milczeniu po chrupkim śniegu, poplamionym czarnymi głowniami i kupami sadzy. Nagle hrabia zawołał:

— Jest! Idzie banda!

Ordynat, widząc zbliżających się robotników, skrzywił usta z niesmakiem.

— Czego oni odemnie chcą?...

W oczach odbiła mu się nuda. Był zmęczony.

Z jękiem, szlochaniem i chrzęstem kolan na śniegu, robotnicza gromada otoczyła Apolla. Klękano, całowano nogi ordynata; kobiety łamały ręce. Wrzaskliwa ruchoma ciżba błagała litości.

— Daruj, jasny panie! My ogłupieli!... Nas zdurzyli... Ale my wierni. Nie wypędzajcie, jasny panie... Nie szlijcie do turmy... Służyli będziemy darmo — gdzie jasny ordynat każe.

— Miłosierdzia, panoczku! litości! Darmo służyć będziemy — zawodziły kobiety.

Ordynat znudzonym ruchem poruszył głowę.

— Nie chcę waszej krzywdy, ale... nie lubię buntów.

— Miłosierdzia, panoczku! Nie wyganiaj nas... ratuj!

Skomlenia kobiet i błagające oczy mężczyzn, utkwione w ordynata, rozdrażniły go. Cisnący się tłum, czarny, osmolony sadzą, buchał spalenizną i surowym zapachem potu. Michorowski stracił

cierpliwość, nerwy odmawiały mu posłuszeństwa. Rzekł jeszcze spokojnie:

— Ja was nie wypędzam, ale teraz idźcie spać i mnie dajcie odpocząć.

Ruszył koniem naprzód.

Zdumieni jego spokojem i niespodziewaną obietnicą, ludzie stali w milczeniu. Gdy ocknąwszy się, posyłali za nim błogosławieństwa, ordynat był już daleko.

W zamku jednak nie położył się spać. Siedział w swym gabinecie, na fotelu, z głową opartą na ręku. Oczy zanurzył w wiszącym naprzeciw portrecie zmarłej narzeczonej — i tak pozostał długie godziny.

V.

W staroświeckim gabinecie w Słodkowcach cicho rozmawiało dwóch panów.

— Więc załatwiłeś się z nimi polubownie? To dobrze; ale czy się nie rozzuchwala? — pytał stary pan Maciej Michorowski.

— Zagroziłem wydaleniem w razie ponowienia buntu — odrzekł ordynat. Doszedłem całej sprawy: poprostu byli otumanieni. Zresztą nie oni podpalili. Główny błąd administracji, że pozwoliła na burzenie umysłów. Ostatecznie, mnie się nie stała wielka krzywda... ale robotnicy poszkodowani bardzo. Pomimo energicznego ratunku, cały dobytek poszedł z dymem.

— A ty ich pewno wspomóżesz? — rzekł staruszek z uśmiechem.

— No, skoro nie rozpedziłem na cztery wiatry, to tembardziej nie dam im zginąć z głodu. Młyny będę odbudowywał, więc robota dla nich jest na całe lato.

— I gorzelnię postawisz.

— Wątpię.

Ordynat zaczął chodzić wzdłuż gabinetu. Pan Maciej zamyślił się.

Po chwili spytał znowu:

— Podwyższyłeś im płacę?

— O nie! Tego-bym nie zrobił pod presją. Zresztą wynagrodzenie mają bardzo dobre, i sami o tem wiedzą. Prócz kilku narwańców, ogół nawet tego nie wymagał.

— A pamiętasz — w Szalach?...

Ordynat zatrzymał się.

— Tak, ale Ówilecki nie wypłacał swym ludziom inaczej, niż po dziesięciu terminach, i to po wielkich prośbach. Wogóle wszystkie warunki u niego były okropne.

Moim ludziom wytłumaczyłem bezzasadność ich postępków. Zrozumieli, są skruszeni i znowu służą mi z ufnością. Zawziętość natomiast przeciw agitatorom jest taka, że obawiam się rozlewu krwi w razie pojawienia się nowych.

— O, nowi nieprędko się pojawią!

Znowu umilkli. Waldemar chodził po gabinecie, pan Maciej patrzył w okno na szare drzewa parku i gromady trzepoczących się wróbli.

Głowa starca była zupełnie biała, białe wąsy i brwi, twarz pomarszczona, bolesna, plecy zgarbione. Przedstawiał ruinę człowieka. Tylko w oczach gorzała jeszcze dusza żywa, myśląca, chwilami tragiczna. Pomiedzy brwiami ból zastygł i wrył się w ciało głęboką brózdą. Po tym człowieku życie przeszło ciężkim kołem, zostawiając po sobie wybitne ślady walk i nieszczęść. Lecz najwięcej białego włosa na głowę a bolesnych brózd na czoło rzucił ponury dramat, który zgnębił jego wnuka. Zgon narzeczonej Waldemara stał się dla starca najostrzejszym kamieniem z życiowego młyna.

Teraz miał nowe zmartwienie i obawy o wnuczkę. Ocknął się z zamyślenia i rzekł:

— Otrzymałem list od Luci. Są z matką w Nicei, ale Lucia chce wracać do Belgji. Píše, że woli klasztor niż to życie, jakie jej urządza Idalka. Zresztą sam zobacz.

Podał ordynatowi duży arkusz zapisanego papieru, Waldemar przeczytał. Twarz skrzywiła mu się ironicznie. — Zawołał:

— Ciotka zawsze była warjatką! Przepraszam dziadzia.

— Ach! nie krępuj się, Waldy. Wiem, jaką jest Idalka. Te dwie kobiety razem przebywać nie mogą, chociaż są najbliżej w świecie spokrewnione.

— Ciotka chyba chce się wydać za mąż. To jedynie motywuje te wieczne bale, maskarady i otaczanie się cudzoziemskimi adonisami.

— No, może myśli o Luci.

— Skoro jednak Lucia nie chce, nie widzę racji gwałtem ją prowadzić do ołtarza.

— Cóż zatem robić? ... Tak zostawić nie można. Lucia jest rozstrojona.

— Niech dziadzio napisze do ciotki; może na święta przyjadą?

Staruszek smutnie zwiesił głowę?

— Idalka nie przyjedzie: zanadto ją absorbuje zagranica. Zresztą boi się rozruchów.

Waldemar wzruszył ramionami.

Do pokoju wszedł cicho służący. Stał przy drzwiach i chrząknął znacząco.

Pan Maciej drgnął niespokojnie. Ordynat spytał!

— Cóż tam znowu?

— Nowa bieda, jaśnie panie.

-- No? ...

— W Szalach znowu strajk. Ograbiony pałac...

— Jaki pałac?! Czyś zwarjował?! Przecie pałac ograbiony dawniej.

— A to pewnie pawilon. Kasjer zabity, i hrabstwo uciekli.

— Kto ci to mówił?

— Precz idzie słuch, jaśnie panie. Jechał stamtąd gajowy i mówił to samo.

— Czy on jest?

— Nie, pojechał.

— Niech natychmiast strzelec Jur konno jedzie do Szal, zobaczy i dowie się dokładnie! Prędko!

Służący wybiegł. Ordynat spojrział na bladą twarz pana Macieja i rzekł spokojnie:

— Proszę się, dziadziu, nie przejmować... To jeszcze nic pewnego. Trochę w to wątpię: byłoby za prędko jedno po drugim.

Pan Maciej gorączkowo potrząsnął ramieniem. Oczy starca gorzały, na policzkach wystąpiły wypieki.

— Waldy, ja się boję o ciebie! Słyszysz?! — Truchleję o ciebie... Takie czasy!

Ordynat siadł, wziął rękę dziadka, tulił do siebie. W twarzy miał wzruszenie. Przemówił łagodnie, jak do dziecka:

— Cicho, cicho, spokoju. No niech się dziadzio nie obawia... no niema czego! Nic mi się nie stanie.

— Ale dziś nie pojedziesz?

— Zaczekam na wieści z Szal.

Zmrok zapadł. Szara godzina rozesała swą makatę, owijając ją wszystko dokoła. Na dworze padał drobny, gęsty śnieg, pomieszany z deszczem. Wicher ciskał go na szyby okien i wyl przeciągle. Z parku dochodziło skrzypienie starych drzew, jękliwe, jakby ktoś głośno żebrał. Pan Maciej i ordynat siedzieli w fotelach zamyśleni. Starzec przeżuwał szczękami i mełł w ustach słowa modlitwy. Suche, sztywniejące palce przesuwwały paciorki różańca. Ordynat zimny wzrok skierował na okno i siedział jak posąg. Tylko poruszające się często brwi i nozdrza świadczyły, że poza tą chłodną powierzchnią kipią, ścierają się uczucia i myśli.

Obaj usłyszeli jednocześnie cichy szmer przy drzwiach. Od progu posunęła się do nich żywym ruchem smukła postać, cała w czerni. Poprzedzał ją lekki szum jedwabiu i wątły zapach wrzosu.

— Lucia! — zawołał Waldemar, gwałtownie powstając z miejsca.

Odezwało się łkanie.

Ordynat zerwał gazowy welon, przemoczony od deszczu. W szarzyźnie pokoju zabłysła szczupła twarzyczka Luci Elzowskiej, w burzy popielatych włosów. Dziewczyna z płaczem zarzuciła ręce na szyję Waldemara.

— Jestem z wami!... Jestem! Nareszcie!...

Waldemar uścisnął ją i oddał w ramiona zdumionego dziadka.

Pan Maciej nie pytał o nic. Głaskał wnuczkę po twarzy, po rozwianych włosach, patrzył jej w oczy, jakby chcąc się przekonać, że jest ta sama. Nie widział jej dawno i nie mógł się nią nacieszyć.

Dziewczyna z objęć dziadka rzucała się w ramiona Waldemara, wypowiadając krótkie, urywane zdania, przeplatane płaczem i śmiechem.

— Gdzież zostawiłaś mamę? — spytał pan Maciej.

Lucia spochmurniała.

— Ja, dziadziu, uciekłam. Z mamą pogniewałam się. Mama jest w Monte Carlo.

— I nie bałaś się sama jechać?...

— Cóż mi się mogło stać? Jestem dorosłą. Ale wrażenia straszne. Już od granicy począwszy... Warszawa...

Nagle rzuciła się do Waldemara, i chwytając go za ręce, zawołała z lękiem:

— Ale tu... tu!... Te strzały... w Romnach!... Waldy!... jak to było?... To straszne!

— Któż ci już naopowiadał? Ciekawym!

— Żydek z Rudowej, który mię przywiózł.

Pan Maciej oburzył się.

— Jakto?! Przyjechałaś wynajętym powozem?

— Taką sobie nędzną dryndulką, dziadziu — zaśmiała się Lucia. — Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie te wieści. Boże! i dziadzo tu sam!... Okropność!

Pan Maciej przygarnął ją do siebie z czułością.

— Widzisz, że nie sam: Waldy nademną czuwa i Ksawery...

— Ach! pana Ksawerego nie powitałam! Gdzież on jest?... Przyjął mię tylko Jacenty i nie poznał. Musiałam się wylegitymować.

Przytuliła się serdecznie do ramienia staruszka. Szepnęła z uczuciem:

— Teraz, dziadziu, ja się tobą zaopiekuję. Nie odstąpię cię nigdy. Będziemy razem przebywali złe i dobre wypadki.

— A nie boisz się dziecko? Tu rozruchy zaledwie się zaczynają... mogą się wzmocnić.

— Nie, dziadziu. Ale tu jesteśmy u siebie w ojczyźnie. Nie godzi się nam jej opuszczać w takiej chwili i... bawić się u obcych.

Pan Maciej odsunął wnuczkę od siebie, popatrzał na nią badawczo.

— Jak ty się zmieniłaś, Luciu!

Ona zapłonęła.

— Spoważniałam, dziadziu, nabrałam rozumu; teraz inaczej myślę.

Waldemar pocałował ją w rękę. W oczach miał iskry zadowolenia.

— Jesteś dzielną dziewczyną, Luciu! — rzekł z uznaniem.

Krwisty rumieniec zabarwił jej policzki.

— Zawdzięczam to tobie, Waldy, i... Stefci — dokończyła szeptem.

W tem za drzwiami rozległ się hałas i prędkie kroki. Do pokoju wpadł blady Jacenty, za nim strzelec Jur i młodszy pokojowiec. Wszyscy, spiorunowani wzrokiem ordynata, stanęli w miejscu i zaczęli cofać się w tył. Ale pan Maciej krzyknął:

— Co się stało?!

Milczeli, lękając się odezwać.

Ordynat podszedł do nich.

— Albo zachowywać się spokojnie, albo już mówić! Co się stało?...

— W Szalach ograbiona kasa! kasjer zabity; hrabstwo uciekli. W Ożarowie strajk; palą budynki hrabiego... bunt! — wyrecytował jednym tchem przerażony Jur.

— Jezus, Marja! — jęknął pan Maciej.

Ordynat wypchnął za drzwi służących i sam za nimi wyszedł.

— Uderzyć w dzwon pożarny. Niech straż rusza. Jeden pojedzie do Głębowicz po tamtą i romeńską. Tu Jur — ani kroku z pałacu; być na rozkazy pana. Dla mnie siodłać konia. Żywo!

Wydał polecenie i sam wszedł do gabinetu.

— Pożegnaj was. Jadę do Ożarowa. Proszę być spokojnym, dziadziu!...

Z za okna rozległ się przytłumiony głos dzwonu. Bił wolno, rytmicznie, lecz tak przejmująco, jakby w każdym dźwięku zamykał tysiące ludzkich jęczeń.

Waldemar podniósł rękę do czoła.

— Ha! burza idzie! — rzekł do siebie i wyszedł z gabinetu.

W kilka minut cwałował na czele straży ogniowej, wyprzedzając dowódcę.

Od strony Ożarowa świeciła rozległa luna.

VI.

I znowu ordynat objął komendę nad pożarem. Trafił na chwilę najtragiczniejszą, zawalenia się obór. Stada krów z rykiem przeraźliwym rzucały się prosto w ogień. Szał ogarnął bydło. Po okolicy szedł jeden grzmot ryków, żaloszny bek cieląt roznosił echa strachliwe. Krowy waliły racicami w ziemię; łowiąc w pyski spieniony swąd spalenizny. Oczy zwierząt gorzały wściekłością. Popłoch i ogłupienie gnało ich na oślep w płonące zwaliska. Zginęły obory, stodoły i magazyny ze zbożem. Wszystko pokryła wyjąca, szeroko rozhulana płachta pożogi. Z klęski ocalały tylko stajnie; całą siłę obrony skierowano na nie, bo do palących się budynków nie było dostępu. Z miejscowych ludzi nikt nie ratował. Gromady ich stały w pobliżu, urągając strażakom, śmiejąc się z hrabiego Trestki, który biegał pośród ognia i kłął różnemi językami. Michorowski dopadł go gdzieś na boku i rzekł z wymówką:

— Panie, proszę nie robić z siebie widowiska. Ludzie się śmieją! Trzeba zachować powagę.

Trestka miał wzrok błędny.

— Ja im się zaśmieję, łajdakom!... złodziejom tym!... Ja ich wszystkich w dyby... do kryminału... Pasy drzeć!... Szelmy!...

I grad pocisków bardzo dobitnych popłynął z ust hrabiego, przeplatany gęsto cudzoziemskimi epitetami.

Ordynat miał niesmak na ustach, ale cierpliwie starał się hrabiego uspokoić. W końcu oddał go pod opiekę pani Rity. Lecz i to nie wiele pomogło. Hrabia albo kłął, albo łamał ręce, wołając:

— Moje obory, moje obory.

A szkody istotnie były olbrzymie. Spaliło się kilkanaście krów; zwęglone ich ciała, wzdęte, leżały tu i tam, stercząc nogami, niby jakieś dziwaczne kupy węgla, opalonych wnętrzości i popiołów. Straszny widok uderzał w oczy. Ciała popalone roznosiły cuchnące wyziewy.

Po zduszeniu ognia ordynat w prywatnym gabinecie hrabiego rozmawiał z panią Ritą i miejscowym rządcą. Hrabia był również obecny. Ale nie mówił nic, powtarzając jedynie żalną skargę:

— Moje obory! moje obory...

Ordynat pytał o różne szczegóły, dotyczące się powstania buntu. Badał drobiazgowo warunki utrzymania i opłaty służby. Przeglądał księgi, sprawdzał rachunki.

Okazało się, że agitatorów nie było. Służba łącznie z wsią rozpoczęła strajk z powodu niewypłacalności dworu, nieuregulowanych serwitutów i niechęci osobistej.

Ordynat przeglądał całą rubrykę procesów, czasem wprost śmiesznych i poruszał głową.

— Bajeczne zdolności, czy manjactwo — myślał; głośno zaś rzekł:

— Jedyna rzecz, której się lenię, to procesy.

— Ja teraz przestanę procesować: będę strzelał prosto w łeb. Przynajmniej łajdaków mniej zostanie — krzyczał hrabia.

Pani Rita zacięła usta, ordynat milczał.

W kilka godzin potem ordynat po naradzie z hrabiną chciał odjechać. Ale mu nie pozwolono, gdyż kilkudziesięciu strajkujących obległo pałacowy ganek, chcąc się widzieć z hrabią. Pani Rita ścisnęła za rękę Michorowskiego.

— Niech pan nas nie opuszcza.. Pan zna Edwarda. Tu trzeba rozumu, taktu, a Edward taki zrozpaczony... — dodała, jakby usprawiedliwiając męża.

Ordynat został i nauczył hrabiego, jak ma się zachowywać wobec tłumu. Tłómaczył długo, doradzał i w końcu zdołał przekonać, że strzelać do ludzi nie można.

Strajkujących wezwano do wielkiej sieni pałacowej. Wchodzili głośno z ostrym tupotem butów, z hardo podniesionymi głowami. Pluli i porządkowali nosy z hałasem, nie oszczędzając błyszczącej posadzki. Wygalonowany kamerdyner patrzył na nich przez uchylone drzwi. Bał się min wyzywających tych ludzi.

Gdy już się wszyscy zebrali, wyszedł do nich Trestka, wypchnięty prawie przemocą. Ordynat nie pokazywał się.

Hrabia stanął na progu, osowiałym wzrokiem spojrzął i... spadły mu binokle. Wolno zaczął je przecierać chusteczką, ale ręce mu drżały. Szklka znowu opadły, huśtając się na sznurku. Zaczął je łapać gorączkowo. W ciżbie zaszemrały ciche śmiechy i szepty.

— Sapriski, — zaklął Trestka.

Z gniewem chwycił binokle, nałożył je, i zakładając ręce na plecy, wystąpił śmiało naprzód. Podniósł wysoko głowę.

— No?... — zawołał z dumną miną.

Odpowiedziało mu milczenie.

— No?! — powtórzył głośniej.

Cisza. Tłum zakołysał się, szmer się wzmógł, zaskrzypiały buty, i cała gromada posunęła się naprzód nagłym ruchem.

Hrabia cofnął się gwałtownie w tył. Wyrażny przestach wypełznął mu na twarz.

— No!... no!... cóż to?... Oniemieliscie?!

Jakiś chłop barczysty zawołał przepitym głosem:

— Niech nam pan hrabia podwyższy pensję i ordynarję. My tego chcema.

Trestka się zaperzył.

— Ja wam będę płacić za to, żeście mnie spalili? Zwarjowałeś jeden z drugim.

— To nietylko my spalili, bo i wieś. Nie trza było z nimi zaczynać; wypasy od dziada, pradziada należały do nich — odezwał się ktoś z gromady.

Trestce znowu spadły binokle, osadził je mocniej i wybuchnął:

— I las? Co? I las do nich należał?

— A jakże: Drzewo tyż mogą brać. A bo to im dziedzic zabroni, kiedy zdawna tak było?

Magnat rzucił się do nich. Podniósł pięść, i wytrząsając nią, wołał:

— Zabronię: Zobaczycie, gałgany, że zabronię. Ja was nauczę!... Dwór okradać będziecie? Wpierw poznacie kryminała.

Zaczął kląć po swojemu.

W gromadzie powstał głośny gwar.

— To niech ich dziedzic pakuje do turmy, jeżeli da rady, a nam proszę dać większą pensję i ordynarję! — krzyknęło parę głosów.

— Nie dam!... nic nie dam!... Słyszycie?... I was do kryminału oddam, łajdaki; Sapristi!... W dyby was!

Tłum poruszył się, wzburzenie rosło.

Jeden głos zaczął wołać:

— Jak nie dostaniem czego chcema, to jeszcze spalim resztę, i do roboty nie pójdzie nikt.

— Teraz inne czasy nastaly, oho! — wołał drugi.

— Teraz pany przycichną. Tak ma być, jak chcema! a jak nie, to strajk.

— Niech pan hrabia nie krzyczy, bo się nie boi nikt.

— Dać podwyżkę i ordynarję większą, mniej roboty to i będzie ład.

— My tu mamy spisane to, czego chcemy. Niech pan hrabia przeczyta.

Trestka wychodził z siebie.

— Ja?... ja?... mam czytać coście nagryzmolili?! Won stąd, gałgany! Palić mię jeszcze będziecie?... grozić?!... Ja was postrzelam, jak psów.

— A dobrze!... To będziemy się bić — rozległy się urągliwe głosy.

Hrabia, nieprzytomny z gniewu, zziajany, krzyczał, klął i bił się po kieszeniach, szukając broni.

— Zabiję!... zabiję, jak psów!...

Wyglądał komicznie. W szalonej pasji skakał, rzucał się, blady, spocony, z rozwścieczonemi oczyma.

W gromadzie powstał śmiech. Zaczęły się żarty.

Nagle w drzwiach stanął ordynat, spokojny, surowy, z głoźną fałdą pomiędzy brwiami. Wszedł i zatrzymał się chwilę.

Tłum drgnął i umilkł, jakby ludziom zamurowało usta. Wyprostowali się służbowo.

Trestka, nie widząc ordynata, nie mógł pojąć dziwnego zachowania się zuchwałej gromady, i zdumiony, również umilkł. Obejrzał się. Ordynat podchodził wolno. Teraz hrabia zrozumiał. Złość i śmiech szatański zasyczał w jego głosie. Zawołał nagle ucieszony:

— Ha! lotry!... chamy przekłete!... Nie spodziewaliście się, że jest ordynat!... A co! języki wam stanęły w miejscu?... Hultaje!...

Michorowski mu przerwał, odciągając na stronę. Szepnął po francusku:

— Proszę odejść. Nie tak pana uczyłem. Dość kompromitacji.

Tyle było siły w słowach ordynata, że Trestka zmieszał się, spuścił głowę i wolno wyszedł.

Michorowski zimny wzrok skierował na wyprostowaną gromadę służby. Spytał spokojnie:

— Czego chcecie?

Twarze spokorniały jeszcze bardziej. Gnieciono w rękach czapki, przestępując z nogi na nogę. Najśmielszy zaczął:

— My... jasny panie... my tu wspólnie... my tu przyszli gromadą...

— Widzę, że was dużo, ale czego chcecie?

— My chcemy podwyżki.

— Jakiej?

— O tu — spisane; — może jasny ordynat przeczyta.

Michorowski wziął papier i przebiegł go wzrokiem.

— Te warunki są niemożliwe. Pobieracie pensje i ordynarje takie same jak w dobrach ordynackich, zatem wystarczające. Ja swoim ludziom nie podwyższam, i wy nie możecie o to prosić. Tembardziej, że nie zasługujecie na to.

— My u jasnego pana woleliby za pół ceny służyć, niż u hrabiego za całą — odezwały się głosy.

— Niech nam hrabia podwyższy i zapłaci, co zaległe, to pójdziem do roboty.

— A jak nie — to nie! — krzyknął drugi rezolutnie, ale inni wepchnęli go do środka gromady, zamykając mu usta.

— Odkąd się wam należy? — spytał ordynat.

— Od adwentu, jasny panie.

— Dobrze! dziś będziecie opłaceni i... jesteście wolni. Od pierwszego kwietnia możecie znaleźć miejsce. Tu potrzeba ludzi spokojnych.

Ordynat zwrócił się do zagląającego lokaja i rzekł krótko:

— Wprowadź ich do kancelarji pana kasjera.

Lokaj skłonił się. Ordynat wyszedł.

W gromadzie zaległa cisza. Spoglądali na siebie w milczeniu, gdy zaś lokaj otworzył drzwi i zaczął ich energicznie wypraszać, wyszli ciężko, ze spuszczonei głowami.

Wyplata trwała długo. Ordynat posyłał po pieniądze do Głębowicz, bo w ożarowskiej kasie zabrakło.

Pani Rita była jak struta. Trestka kłął i zacierał ręce, dziękując ordynatowi.

Ale ten milczał.

VII.

Po dewastacji w Ożarowie groza padła na okolicę. Wielu obywateli wyjechało, ale i burza przycichła. Zwolnienie całej służby w Ożarowie zrobiło wrażenie. Lud stracił ochotę do strajków, fantazja zmieniła się w przygnębienie. Agitatorów zabrakło; jeśli się pokazał, wypędzano go z folwarków i z wsi. Spokój zdawał się zapewniony.

W Słodkowcach pan Maciej cieszył się wnuczką. Staruszek pod jej troskliwą opieką odżył, nabrał humoru. Tylko listy pani Elzonowskiej, niesłychanie burzliwe, pełne wymówek dla córki, wносиły zły podmuch do pałacu.

Pani Idalja nagliła córkę do powrotu, gniewała się na ojca, że ją zatrzymuje, ale Lucia sama nie chciała wracać. Widząc, że matki nie przekona, przestała odpisywać na listy. Gorliwie zajmowała się dziadkiem, oprócz tego stała się czynną opiekunką ochrony i szpitala imienia Stefanji. Sama uczyła dzieci niektórych przedmiotów.

W rannych godzinach, kiedy pan Maciej jeszcze spał, codzien smukła postać Luci o długich jasnych warkoczach dążyła na lekcje do ochronki. Dzieci witały ją okrzykami radości. Chorzy w szpitalu uśmiechali się na jej widok. Stała się dobrym duchem Słodkowic. Panu Maciejowi przypominała Stefcie Rudecką. Miała słodycz i łagodność tamtej, nawet coś w ruchach, tylko tamta była żywa jak iskra i weselsza, Lucia spokojna i poważna. Cha-

rakter jej zmienił się. Nabrała hartu, dawny dziecięcy upór przybrał cechy niezłomnej stanowczości. Uśmiechała się rzadko, ale promiennie, najczęściej do dziadka, do dzieci i do chorych. Powierzchnie zmieniała się niewiele, tylko wyrosła i nabrała szyku. Jej dziewczęca figurka, teraz zaokrąglona ładnie, miała wdzięczne linje w rysunku. Lucia swe bujne, jasnopolielate włosy splatała w dwa grube warkocze i okręcała niemi głowę na kształt korony. Jej cera delikatna, jak narcyz, ożywiła się w Słodkowcach. Krasily ją barwne usta, dość pełne i oczy szaro-błękitne, nieco podkrążone, świecące z pod ciemnych rzęs i delikatnych ciemnych brwi. Powieki miała najczęściej spuszczone, wzrok chmurny, rzucany z pod czoła. Cechowała ją skrytość i nieufność w stosunku do ludzi. Nie pragnęła ich widoku. Słodkowce jej wystarczały, nie bywała nigdzie. Czasem do Obronnego jeździli razem z Waldemarem, odwiedzając jednocześnie Ożarów.

Lucia mieszkała w swym dawnym pokoju obok pokoiku Stefcia, który przerobiła na rodzaj kaplicy, czy na mały przybytek sztuki. Wśród najpiękniejszych kwiatów mieściły się tam cenne obrazy, oraz różne przedmioty artystyczne, niegdyś ulubione przez Stefcie. W tem nagromadzeniu sztuki oryginalnie wyglądało nietknięte łóżko, zawieszona kōtarą, lustro z konsolką i marmurowa umywalnia, ozdobiona srebrnymi naczyniami.

Nad sofką wisiał pyszny obraz Madonny, kopja Rafaelowskiej z kaplicy Sykstyńskiej, w staroświeckich ramach.

Szczyt kominka ozdabiał wielkich rozmiarów portret Stefanji Rudeckiej, wyłaniający się z drogocennych makat. Pokój był poświęcony pamięci narzeczonej ordynata. Lucia przesiadywała w nim często, z książką w ręku, lub zapatrzona przed siebie, z własnymi myślami. Czasem chmurne jej oczy wpatrywały się uparcie w malowany na płótnie widoczek Słodkowic, roboty Stefcia. Stał na staluzkach w otoczeniu palm. Była to dla Luci pamiątka po przyjaciółce droga i ostatnia. Inne jej prace pastelowe i olejne ordynat pozabierał do Głębowicz. Lucia w tym pokoju przypominała sobie minione czasy wesołe, bez troski, jak wiązanki różowych kwiatów. Potem przyszły inne i zaćmiły szczęście. Lucia zniechęciła świat, poczuła wstręt do ludzi, szczególnie do własnej sfery. Arystokracja uwielbiana dawniej, niby jakaś wyrocznia, w oczach Luci zmalowała, stała się nienawistną. Każdy arystokrata wzbudzał jej nieufność, nawet członkowie rodziny, prócz Waldemara i dziadka. Prawie nie wierzyła, że i oni są arystokratami.

Jej nienawiść wpadła w fanatyzm. Pobyt w klasztorze w Belgji zlagodził ją trochę, lecz nie przeistoczył. Pozostała w niej niewiara względem ludzi. Nienawiść zmieniła się w ironję. Lucia bez miłosierdzia klóła nią własną sferę. Była dla swego otoczenia skrytą, nieprzystępną. W Słodkowcach zmiękła, jednak ani pan Maciej, ani Waldemar nie znali jej myśli, chowała je dla siebie. Ale zaczęła posępnieć, wpadając chwilami w stan zupełnej apatii. Pan Maciej myślał, że to tęsknota za światem, wreszcie posądził Lucię o tajone uczucia, może — zawody? Potwierdzeniem tego była jej ucieczka z Nicei. Bawiła się tam, miała powodzenie i starających się. Pan Maciej wywnioskował, że ktoś zainteresował ją głębiej, że Lucia kocha bez wiedzy matki, i wbrew jej zamiarom. Ale z wnuczki staruszek nic wydobyć nie mógł.

Tak przeszła wiosna i część lata.

Pani Idalja, obrażona, zła na córkę, nie opuściła zagranicy. Zaburzenia w kraju odstręczały ją również, nie pragnęła powrotu.

W połowie lipca do Słodkowic przyjechał z ordynatem Jerzy Brochwicz. Lucia przyjęła go ze źle ukrytą niechęcią i silnym rumieńcem.

I on zmienił się. Wrogie czasy wyryły na jego twarzy poważne piętno. Dawna zuchwałość przygasła. Ale mówił zawsze dużo, szczerść i dowcip pozostały nietknięte.

Pan Maciej przywitał go z przymusem. Nie widzieli się od pogrzebu Stefcii Rudeckiej. Brochwicz zagranicą bywał u p. Idalji i Luci; pan Maciej, wiedząc o tem, wpadł teraz na pewne podejrzenia, ale ukrył je w sobie. Pomieszanie Luci przy powitaniu z Brochwiczem zastanowiło staruszkę.

— Czyżby to?... — myślał.

Lucia pytała o matkę. Brochwicz odpowiadał ogólnikowo, ale ordynat rzekł bez ceremonji:

— Mama?... Mama bawi się wybornie, ciągle karnawałuje. Szuka jakiejś szansy, czy wrażeń południowych. Trzęsienie ziemi nie wystarcza. Nowa manja. Zresztą prowadzi sensacyjną sprawę, to również niezmiernie bawi.

— Jaką sprawę? — pytała Lucia.

— Rozwodową... księżąt Zanieckich — odrzekł Brochwicz.

— Jakto?! Więc ta... Melanja... zawsze jest razem z mamą?...

→ Jak dotąd, stale.

— I Barski?...

— Tak! ojciec głównie dąży do zgnębienia zięcia.

— Dobrany trójkąt. Szkoda mi tylko Zanieckiego — mówił ordynat.

Lucia zwiesiła głowę, gniew drgnął w jej brwiach zsuniętych.

— Jak można?! jak można?... Mama z Barskimi? — szepnęła ze zgrozą.

Waldemar zmienił przedmiot rozmowy.

Lucia tego samego dnia napisała do matki błagając ją o powrót do Słodkowic i o zerwanie stosunków z Barskimi.

Ale pani Idalja pozostała niewzruszoną.

VIII.

Brochwicz przesiadywał w Głębowiczach i jakkolwiek przyjaźnie, ale nieufnie patrzył na stosunki ordynata z szlachtą okoliczną. Podziwiał działalność Michorowskiego, interesowały go programy społeczne, inicjowane przez ordynata. Ale sam nie brał w nich udziału. Czytywał, grywał, marzył. Brochwicz był jak pod wpływem narkotyku. Jakieś moralne opjum odurzyło go, niwecząc energję.

Ordynat, przeciwnie, był w ciągłym ruchu. Sprawy publiczne, fermenty społeczne i naprężone włókna polityki wewnętrznej podniecały go. Jego sprężysty umysł szukał co raz nowych ujęć i znajdował je. Głębowicze stały się punktem zbornym różnych zjazdów i sesji. Arystokracja krzywo spoglądała na „demokratyczne zachcianki“ ordynata, lecz wciągana przez niego, musiała czasem współuczestniczyć w jego programach. A te były szerokie. Tylko niebardzo się udawały z powodu zagmatwań politycznych. Oczekiwanie ważnych wypadków, przewroty w sferach rządzących — tamowały filantropijną działalność. Rozmaite partje, związki paraliżowały czyn praktyczny.

Ordynat był bezpartyjnym, ale wyrozumiałym. Na sesjach mówił niewiele, wypowiadając zdania konkretne i dobrze obmyślane które zawsze prawie odnosiły zwycięstwo. Nie rozdriabiał swych myśli i nie szafował niemi w dysputach z każdym. Nie była to zarozumiałość, lecz jedynie powściągliwość i powaga w słowie. Miał zaufanie do dziadka i Luci; przy nich mówił więcej i nieco ożywiał się.

Odkrywał przed nimi nie tylko swe projekta, lecz i głębsze wewnętrzne myśli. Badał ludzi, z którymi obcował bliżej, i często

zrażony do nich, sarkał przed panem Maciejem i Lucią. Raz mówił:

— Gdyby na świecie było mniej pretensji, byłoby zarazem mniej kłamstw i obłudy. Gdyby ludzie mieli odwagę przedstawiać się takimi, jakimi są, byłiby szczęśliwsi. Nic chyba nie deprawuje tak duszy, niż ta pewność, że się ma maskę dla świata, a inną twarz dla siebie. Bo pomimo najzręczniejszej i, powiedzmy nawet, najwytworniejszej obłudy, osobnik, który ją uprawia, zna swą istotną wartość. Więc gdy uczciwość w nim nie zamarła doszczętnie, odczuwa i cierpi, że pozuje. A to jest przecie okrutne.

Lucia potrząsnęła głową energicznie.

— Ale dodaj jeszcze: że i nie poprawi się taki pan. Gdy jest bierny duchem, wierzy w swą pozę, jak w rzecz prawdziwą nie nabytą i kolorowaną. Gdy jest podły, śmieje się z niej ironicznie, lecz nie zmienia. Częściej jednak śmiech swój zwraca nie na własny dowcip w urządzaniu prawdy, lecz na naiwność tych, którzy się na nią biorą.

— I to już jest szczytem bezczelności — dokończył Waldemar.

Stary Michorowski patrzył na nich ze smutkiem i zgrozą.

— To jest młode pokolenie! Ty Luciu możesz już tak sądzić?

— Poznaję świat, dziadziu — odrzekła krótko.

Brochwicz nie rozmyślał o polityce, nie analizował ludzi. Z książką w ręku siedział raz daleko po za parkiem w ogrodzie owocowym. Nie czytał. Głaskał wzrokiem, żółknące już drzewa śliw.

Obfite, nadmiernie dojrzałe owoce, w aksamitnych fioletach z puszką srebrzystym zwisały z gałęzi ciężkimi ciałami, lub spadając na trawę, pękały, ukazując złotą, soczystą miąż. Szare okazałe gruszki wśród szarych liści i błyszczące, zarumienione jabłka tworzyły wyłączną jesienną mozaikę, napawając jednocześnie jakąś sytością. Brochwicz lubił ten ogród, bo mu tu było zacisznie. Błądził w winnicy, wśród zabudowań cieplarnianych, rysował pyszne kiście winogron, czarne i zielone, cieszył się widokiem potężnych ananasów, przysadziście złocących się pod szkłem. Wytworne kule brzoskwiń i ciemno-żółte lampki moreli zatrzymywały na sobie oczy Brochwicza, jakby najpiękniejsze kwiaty. Chodził już długo miażdżąc opadłe śliwki węgierki, pogrążony w myślach, z tęsknotą w źrenicach i zwątpieniem na ustach. Ale ocknął się. Nagłe postanowienie rzuciło mu na twarz błysk ener-

giczny. Prędkim krokiem podążył do zamku. Zapytał, gdzie ordynat. Olbrzymi Jur odpowiedział cicho i jakby z nabożeństwem:

— Ordynat gra.

Brochwicz wiedział, że gra w sali muzycznej na organach.

Uszanował tę chwilę i nie przerywał. Nawet nie wszedł do sali. Usiadł w bocznym saloniku, czekając, aż Waldemar skończy, i zasłuchał się.

Michorowski nieczęsto pozwalał sobie na chwilę osobistych rozmyślań przy organach, bo wówczas wpadał w nastrój prawie mistyczny. Wszystkie drogie wspomnienia, bóle, tragedje przeżyte przed dwoma laty uwypuklały się i raziły w serce nawałą ciężarów. Ale grał i zanurzał się we wspomnieniach odległych, które jednak przez powiększające szkło duszy były tak blisko, że prawie w tej sali. Waldemar miewał złudzenia, że gdy wstanie, zobaczy za sobą Stefcie Rudecką lub usłyszy jej głos. I patrzył na nią, budząc życie w jej twarzy, malowanej na płótnie. Portret jej umieszczony był obok organów. Gdy ordynat grał sonatę Beethowena, ulubioną niegdyś przez nich oboje, twarz na portrecie zdawała się uśmiechać, promienieć. Gdy grał żałobnego marsza lub nokturny Chopina, rysy zmarłej narzeczonej posępniały, Waldemar zaś wstrząsał się, bo widział ją wówczas już oblubienicą śmierci w Ruczajewskim salonie wśród kwiatów.

Nikt nigdy nie przerywał ordynatowi tych sjest muzycznych. Cały zamek słuchał w skupieniu. Niewidzialne jakieś palce trącały w struny innych instrumentów, tu nagromadzonych, i razem z hejnałem organów płynęła pieśń tęskna a potężna, pieśń natchniona, nasiąkła czarem, od bólu ciężarna.

Brochwicz słuchał takiej właśnie pieśni strun. To nie grały palce ordynata, to grała wszechpotęga dramatu, który nosił w duszy; to grał orkan poszarpanych namiętności; to grała tęsknica tak olbrzymia, że ocean, wylany na jej ogień, nie zdławiłby go.

— Jeśli tak dłużej potrwa, to zgon Stefcie, ordynat i te organy staną się legendą zamku — myślał Brochwicz.

I nie mylił się. Na zamek już spoglądano jak na mauzoleum nieszczęścia. Mury były jakby nasiąkłe tragedją; pełzał po nich szary mrok. Wyniosły gmach przyjmował odwiedzających przyjaźnie, ale głównie ludzi czynu, związanych z ordynatem tożsamością idei. Nie bywało innych zjazdów, niż społeczne. Dawne zabawy zdążyły stłumić na węglach murów najcichsze swe echa. Zamek był jak skała z ostatnim potomkiem orlego rodu, którego pierś zraniona krwawiła.

Brochwicz nie odważył się tego dnia mówić z Michorowskim o sobie. Nazajutrz przy śniadaniu rzekł tylko:

— Muszę już opuścić Głębowicze: ale dziś chcę być w Słodkowcach. Proszę cię, Waldy, jedź ze mną.

— Chcesz się upewnić co do Luci?

Brochwicz spojrział zdumiony.

— To ty odgadłeś?

— Przeczuwałem.

Przez chwilę milczeli.

— Upewnić?... Czy ja się mogę upewnić?... Ja zupełnie nic nie wiem — rzekł Brochwicz.

— Nie rozmawiałaś z nią o tem nigdy?

— Nie.

— Jednak ona również wie.

— I...?...

— No, nie zwierzała mi się, trudno odgadnąć.

Brochwicz przeciągnął dłoń po swych gęstych, jasnych włosach.

— Ty, Waldy, przeczułeś, ale nie wiesz, jak ją kocham. Tak to jakoś powstało z niczego. Z tej dziewczynki wyrósł kwiat wonny — może nie dla mnie... Ona kocha... kocha napewno; tylko... zdaje się, nie mnie!...

Ordynat popatrzał badawczo w oczy przyjaciela.

— A kogo — zgadujesz?

— Kogoś, kto został w Nicei. Ona uciekła od niego.

— Ale kto to?

— Nie wiem. Ona jest skryta. Pojedziesz, Waldy, do Słodkowic ze mną?

— Tak. Kto wie?...! Może się obydwaj mylimy?

— Nie rozumiem...

— Bo ty myślisz, że jest ktoś drugi, a ja jednak myślę, że jesteś tylko ty.

— Ja?!...

— Poczekaj! A może nie być nikogo w jej uczuciach, to możliwe. Lucia jest tajemniczą.

Brochwicz trochę smutno uściśnął rękę ordynata.

— Wolałbym już, żeby kochała innego, niż nikogo, bo wówczas jej stan obecny tłumaczyłby się naturalnie. A tak?... Jeśli to tylko apatja, niechęć do życia?...

— Nie! Lucię napewno coś gnębi — odrzekł Michorowski z powagą w głosie.

IX.

Nie dojeżdżając do Słodkowic, ordynat i Brochwicz spotkali wśród pól Lucię, w białym koszykowym wolanciku, zaprzężonym w białego konia. Jasna, smukła postać dziewczyny, jadącej samotnie, z białymi lejcami w dłoniach, dopełniała wdzięcznego obrazka. Kapelusz panama, odchylony od czoła, rozwiane włosy i biały welon upiękślały Lucię, nadając jej odmiennego wyrazu, niż zwykle. Dziewczęcy powab i młodość, zagłuszone powagą, teraz odżyły i zaciekawiały.

Gdy powóz ordynata zrównał się z koszykiem, Lucia wstrzymała konia.

Michorowski zauważył, że na widok Brochwicza chmura przeleciała przez jej twarz.

Panowie wysiedli z powozu. Po powitaniu i kilku słowach wstępnych Waldemar rzekł:

— Oddaję ci Luciu, Jurka. Bądź dla niego uprzejmą. Ja muszę wstąpić do leśniczówki.

— To jedźmy razem! — zawołała Lucia nerwowo.

— Nie, nie, zostańcie. Mam tam osobistą sprawę, przy której bylibyście... zbyteczni.

Dziewczyna wpiła badawczy wzrok w szare oczy Michorowskiego. Usta jej drgały, gniew zamigotał na twarzy. Podając rękę Waldemarowi, rzekła zamiast pożegnania:

— Dobrze... będę grzeczną, jak każesz. Ty... jedź sobie.

W jej głosie brzmiała złośliwość. Waldemar miał wrażenie, jakby ścisnął w swej dłoni nie rękę kobiecą, lecz kawałek drzewa.

Lucia zgarnęła suknię, usuwając się na bok.

— Proszę, niech pan siada.

Brochwicz, trochę zmieszany energją Luci, wskoczył do koszyka niezgrabnie. Ona poruszyła batem.

— Do widzenia, Waldy! — zawołał Jerzy.

Może w tej chwili żałował swego pospiechu, bo mina Luci nie wróżyła mu dobrze.

Jechali, milcząc oboje. Brochwicz gryzł wąsy, patrzył uparcie na białe rękawiczki Luci. Zatrzymywał słowa na brzegu ust, szarpał się wewnątrz, denerwował, ale bał się mówić. Przeczował, że ta odrobina złudzenia, nadziei, którą nosił w sercu, leży oto przed nim jak wątyły płatek kwiatu, i że jego słowa zdmuchną go nazawsze. Uleci od niego ten atom ideału, uleci bezpo-



Nie pojedzie tam! Nie! . . . (str. 37)

wrotnie. Czy nie lepiej zatrzymać się? zacząć zwykłą rozmowę, płatek zaś ten utkany z uczuć złotych mieć jeszcze przed oczyma do nieskończoności? . . .

Brochwiczowi jeszcze raz zaciężyła obecność Luci. Z utęsknieniem pomyślał o Głębowiczach, gdzie był ciągle z nią — ale ciągle bez niej, gdzie marzył o niej — nie widząc jej, gdzie pieścił jej ręce w swej wyobraźni, tulił ją całą do siebie. Teraz ona siedzi przy nim blisko, lecz jest dalej; jej ręce widzi tuż przed sobą, ale są jakby obce, sztywne. Czy to są ręce jego Luci? Brochwicz zrozumiał, że można za kimś szaleć na odległość świata całego, gdy się zaś jest blisko swego ukochania, chciałoby się brnąć przez pustynię Sahary — aby dalej.

Bo najstraszniejszym z zawodów jest utrata nadziei. Nic nie wyrówna goryczy, zgrozie i przerażeniu duszy stęsknionej, gdy zamiast wymarzonej iskry napotyka sopel lodowy.

Brochwicz męczył się i miał żal do samego siebie, że dobrowolnie złudę swą zdziera z oczu. Ogarnął go lęk niesłychany. Jeszcze trochę, jeszcze kilka chwil. Może nie ten powód jej chłodu? . . . może nie to?

Ale Lucia była dziś jeg o katem do końca. Odczuwając jego walkę i wahanie się, pierwsza zerwała tamę niepewności, zmuszając go do wejścia w zimny strumień swych uczuć dla niego.

— Pan ma mi coś powiedzieć prawda? Coś wyjątkowego? Zatem proszę — rzekła niemiłosiernie obojętnym tonem.

Brochwicz osłupiał.

— Tak, chciałem z panią pomówić.

— Proszę.

Fala energii wpłynęła do serca Jerzego. Wiedział już, że zginie, ale postanowił zginąć mężnie. Zaczął mówić wolno, bez zapału, lecz całą duszą, jak spowiedź przed wyrokiem śmierci.

— Pani wiadome są moje uczucia, mój pobyt w Nicei i przyjazd teraz do Głębowicz. Pani wie, że ją kocham, od roku prawie. Pani była w klasztorze — milczałem, i w Nicei milczałem, i teraz całe lato milczałem; dłużej . . . nie mogę.

Lucia poruszyła się, chciała coś rzec, ale Brochwicz przerwał.

— Pani zna moje uczucia, tylko je lekceważy. Tak nie można.

Mowę czyjegoś serca trzeba szanować przynajmniej, jeśli nie jest się zdolnym odpowiedzieć na nią. Miłość, głęboko pojęta, jest majestatem, jest powagą, dla której trzeba mieć cześć.

— Czy ja robię jaką krzywdę pańskim uczuciom? Nie rozumie — rzekła Lucia trochę niecierpliwie.

— Robi pani największą, bo im... nie odwzajemnia. Ale... to nie pani wina.

— Tak, nie kocham pana i nawet... nie żałuję tego.

Brochwicz zacisnął usta. Czoło sfaldowało mu się boleśnie. Doznał wrażenia okropnego, że Lucia zimną ręką wyjęła z niego serce i trzyma je na swej dłoni, drgające, ociekłe gorącą krwią, i szydzi z niego i patrzy urągliwie, mówiąc:

— „Nie kocham cię i nawet nie żałuję tego.“

— Och kobieta! kobieta!...

Siedział jak zabity, wstręt do niej odczuwał, jak przed czerwoną suknią kata. Lucia spojrzała na niego i zlekła się. Rękę oparła o jego dłoń.

— Panie Jerzy! panie Jerzy!

Odsunął ją od siebie szorstko.

— Niech mnie pani nie dotyka. Już dosyć szyderstwa. Zawsze mnie pani oblewała lodem, mroziła serce i duszę.

— Panie, przecież to dowód, że nie szydziłam; to dowód najlepszy.

— Nie, to nie po kobiecemu. Ja panią kochałem jak szaleniec, a pani nawet odczuć nie chciała.

— Nie chciałam i nie mogłam, ale z innych powodów, niż pan sądzi. Nie myślałam nigdy, że pan może mnie pokochać. Mnie się zdaje, że cały świat wie... głównie zaś pan...

Umilkła, szarpnęła lejcami silnie. Ale koń pomimo to zwolnił, jechali prawie krokiem.

— O czym... ja wiem? — wyszeptał Brochwicz.

Twarz Luci zabarwiła się lekko. Na rzęsach zawisły łzy.

— O tem, że ja kocham innego!

— Pani?!

— Tak. Kocham innego. To było powodem, że nie wierzyłam w pańskie uczucia, a potem mroziłam je. Teraz niech pan potępia.

Łzy jej opadły na perłowe guziki żakietu. Brochwicz pod wpływem ciosu ostatniego a strasznego, patrzył tępym wzrokiem, gdy duże krople łez, błyszcząc różowo na konsze guzików, zsuwały się po białym szewiocie i biegły prędko jak drobne kulki szkła. Jerzy nic nie myślał. Głusz dziwna a przeogromna wzięła go w swój krąg, wsysała mu się w mózg, wyżerała serce.

Stracił ją, swoją Lucię, stracił nazawsze! Wąty płatek jego marzeń, jego nadziei uleciał niepowrotnie, zdmuchnięty jej słowami „kocham innego“. Czyż można ją potępiać za wyrok, jaki wydała na niego?

Brochwicz czuł swoją niemoc, i razem z goryczą wpełzła mu do duszy litość nad Lucią. Czemu ona płacze? . . . Czy, że jego pokochać nie może? czy, że kocha innego? Więc chyba nieszczęśliwie?!

Lucia ocknęła się, otarła łzy i, pochylając się do Jerzego, rzekła serdecznie, chociaż głuchym głosem:

— Niech mnie pan wyrzuci z serca, bo kochać bez wzajemności to straszne, to grób. Ja to znam, bo i ja . . . tak samo kocham.

Brochwicz bez słowa wziął jej rękę i ucałował z szacunkiem, ale zimnemi ustami. Dławił go żal, męka trawiła serce, lecz w mózgu jedna myśl tylko nurtowała uparcie, zagłuszając ból duszy: jedna myśl, jedno pytanie:

— Kto jest ten drugi?

W milczeniu dojechali do Słodkowic.

X.

Ordynat poznał po Luci i Brochwiczu, że kwestja rozstrzygnęła się niepomyślnie. Był zdziwiony, ale nie pytał o nic. Uderzył go wyraz oczu Luci, gdy patrzała na niego, jakby zalekniony, czy niepewny. Unikała go wyraźnie.

Po obiedzie usiedli wszyscy na terasie, gdzie podano czarną kawę. Lucia rozlewała w filiżanki. Przed ordynatem Jacenty położył tekę pocztową, pełną listów, świeżo przywiezioną z Głębowicz. Taki był zwyczaj, że gdy ordynat bawił w Słodkowcach, korespondencję odwożono mu natychmiast, choćby miał wracać wieczorem . . . Ordynat otworzył list pierwszy z brzegu, przeczytał szybko kilkanaście słów, zmarszczył się, potem uśmiechnął i podał list Luci, która niosła mu kawę.

— Przeczytaj! To zabawne.

Dziewczyna spojrzała zdziwiona, wzięła list w drugą rękę, i nie stawiając filiżanki, zaczęła czytać. Nagle zbladła, ręce jej zatrzęsły się. Czarna wstążka rozlanej kawy splamiła jej suknię; filiżanka u jej stóp rozprysła się na cząsteczki. Lucia stała, jak uderzona w skroń, ze spodkiem w jednej i z listem w drugiej ręce.

Zmieszana, z ognistą czerwienią na twarzy, nie wiedziała co z sobą począć pod wzrokiem dziadka i Brochwicza.

— Co to za list? — spytał pan Maciej.

— Ach! głupstwo! To z Biało-Czerkas — odrzekł Michorowski z niezadowoleniem.

-- Co się stało? na Boga!

— Nic nadzwyczajnego. Fermenty i rozruchy. Na Luci to zawsze robi wrażenie — uśmiechnął się Waldemar łagodząco.

Ale dziewczyna wyszła z pokoju. Zmięty list ze stołu ordynat chował do kieszeni. Gdy Brochwicz poprosił o niego wzrokiem, z przychylnem skinieniem brwi oddał mu go Waldemar i zajął dziadka gazetami.

Brochwicz czytał:

„Jaśnie wielmożny panie ordynacie. U nas chłopcy buntują się. Chodzą jakieś ludzie i rozrzucają złe papiery. Mają spalić nasze młyny i wyrznąć całą administrację. A najgorsze to, że wyjechało podobno kilku łajdaków, żeby zabić jaśnie wielmożnego pana ordynata w ordynacji, bo mówią, że teraz na panów koniec przyszedł, i że wszystkich będą rżnąć.

„Przepraszam jaśnie wielmożnego pana ordynata, że mam śmiałość pisać, ale mi strasznie na sercu leży ten spisek, bo to jest pewne, że pojechali.

„Niech się jaśnie wielmożny pan wystrzega, bo broń Boże nieszczęścia...“

I tak dalej i dalej...

Brochwicz spojrział na podpis.

„Gałkowski, leśniczy z Biało-Czerkas.“

Gorąco uderzyło na mózg Jerzego. Zmiał list machinalnie, spojrział na skorupki filiżanki i na plamę czarną na terakocie posadzki. Duszność ogarnęła go tak silnie, że nie mógł pozostać na miejscu. Wstał i bez słowa podszedł do balustrady. Patrzył na dywany kwiatów, malujące się pięknymi wzorami w powodzi słońca, na bogactwo jesiennych barw, rozwielnionych wśród parkowych drzew, na brylantowe odpryski fontanny, i wszędzie widział wielką odkrytą prawdę.

Już nie męczył się pytaniem: kto jest ten drugi? Czuł szum w głowie, i brakło mu oddechu.

Lucia powróciła na taras przebrana i z czerwonymi oczyma. Była cicha, poważna, prawie surowa. Gdy na pożegnanie Brochwicz całował jej rękę, szepnęła cichutko:

— Niech mi pan wybaczy i zrozumie.

— Ja już... zrozumiałem — odrzekł Jerzy beznamiętnie smutno. Zwarli się oczyma długo, uważnie. Lucia nie spuściła powiek, tylko róż ją oblał, zapłonęła. Odczuła, że Brochwicz odkrył prawdę.

— Ja pragnę szczęścia pani, ale... dla każdego szczęście inaczey kwitnie — rzekł jeszcze.

— Tak, odszepnęła Lucia. — Niech pan będzie moim bratem.

— Nie, pani; o tem nie marzyłem. Mężczyźnie, który kocha kobietę miłością... wielką, nie można dawać braterstwa zamiast wzajemności.

Lucia teraz spuściła oczy.

Ręce ich rozerwały się, bo oboje nic już do powiedzenia nie mieli.

Gdy panowie wsiadali do powozu, Lucia skinęła na Waldemara. Podeszedł do niej z kapeluszem w rękę.

— Waldy... Słuchaj, Waldy! proszę cię w imieniu dziadzia i... w swoim: bądź uważny. Ten list...

Ordynat lekko ogarnął ją ramieniem i dotknął ustami jej jasnych włosów.

— Nie obawiaj się dziecko. To strachy na lachy, później ci to wytłumaczę.

Stali zakryci trochę filarem ganku. Waldemar spytał szeptem:

— Cóż Jurek?...

Lucia drgnęła. Odrzekła niecierpliwie:

— Nic; skończyłam.

— Bez nadziei?

— Bez żadnej! Mówmy o tobie, Waldy. Nie wyjeżdżaj teraz bez strzelca: dobrze?

— Za tydzień jadę do Biało-Czerkas.

— Waldy?

— Nic mi nie grozi. Do widzenia!

Błękitne oczy Luci zaszły łzami.

— Do widzenia Waldy.

Powóz ruszył, ona zaś stała, oparta o filar z głuchym żalem w piersi, z piekącym bólem w sercu. Po jakimś czasie dłoń jej zacisnęła się stanowczo, zsunęły się groźne brwi, i Lucia rzekła z mocą, pełnym głosem:

— Nie pojedzie tam! nie!

Z podniesioną głową weszła do pałacu.

Ordynat z Brochwiczem jadąc, prawie nie mówili do siebie. Coś padło pomiędzy nich. W Głębowiczach już Brochwicz rzekł.

— Jutro cię pożegnam. Wyjeżdżam.

— Więc obaj myliliśmy się co do Luci — zagadnął Michorowski.

— Ja nie. Przeczyłem dobrze. Kocha innego, i... wiem kogo.

Ordynat nie podjął tej kwestji.

XI.

Dęby wołyńskie, olbrzymy niebotyczne trzęsły potwornemi głowami. One tylko zielone swe grzywy rozpościerały dumnie i butnie nad morzem rozhulanych po puszczy barw jesiennych.

Dęby wołyńskie parły do słońca całą siłą swych tęgich muskułów. Zaborcze swe ramiona wżerały pomiędzy gałęzie innych drzew, brały je pod siebie i znowu szły dalej, i znowu dławili słabszych.

Dęby wołyńskie, rozwiemożnione, poważne, królowały puszczy, biorąc ją we władanie. Sypały na ziemię grad żołądzi na pokarm dla dzików.

Dęby wołyńskie, praojcowie puszczy, panowie jej i opiekunowie. One ścigały na siebie pioruny, chroniąc inne drzewa; one opierały się nawałnicom wichrów; one dawały cień, one dawały ton główny leśnej filharmonji. One pierwsze rozbrzmiały donośną pogwarą na powitowanie swego pana, pierwsze pochyliły czuby w wasalskim pokłonie ordynatowi Michorowskiemu.

Za niemi poszedł cały bór, ustrojony w złotogłów. Roztocz kolorów, otchłań burzących się barw.

Ordynat wjechał w bór i stanął zdumiony, pochłonięty.

Na swym folblucie wydał się sam sobie drobnym jak pyłek, jak atom.

Patrzył na puszcę, podziwiał ją i żył jej życiem, wchłaniał jej moc.

A puszcza grała. Grała melodję tonów tęczy-słonecznych, dla oczu grała.

Dziwy się tu działy, tyle naraz bogactw, tyle żywiołów zbratanych z sobą. Przepastna bezdeń cudów.

Bór żył, gwarząc z sobą, i dzieje swe opowiadał. A czasem tęsknił i marzył, a czasem się burzył. I wzajemnie do snu się kołysał, i razem rozpaczał, i razem się cieszył.

Bór zgodny, niebotyczny.

Ordynat Michorowski, zagłębiany w cieniach puszczy, owiany zapachem jesieni, rozmawiał z duszą swą starganą. Przepojony był wrażeniem, spity czarem natury. Rwały mu się z pod serca uczucia obłędne w swej żalostnej tęsknicy. I jakieś zgrzyty, i bunty, i straszny obuch niedoli. Przepyszna, ale jesienna barwa lasu działała na niego gnębiąco; wielkość puszczy — przeciwnie — dodawała mu mocy, wlewając tęgość do krwi. Chwilami czuł się silnym, nawet potężnym, walczyłby z demonami. Przeszłość odsuwał wówczas brutalnie. — Najtragiczniejsze momenty życia jego malowały, w wyobraźni widział jakiś ogrom niepojęty, jakiś czyn wielki, do którego dążyć — jest celem, który spełnić — jest istotą bytu. Nie obejrzeć się za siebie. Stało się! Czarny korytarz, wiodący do katakumb wspomnień, zasunąć kirem i nie zaglądać doń już nigdy. Ciche szmery, w duszy płynące z przeszłości, zagłuszyć nowem hasłem. Nie cofać się i nie stać na miejscu.

Naprzód! Naprzód!

Być, jak ten las górnym i rozgłośnie szumiącym, jak te dęby pełnym władzy i majestatu.

Ale czy to wystarczy? Czy można przejść przez niebo i zapomnieć o niem? ... Czy jeśli kto przebył raj na ziemi, nie będzie spalonym przez ogień czyścica?

Ale żal, a zgryzota? ci straszni wrogowie duszy zbolelej? Upomną się zawsze o swe prawa, spopiela jaźń duchową, położą na niej piętno wiecznej pamięci. Twarde prawo, i ratunku nań niema. Silna wola, konieczność, to są jedynie środki obiektywne, jak morfina, podtrzymująca niknące ciało. Zły los wprowadza istotę ludzką na szlaki złociste, pełne barw, blasków, obłoków. Pozwala nawet wejść do tych zaczarowanych otchłani szczęścia, pozwala posłuchać szumu skrzydeł, które tam wibrują, pozwala prześpiewać jedną strofkę tego hejnału błogosławionego, który tam rozbrzmiewa.

Pozwala, aby cofnąć człowieka z tych cudownych przepaści do dawnego bytu bez promieni, by wydał się popiołem po złotym ogniu. Pozwala, aby ten hejnał nieuchwytny, bo krótki, przeistoczyć na zawsze w treny, aby czarowny szum skrzydeł prze-

mienić w szpony innego życia, które rozkrwawiają wspomnienia potę, by wydobyć z nich wieczną tęsknotę.

Waldemar pamięcią rozpałał tę swoją błyskawicę życiową, ale czyniąc to zarazem z okrucieństwem wyrafinowanem darł na częścieczki włókna swego serca. Z ordynata opadły już marzenia, skruszyły się zapaly młodzieńcze. Został tylko podkład jego istoty wewnętrznej twórczy, mogący rozszerzać się i obejmować coraz nowe plody szczytnych myśli, celów idealnych. Czyny swe nieść na barkach życia, zamiast szczęścia. Nie dławić tęsknoty, ale ją mieć, jako swe najdroższe sanktuarjum.

Zmrok wpełził w puszcze i zaszemrał. Cicha pogwara, od dębów poczęta, szła wśród boru. Drzewa mówiły sobie dobranoc.

I oto pod wpływem gawędy wieczornej lasu, czarny kir okrywający katakomby jego tragedji podniósł się i wyleciał z za niego rój białych gołębi, i trzepotał skrzydełkami białymi i białoróżową chmurą okręzał głowę Michorowskiego.

Opadły go srebrne ptaki — wspomnień. Wspomnienie! coś cudownego i pięknego! co sięga w krainę baśni, o czem trzeba śnić z zamkniętymi oczami. Wspomnienie powinno się znajdować wewnątrz skarbcza, jak pamiątka, do której należy się zbliżyć w skupieniu ducha, z uwagą, by ta reszta dawnej świetności nie uległa rozbiciu.

Chmura śnieżnych gołębi krążyła, stukając dzióbkami do zamkniętego gmachu duszy ordynata. Szeleściły atlasiste piórka upartych ptaków. Dobić się chciały do skarbcza i uchwycić złożone w nim klejnoty, by razem z tamtymi cudami utworzyć uroczą, jarzącą blaskami zorzę i skąpać w niej umysł Michorowskiego. Trzepotały się ptaszyny, kwiliły i już były blisko rozświtu zorzy. Już serce Waldemara zalewała słodycz niepojęta, haszyszem nasiąkały nerwy, mózg oddał się bezsprzecznie pod ich władzę. Całą duszą, całą istotą otwierał złote wrota swego sezamu, by na progu jego upaść z niemocy wyczerpania upoistego.

Ale bór zatrzęsł się groźnym wichrem, pęd ostry przeleciał czuby dębów, targnął niemi, runął niżej, w puszcze drzew i szamotał się zajadle, grzmiał na konarach i w dziuplach świstał. Powstał harkot, zamęt, ryk w cichym przed chwilą borze. A noc niezgłębiona szła na pomoc hordom wichru i waliła w czeluść puszczy ciężką swą postacią w czarnej todze.

Pierzchły stada gołębi, wiew czarownych skrzydeł wspomnień przycichł, ginął i znikł. Przestały kwilić cudne głosy i wrota złote

zawarły się z trzaskiem. Uleciały ostatnie piórka wspomnień. W pomroce rzeczywistości tylko rozlegał się huk miotanej wichurą puszczy i szelest spychanych z drzew liści.

Duże krople deszczu opadły ostro, jak kulki ołowiu, i najpierw słabym szmerem, potem coraz szybszym, głośniejszym, rozniosły się po drzewach jak lecący groch.

Reszta marzeń ordynata frunęła, głuszył je deszcz, smagał wiatr.

Ordynat spiął konia ostrogami. Linją leśną jechał do Białoczerkas, zmęczony duchowo wycieczką swą poza kir przeszłości. A za nim zostawał bór czarny, huczący, zostawały dęby, przemożne siłą, dumne ze swej potęgi, pełne brawury i majestatu.

O dęby! nie znacie toporu, więc butny wasz głos.

Szumcie rozgłośnie, wołyńskie dęby! nikt nie rani was.
Szumcie!

XII.

Bór stał jak okręt na niezmiernych przestrzeniach wietrznych, borykał się i zmagał. Przepastna zwała gałęzi ryczała na podobieństwo rozhukanych bałwanów morskich, roznosząc dokoła tytanicznego cielska oddech surowy i ostry jak sztylety. Porywała od swych stóp suche liście i rzucała je, rozpraszała, ciskała na swe bary, by natychmiast znowu zrzucić, a porywać nowe. Drzewa biły się wściekle, gryzły wzajemnie z trzaskiem, z łomotem. Jedne zarażały drugie impetem, wyzywały się czubami i bodły się z łoskotem i niosły wojnę w głąb zbitej masy konarów, coraz grubszych, okropniejszych.

Wicher walił z góry i z boków. Lecz i nisko na ziemi pełzali wrogowie. Szła jakaś ciemna wydłużona poczwara, krokiem zdradzieckim, jakby lisim. Sunęła dość prędko, chwilami, gdy wrzask gałęzi wywoływał jakby tętent koni, poczwara zatrzymywała się, słuchała, znowu pełzła. Czasem jęk drzew wydawał się wyciem upiorów, niby skowyt potępieńców przebiegał puszcze, mroząc szpik w kościach. Wówczas mnogość rąk poczwary robiło znak krzyża. To szli ludzie. Tłum chłopów z siekierami rąbać „kniaziowy“ las. Cała gromada wyciągniętym węzem wżynała się w bór: szare świty, łapcie z łyka na nogach, w pomroce nocnej słabo widniejące siekiery.

Weszli. Bór przyjął ich szumem żalonym, sypnął gradem mokrych kropli, wiązał im stopy gąszczem traw splątanych i korzeni. Ale chłopci, zwinni jak koty, brnęli śmiało, skacząc raźnie, bełkocąc z zadowolenia. Niedźwiedzie ponurki rozwlekły swe echa po uroczysku czarnych dębów i posępnie zwiastowały im śmierć.

Gdy pierwszy grom toporu buchnął groźnie, zadrżały nerwy drzew. Przerazenie szarpnęło członkami dębów; siekiery rozpoczęły kośbę. Warczało żelazo:

Buch! buch!

Dwustu chłopów przegięło się żarłocznym ruchem, dwieście twarzy bezmyślnych wykrzywił dziki śmiech tryumfu i chciwości, dwieście toporów wzniosło się w górę i ugrzęzło w twardym żylastem ciele dębów.

Bór stęknął. Groza i zdumienie ujarzmiły wojnę gałęzi, nawet wichur umilkł. Trwoga, nieznana tu, a nagła i ogromna, zatrzymała w miejscu oddech drzew. Jądra ich, serca, kipiące sokami ożywcze, zastygły w niemym strachu.

Wichur z wroga odrazu stał się przyjacielem napadniętych. Szemrał łagodnie i od czuba do czuba niósł podzwon grobowej wieści.

Zabijają was, dęby! giniecie, dęby!

Ratunku! ratunku!

Barbarzyńskie topory w rękach bestji ludzkich grzmiały już donośnie, śmiało z rozmachem piekielnych cepów. Chłopstwo czuło się panami boru, i darło mu wnętrzości, zabierając wszechpotężnych magnatów puszczy. Siekiery niweczyły butne istnienia, druzgocąc je kawałem żelaza.

Bór szedł na pastwę, bór z jękiem konającego pomocy wzywał, bór płakał nad zgubą swych wodzów. A dęby toczyły krew, ciała ich pokryły się ranami, czuby trzęsły ostatnie dreszcze.

Ale stały, jeszcze stały wielkie, choć już słabnące, jeszcze czola do góry pną. Krzywda się im dzieje, lecz mężne, trwają w chwale do końca.

Gdy kilkadziesiąt olbrzymich trupów legło z głuchym łomotem ostatnich tchnień, i gdy nad nimi rozsłochał się bór, i zwierzęcym wizgiem tłuszcza chłopska ogłosiła swój tryumf, w Białoczerkasach powstał zamęt.

Do sypialni ordynata zastukano gwałtownie.

— Co tam?!

Zdyszany głos za drzwiami wyrzucił krótko:

— Chłopi rąbią las!

Ordynat zerwał się, jak ugodzony.

— Który! gdzie!?

— Uroczyisko czarnych dębów!

— Konia podawać! prędko! Strażacy na koń! Cała służba! Kamerdyner biegł spełnić rozkaz.

Ordynat ubierał się gorączkowo.

On kochał te dęby, przeniósłby je do Głębowicz, gdyby mógł.

Jego dęby tną! Dęby giną... Chryste!!!

Nie upłynęło kilkanaście minut, kiedy ordynat, na nic nie-pamiętny, w ubraniu do konnej jazdy i w lekkiej burce gnał do boru na czele zastępu strażaków, kilku strzelców i służby. Tuż za nim, leżąc na koniu, cwałował wierny Jur i klął w duszy, zły, że nie miał pod ręką swoich chłopców, strzelców zwierzyńskich, dla obrony pana i jego boru.

Wiatr gwizdał w uszach, ćwiczył ordynata, ostrem zgrzeblem wbijał mu się w piersi. Rwali w pomroce, lecąc jak orły drapieżne niesione zemstą. Dziesięciu strażaków z pochodniami naprzód, krwawą szarfą znaczyli przybycie pomocy nieszczęsnej puszczy.

Wpadli w bór jak szalony, rozżarty płomień i wzniecili popłoch. Pochodnie rozlały się na wszystkie strony. Każda goniła kilku chłopów. Wrzaski uciekających ogłuszały. Chłopstwo zmykało bez tchu, gonione tętentem koni, blaskiem smolnych zarzewi. Biało-Czerkascy nie bili, mieli wyraźny rozkaz jedynie rozpędzić tłum. Ale przeklinali „muzyków“, jak kto umiał, bo to rozsiewało strach. Chłopi ogromni, zarośnięci kudłami, rzucali topory, i oślepli z trwogi, rozbiegali się jak szakale, skacząc i przewracając się przez powalone dęby. Gdy pomiędzy dwoma pochodniami ujrzeli pędzącego ordynata, krzyk wzmógł się. Pojedyncze głosy chrypiały:

— Książ! Książ! Michorowski! Baczysz? Ratuje ludy!

Chłopi stale nazywali ordynata „ksiąziem“, nawet nie ze względu na mitrę, lecz na miljony. Takiego bogacza bez tytułu „księcia“ nie pojmowali.

Teraz był on dla nich antychrystem. Spadł tak nagle w ogni-
stych smugach, dyszący gniewem, jakim go nigdy nie widzieli. Chłopi zwątpili nawet czy to „Michorowski“; a może upiór z mogiły? Donośny głos jego ścinał ich lękiem.

Nie było możliwości wytłumaczyć im nic, ani spytać dlaczego

rąbią dworski las. Ordynat zwoływał ich, bez skutku. Rozpierzchli się tak szybko, że ujęto tylko kilku najzjadlejszych przewodników. Ale i ci, prócz drapania się w głowę i niezrozumiałego bełkotu, nie dawali wyjaśnień. Przestрах zniszczył ich odwagę, zdusił tryumf i żądzę zaboru. Ordynat, patrząc na nich, litośnie kręcił głową. Ta dzicz mogła uleść złym wpływom tem łatwiej, że brakło im szczypty cywilizacji, główną zaś ich cechą była chciwość.

Michorowski oglądał szkodę. Z żalem patrzył na potężne pnie dębów leżących ciężko na ziemi. Na odkryte rany, błyszczące świeżemi słojami, na mnóstwo rozłupanych drzazg, sterczących jak noże. Ordynat stał na tem cmentarzysku, niemal głowę chciał odkryć przed zwłokami moczarów boru. A dęby nie ścięte mruzczały cicho, rade z ocalenia, wdzięczne za ratunek, ale smutne, ależ roniące na ciała towarzyszków poległych.

Cały bór był jeszcze w osłupieniu, niemy, pod wrażeniem odegranej tu tragedji, głuchy, stroskany.

Ordynat wracał do pałacu wolno, z głową zwieszoną, jak po pogrzebie.

Drogę oświecały mu pochodnie; dokoła niego człapali konni; chłód przenikał go aż bolesny. W piersiach uczuł przebicie jakby dzidą, miecze miał w płucach. Brakło mu oddechu nawet do prędkiej jazdy.

Ale myślą był ciągle przy dębach.

Na szczęście nie wiele umarło. Takie kolosy i już bez życia, bez duszy. Nie zaszumią już, umilkły na wieki.

Ordynat westchnął.

Uczuł silne ukłucie w boku.

— Czym ranny? — pomyślał.

XIII.

Choroba wybuchnęła nagle ze zdumiewającą gwałtownością. Ordynat kaszlał, męczący ból w boku wzmagął się i groził.

Michorowski zaczął pluć krwią.

Chwilami tracił przytomność i znowu ją odzyskiwał.

Gorączka chwyciła go w zabójcze szpony.

Organizm silny i zawsze odporny tym razem uległ z żywiołową mocą. Zapalenie płuc rozgorzało mściwie, chłonąc mięśnie, krew i umysł. Michorowski walczył z chorobą jak lew, ale go zmoęła. Zaczęła się już walka ze śmiercią. Walka poważna, nie rokująca

nadziei zwycięstwa dla strony napadniętej. Ordynat nie chorował nigdy przedtem i teraz borykał się jak z czemś nieznanem, tracąc siły z przeraźliwą szybkością.

Biało-Czerkasy trzęsły się, w Głębowiczach zamierali z trwogi. Alarmujące telegramy strzelca Jura zwoływały do łoża chorego lekarzy, niosły przestraszające horoskopy do rodziny; uderzały gromem.

Ale nikt nie wiedział dokładnie, co się stało. Depesze były groźne, lecz nie jasne. Ranny, czy chory?

Luci ta niepewność podniosła włosy na głowie, lecz przed dziadkiem zataiła wieść mogącą go zabić.

Piątego dnia w zamku Biało-Czerkaskim zapanowała panika. Niema ratunku!

Słowa te tragiczne rozeszły się po całej rezydencji, jak zaraza dżumy. Na kogo trafiły te słowa, bieląły mu usta, zwieszała się głowa. Płochliwe echa idące z sypialni, snuły się cicho po kątach, przerywane często krótkim spazmem płaczu. Jur leżał krzyżem przed drzwiami sypialni. Żadna siła nie zdołała go odciągnąć. W pokoju chorego było już jak w grobie. Cisza, ciężka atmosfera wieczoru, mętne, rozplynięte światelko lampki nocnej i chmura trwoźnego oczekiwania: Przeżyje czy skona?

W kącie pokoju skupiona gromadka czarnych sylwetek doktorów, na poduszkach łoża, jak rozpalony węgiel, głowa ordynata, a w nogach na pół żywa... Lucia. Dziś przyjechała i odrazu przestała żyć życiem rzeczywistym. Słowa „niema ratunku“ powitały ją od progu. Runęła do nóg Waldemara czując się już bezsilną. Jechała tu, nie śpiąc i nie przestając szarpać swej duszy. A teraz pragnęła umrzeć, aby nie czekać tego piorunu, który lada chwila mógł tu spaść. Lucia tego nie pojmowała, gdzie jest, i co się z nią dzieje. Duchowa jej istota zmieniła się w jeden wrzód ropiący strasznie. Nikt nie słyszał jęku jej, nie widział łez. Pochłaniała to kołdra na nogach Waldemara. Doktorzy przyzwyczaili się przez kilka godzin do wiotkiej, czarnej postaci dziewczyny, zwisłej na łóżku. W świetle przyćmionem widniał jej jasny warkocz, spływał na suknię, jak niedbale rzucona wstęga.

Godziny szły, jak stulecia walk i mordów. Wlokły się chwile, ciężarne niezgłębioną bojaźnią, chwile w których płynący czas sprawia szmer nieznośny. Powietrze tu gniotło, parność okropna dławiała dusze, napełnione lękiem do ostatnich granic. Oddech śmierci był w pokoju, ale w tej zgęszczonej masie skarg, żalów

i rozpaczy, przerażenia, uwiązł bezradny, jakby nie śmiał sięgnąć dalej. Ostatnie chuchnięcie ociągało się, wahało, zatarasowane przemocą bólu. Już dochodzi do łoża, pyłek niepewności ginie, grom ma się spełnić, lecz... zabójczy dech rozłazi się szeroko, znowu bez ostrza, znowu przyczajony, grozi tylko.

A wieki idą, idą — zda się — w nieskończoność, ciągnąc za sobą ponure historie nędz duchowych.

Ósmego dnia choroby nastąpiło przesilenie.

Świt październikowy, spowity w siwych kożuchach mgieł, wilgotny, ciężki przylepił się do okien pałacu i rozmażywał na nich swe ołowiane akwarele, ociekające wodą po szybach. I stopniowo dodawał farb białych, rozjaśniał je, wykończył.

Dzień rozsunał zroszone powieki. Blade źrenice, bez błysków, ale otuchę niosące, wyjrzały swobodnie.

W sypialni zgasła lampka.

To oddech złowrogi nie dotarłszy do łoża, zdmuchnął ją i znikł, zabity porankiem.

Ale o tem nikt jeszcze nie wiedział.

Groza wisiała.

Ordynat otworzył szeroko oczy.

— Co to?... — spytał nieprzytomnie.

Zerwali się wszyscy, pełni strachu, ale bez szelestu.

— Co to?... kto jest? — powtórzył chory.

Lucia pochyliła się jak senna.

— Ja jestem... Waldy...

— A!... Stefcia! Widzisz... Wróciłaś...

Głucha cisza.

— Wróciłaś? Już nie odejdziesz: prawda? Mów!

— Nie...

— Zostań! zostań! Tak dobrze!.. Ale ty pójdiesz.. boję się!

— Zostanę... Waldy... Zostanę.

Waldemar trzęsące się ręce Luci położył sobie na oczach i oddychał ciężko i rzeził.

Ona z okropnem trzepotaniem się serca, spojrzała na doktorów wzrokiem konającej. Błagała ich o coś. Zrozumieli.

Badanie trwało krótko. Ordynat nie widział ich, trzymał ręce Luci i przemawiał do niej, jak do narzeczonej. Błędnie składał słowa, chwilami cichł i znowu zaklinał ją, by nie odchodziła.

Doktorzy podnieśli się z dobrą smugą w oczach. Twarze ich były jasne, szczęśliwe.

— Przesilenie minęło. Ocalony!

Lucia nie zrozumiała, czy to wyrok, czy łaska. Umysł jej stępieł. Mrugała powiekami.

Jeden z lekarzy wziął jej rękę.

— Baronównu, przytomności trochę. Zło przeszło. Spokoju

— Stefciu... zo... staniesz — spytał chory zasypiając.

Rzuciła się na kolana przed łóżkiem, całując jego rękę:

— Zostanę... nazawsze! — jęknęła.

XIV.

Przyjście do przytomności nastąpiło prędko. Przez parę dni po przesileniu ordynat jeszcze chwilami majaczył, rozmawiał ze zmarłą Stefcią w osobie Luci, tulił ją do siebie. Ale chwilami marszczył się, patrząc na nią, nawet raz odepchnął ją brutalnie. A gdy ona, nie rozumiejąc, przemówiła do niego łagodnie, prawie pokornie, i zapytała, czemu ją odpycha, odpowiedział szorstko:

— Jesteś podobną do Luci! Nie chcę cię taką; bądź sobą!

Dziewczynie łzy gorzkie bezwiednie spadły z oczu. Zanim je otarła, on je zobaczył. Wzruszył się. Wyciągnął do niej rękę.

Ale ja cię kocham... Stefciu moja... Tylko... czemuś ty taka do Luci podobna?...

Resztki maligny walczyły w nim z przytomnością, wywołując wizje męczące i opóźniając rekonwalescencję. Lucia prawie go nie odstępowała, ale jednocześnie pragnęła zupełnej przytomności Waldemara, a zarazem jej się obawiała. Chory zżył się z gorączkową pewnością, że jest z narzeczoną; rzeczywistość mogła mu zaszkodzić. Lucia siedziała tuż przy nim tylko w czasie jego snu; gdy się budził, trzymała się zdaleka. Kiedy ją wołał imieniem Stefci zakrywała twarz rękoma i klękając przy łóżku, odpowiadała mu szeptem, bojąc się własnego głosu.

Gdy w pewnej chwili Waldemar pieścił się jej włosami, i spytał, czemu się nie czesze jak dawniej, Lucia natychmiast ułożyła włosy tak, jak nosiła Stefcia. Ale to wszystko mogło tylko pogorszyć jego przebudzenie.

Nastąpiło ono wkrótce.

Waldemar spał — snem ciężkim, odradzającym organizm. Lucia trzymała jego dłoń. Zmęczona była czuwaniem, wyczerpana doszczętnie. Ale nie pozwoliła sobie nawet na zdrzemnięcie. Przygasły wzrok swój z mizernej, wychudłej twarzy Waldemara skierowała na okno, zalane szarym dniem, i zamyśliła się smutnie. Niebezpieczeństwo minęło. Radość niesłychana wypełniła jej serce, ale jednak kłuło w niem, boleśnie kłuło. Teraz jest z nim, pieszczona przez niego nieświadomie; ale potem... musi odejść może odtrącona? Znowu męka, znowu żal! To nic — byle on był zdrów. Byle on...

Ręka chorego zadrżała w jej dłoni. Lucia uczuła na sobie jego oczy. Z przestraczem odwróciła głowę i spojrzała prosto w jego źrenice szeroko rozwarte, błyszczące, przytomne już i.. zdumione.

— Lucia! — krzyknął z niewiarą w głosie.

Zerwała się, chcąc uciekać, jak na zbrodni złapana. Lecz opamiętała się. Stała.

— Luciu!? co tu robisz?

— Jestem przy tobie, Waldy — szepnęła z niemem przerażeniem.

— Gdzie?...

— W Biało-Czerkasach. Byłeś chory.

— Byłem chory!... Aha! A powiedz mi... kto tu jest więcej...

— Są doktorzy... Jest Jurek Brochwicz...

— A jeszcze?...

— Jest łowczy i rządca z Głębowicz.

Waldemar rozejrzał się niecierpliwie po pokoju. Gniew osiadł mu pomiędzy brwiami.

— Ale... ale... kto tu jest... kto tu był... więcej?... mów!

— Nikt, Waldy.

Lucia zrozumiała, kogo on szuka, i spazm zaciął jej gardło. On rzucił się nerwowo.

— Jakto nikt?... Mów! była ona...

Zachłysnął się.

— Kto jeszcze z kobiet?... Ty jedna?...

— Ja jedna, Waldy.

Wpił w nią oczy tragiczne, niewierzące. Rozpacz w nich mignęła, nawet raptowny błysk wściekłości. Rękę Luci zgniótł, jakby nienawistnie i cisnął przez zęby.

— Ty jedna?... Lucia?

W okrzyku tym był zawód, była apatja i śmiertelna rezygnacja. A dla Luci upokorzenie raniący policzek.

Łzy zalały jej twarz, padły na ręce i kołdrę Waldemara. Chciała odejść, ale przemogła obrazę duszy, stała cierpliwie ze spuszczonej powiekami, jak martwa.

On puścił ją. Patrzył na łzy, znowu na nią, jeszcze raz nieufnie spojrzawszy dokoła, poczem zamknął oczy i pochylił głowę na bok.

— Będę spał, zostawcie mnie.

Ten szmer jego ust Lucia więcej odczuła, niż słyszała. Odeszła cicho, jak cień, blada, znękana, a przed nią padały duże krople łez, zaprawionych trucizną.

Gdy znikła, Waldemar otworzył oczy.

— To była... Lucia... ale... dlaczego ona tu przyjechała?.. — pomyślał.

Dlaczego?

XV.

Jeszcze nie było dobrze; jeszcze się obawiano. Trochę lekceważenia choroby — i mogły wybuchnąć suchoty. Ordynata świat lekarski jednogłośnie wysłał na południe. Lecz on nie chciał, opierał się, i zaledwie błagające listy pana Macieja i księżnej Podhoreckiej, nieśmiała prośba Luci, wreszcie tłumaczenia Brochwicza wywołały skutek: Waldemar się zgodził. Chciał najpierw jechać do Głębowicz, i na to nie pozwolono.

Lucia przebyła w Biało-Czerkasach aż do jego wyjazdu za granicę. Nie narzucała mu się — tak dalece, że sam kilka razy pytał, czy już wyjechała.

Doktorzy mówili mu o troskliwości, z jaką pielęgnowała go w chorobie, o niemal poświęceniu.

Był wzruszony jej dobrocią, chciał dziękować, ale prawie jej nie widywał, a jeśli zobaczył, to na krótko, i nie pozwalała mu o tem mówić. Przy nim była wesoła, radosna, nie zdradzając niczem stanu swej duszy. Tak, że Waldemar, który czuł się nieco winnym względem niej, przypominając sobie przez sen, że ją odtrącił, uspokoił się zupełnie. Badał ją wzrokiem, nie wierząc instynktownie w jej spokój, ale Lucia grała swą rolę znakomicie.

Brochwicz ofiarował się odwieźć ordynata na południe. Chciał jechać lekarz gębowicki, ale Waldemar nie zgodził się na to. Zabierał tyłka Jura, któremu Lucia od siebie nakładła w głowę, jak ma chodzić koło ordynata.

Godzina rozstania nadeszła. Ordynat był zły; Riwiera nie nęciła go. Ale listopad w całej pełni, naładowany ostrością powietrza, i krew pokazująca się jeszcze z płuc zmuszały myśleć o ocaleniu życia. Przeciwnikiem tych poważnych atutów była bezdenna apatja ordynata. Ona przestraszała wszystkich obecnych.

Lucia od wczesnego ranka walczyła z sobą, wzniecając hart i dumę własną, aby pożegnać Waldemara z godnością. Chciała być tylko siostrą, bez uczuć głębszych, natury odmiennej. I tak przygotowana stanęła do próby.

Przed samym wyjazdem znaleźli się tylko we troje: Waldemar, Brochwicz i ona. Karetka czekała, czas naglił.

Ordynat podszedł do niej.

— Do widzenia, Luciu — rzekł serdecznie.

Podąła mu obie dłonie.

— Do widzenia, Waldy! Niech cię Bóg prowadzi... Wracaj zdrowym...

Załkało jej w piersi. Urwała. On ucałował jej rękę dość długo i pieściwie. Patrzył na nią, prosto w oczy, jak spowiednik na penitentkę. Wytrzymała ten wzrok zwycięsko.

— Tak mnie chłodno żegnasz?... Luciu!? — przemówił cichym, miękkim głosem.

Odrązu, bez woli już, bez walki zarzuciła mu ramiona na szyję i na jedną sekundę przyłgnęła do jego piersi. Usłyszał skowyt w jej krtani.

— Waldy... drogi...

Uściskał ją krótko, bo się wyrwała. Żegnała go już tylko oczyma, rozjaśnionemi ze szczęścia. On już z karety uśmiechnął się do niej dobrym śmiechem.

Odjechał.

A Lucia dopiero wówczas serce swe i duszę oblała gorącemi łzami i wysłała je za Waldemarem.

Wieczorem i ona wyjechała z Biało-Czerkas.

XVI.

Zimę Waldemar przebył w Tyrolu, zmieniając miejsca pobytu. Na wiosnę przyjechał do Nicei. Zdrowie mu powróciło, lecz było już szarpnięte; musiał pozostać na południu do końca maja. Czuł się znudzony. Dręczył go ten świat, pełen blasku, życia, pełen coraz nowych ludzi i wypadków. Tęsknił już za mglistym dniem w Głębowiczach, byle odpocząć po cudnej roztoczy nicejskiego słońca, niezmiennego, które go nużyło. Nie pociągało go nawet morze. Puszczal się na fale sam jeden w barce rybackiej, ale wybierał dni, kiedy morze jest wzburzone. Musiał walczyć z bałwanami, i to go jedynie poruszało.

Znajomych miał tu wielu, lecz nie bywał w towarzystwach i unikał ich. Tylko hrabia Dominik Herbski był zawsze mile przezeń widzianym towarzyszem. Dawny znajomy, choć dużo starszy od ordynata, zgadzał się z nim w wielu pojęciach nowoczesnych.

Spacerowali obaj na Promenade des Anglais. Dzień był jasny, prawdziwie nicejski. Morze, lekko sfalowane, wyglądało jak lśniący, niebieski aksamit, pomięty i poprzerzynany sznurami pereł: to piana, wązko i długo rozściągnięta, tworzyła jakby festony perłowe, jakby fryzowane falbanki z gazy.

Ordynat, trochę kwaśny, mówił mało, słuchał grubego głosu hrabiego Dominika, który toczył się przy nim wielką swą postacią, o twarzy ciężkiej, lecz inteligentnej.

Przeszedł obok nich młody człowiek, wysoki, szczupły. Eleganckie, spacerowe ubranie białe leżało na nim jak na lalce. Miękki kapelusz włożony z fantazją, osłaniał drobną, nerwową twarz dwudziestoparoletniego blondyna. Głowę miał pochyloną nad notesem, w którym coś notował, mrucząc dość głośno do siebie. Laseczkę, jak cacko, trzymał pod pachą i szedł sążnistymi krokami nie uważając na nic i na nikogo.

— Ten używa południa! — rzekł Herbski, gdy młodzieniec ich wyminął.

— Zna go hrabia?

— Z widzenia. Wiecznie biega tak jak teraz; coś zapisuje i gada do siebie. Gra przytem, niech Bóg broni! Dlatego też mówię: używa południa.

— Gra?...

— Ciągłe siedzi w kasynie. Taki smarkacz.

— To polak?

— Zdaje się, ale nazwiska nie znam. Cały dzień przebywa w Monte Carlo, tu tylko nocuje.

— Hm! Ciekawe! — szepnął Waldemar, śledząc wzrokiem smukłą sylwetkę nieznajomego.

— Dlaczego ordynat tak się nim interesuje? To dość zwykły okaz na tem wybrzeżu.

— Ja go znam.

— Taak?...

— Nie wiem gdzie i kiedy, ale widziałem go dość blisko. Muszę go odszukać.

W kilka godzin potem ordynat był już w Monte-Carlo. Siedział na ławce w parku nawprost Kasyna i uważnie przepatrywał spacerujących.

Nieznajomy młodzieniec intrygował go już od kilku dni. Tylko, że w Nicei ginął mu ciągle z oczu.

Michorowski zamyślił się.

Patrzył na niezliczoną mozaikę ludzkich twarzy, przesuwających się obok niego, na gorączkowe ruchy tych ludzi, na wyraz odbity na każdym odrębnie, jak własna pieczęć. Nie dziwił się co ich denerwuje. Wiedział, że żądza złota. Posiada ją każdy — w mniejszym lub większym stopniu. U jednych ona ginie pod wpływem dostatku i gdy nie jest pobudzoną; u innych jest zduszona silną wolą; jeszcze u innych plonuje ciągle i prowadzi do zbrodni. Ten, kto zupełnie w zanadrzu jej nie posiada, nie ceni zarazem i życia. Abnegacja dla złota idzie w parze z apatją życiową lub z tak krańcowym idealizmem, że z życiem realnem również nie ma nic wspólnego. Zresztą, pomiędzy poszanowaniem grosza a żądzą złota jest cała przepaść. Najwięksi realiści, dbający o pieniądź, nie uczuwają tej zwierzęcej chciwości jego, chyba podrażni ich widok gór złota na stołach kasyna. Lecz silnych natur dreszcz ten nie zgubi; może chwilowo nimi wstrząsnąć. A często najgłębsi idealisci, którzy w pospolitych warunkach z pogardą odsuwają od siebie pieniądze i w istocie nie przywiązują do nich żadnej wagi, wpadają w matnię domu gry.

Bo ta jaskinia zdolną jest wydobyć żądzę złota z najtajniejszej skrytki ludzkiej istoty, tembardziej, jeżeli trafi na naturę zapalną, gorącą. Umie dokazać tej sztuki, jak sprowadzenie zamglonych ideą oczu poety z obłoków na sukno rulety.

Ta paszcza o złotem podniebieniu pożera tysiące bezwartościowych, ale i cennych jaźni, ciągnie je na swój lep i przetrawia. Wyrzuca z siebie trupy moralne i fizyczne i chłonie, chłonie bez odpoczynku. Nienasycona, groźna!

Nagle Michorowski doznał jakby rzutu wewnętrznego, aby wyrwać stąd nieznanego młodzieńca. On już brnie w tej okrutnej paszczęce. Wyszarpnąć go z jej zębów póki czas.

Nagły rzut wewnętrzny stał się silnym pragnieniem. Michorowski nie rozumiał tego uczucia skierowanego na obcego człowieka, lecz i nie analizował go.

Chciał ratować ginącego, bo... chciał. Dlaczego?... — nie zdawał sobie sprawy. Sam niegdyś grał w tym potwornym gmachu, ale on miał za wiele milionów, więc mu złoto nie imponowało. Jednak wciągał się, nie wskutek chciwości samego złota, lecz wskutek chęci wygrania. Nerwy tu działały. Przerwał, bo poczuł w ustach gorzki smak wstrętu. Prawie każdy odczuje ten smak, ale często za późno. Nieznajomy jest właśnie w fazie najniebezpieczniejszej: goreje.

Michorowski, widząc go, nie pojmował, co go tak podnieca. Młodzieniec czynił na nim wrażenie podejrzanego, trochę narwańca, trochę pijanego jakimś zatrutym alkoholem, którejś z życiowych nędz.

Nie wiedział jeszcze wówczas, że on gra.

Ordynat drgnął na swej ławce. Usłyszał w bocznej alei młody głos i był pewny, że należy do nieznanego.

Ale to głos znajomy! Co to jest?...

Z poza klombów wyszedł młodzieniec w białym flanelowym kostjumie, prowadząc rozmowę z jakimś ospałym brunetem.

— Upewniam pana — mówił po polsku, że to ostatnia stawka. Jeśli przegram, djabeł się pocieszy.

— Bo przestałbyś pan z tą ruletą! — rzekł brunet tonem upominającym.

Młody człowiek roześmiał się.

— Kapitalny! To tak, jakbyś pan do tonącego powiedział: „przestań do licha z tą wodą!” Cha! cha!...

Brunet znowu coś mówił, czego już ordynat nie słyszał, bo znikł w drzwiach Kasyna.

Zerwał się i poszedł za nimi.

Co to za głos? co to za głos? myślał, trąc czoło.

W sali gry usiadł na bocznej kanapie i poszukał wzrokiem wśród tłumu otaczającego stoły. Łatwo odnalazł młodzieńca, który już wmieszał się w liczbę grających i cały był pochłonięty swoją stawką. Brunet stał za nim.

Gra trwała długo. Charakterystyczne, suche głosy krupierów odzywały się złowieszczo jak puszczyki. Brzęk złota, śpieszne oddechy graczy, często wykrzyk bolesny, jakieś westchnienie — odrzynały się plastyczniej od ogólnego, lekkiego szumu dużej masy ludzi.

Ordynat widząc tylko plecy młodzieńca badał twarze innych. Zapłnione policzki kobiet, ich oczy nalane piekącą chciwością, włos rozwiany, często zbakierowany kapelusz, były wyborną ilustracją stanu wewnętrznego tych istot. Gra brała ich w siebie z niepokonaną mocą. Poza tą ruletą świat cały zdawał się dla nich nie istnieć. Ale Michorowski, zaciekawiony jak wygląda twarz nieznanego młodzieńca, poszedł na drugą stronę sali, skąd mógł ją dobrze obserwować i tam zajął miejsce. Spojrzał, i zamiast badać wyraz, wpatrzył się w rysy młodego chłopca.

— Kto to jest?! — szepnął do siebie.

Jakieś odległe wspomnienie wionęło nagle i krótko. Ta twarz... te oczy... Tak! tak! coś bardzo znajomego.

Chłopak trzymał utkwiony wzrok na stole, ale błędził po nim. Na gromady złota patrzył chwilowo z wyrazem, jakby mówił: „kpię z ciebie, ale będziesz moje“. Na krupierów spoglądał z ironją, na publikę nie zwracał żadnej uwagi. Miał minę, jakby gra szła tylko dla niego.

Ciemno-piwnie oczy błyszczały mu nie żądzą, lecz ciekawością. Usta pełne, świeże, pod ledwo sypiącym się wąsikiem, krzywił nerwowo na różne sposoby: składał wargi jak do gwizdania, podciągał je pod nos, rozsuwał, ukazując białe zęby. Czasem uśmiech łobuzerski mignął na szczupłej, smagłej twarzy, czasem szybki jak błysk przestach. Wówczas nagłym ruchem dotykał dłonią głowy, porosłej lśniącym, ciemno-blond włosom, zaczesanym w górę. Brwi miał ostro zarysowane i dość skupione.

Ordynat na tych jego brwiach i ustach zatrzymał najdłużej badawcze źrenice. Ale i w ruchach, i w głosie, i w całej postaci było coś, co Michorowskiego wprost zdumiewało.

Nareszcie młodzieniec grę skończył.

Przegrał.

Ordynat nie spuszczał z niego oczu. Doznał dziwnej satysfakcji, zobaczywszy, że chłopak po momentalnym, niewidocznym prawie cieniu na twarzy, ukłonił się z wielkim wdziękiem krupierowi, i cofając się, palnął na cały głos do bruneta po polsku:

— Myślał, jucha, że zblednę!

Zaczął się śmiać, trochę nienaturalnie, lecz odważnie, i mówił dalej, wysuwając się z koła grających.

— Niby nic dziwnego, że przegrałem; jestem przecie szczęśliwy w miłości. Ale swoją drogą fortuna dała mi mata. A tom się splukał! — pisnął odmiennym, przyciągłym głosem.

Podeszli obaj blisko w stronę ordynata. Chłopak rzucił się na sofę. Brunet usiadł przy nim z miną wielce nieszczęśliwą. Chwilę milczeli. Ordynat udawał, że patrzy na grających. Coraz więcej zajmował go, niepokoił i bawił ten młodzieniec. On tymczasem kręcił się na sofie nerwowo, zdradzając chęć do gwizdania. Raz nawet jakiś niesforny ton wyleciał z jego ust, lecz młodzieniec zmitygował się w porę. Poczem zaczął mówić swobodnie:

— Niech pan jeszcze nie ma pogrzebowej miny, jeszcze żyję. Widzi pan: to się nazywa los brać za rogi, jak byka, gdy bodzie. No i cóż?! Nie mam na zapłacenie hotelu, nie mam na podróż... ba! nawet nie mam na obiad, bo już same długi. Ale rewolwer mam w kieszeni; gdybym chciał — trrach! i po wszystkim.

— Co też pan mówi! Ale, jakże można?... Co znowu!... — oburzył się przerażony brunet.

— Cha, cha! paradny pan jest! Ja bym się miał dla głupiej ruletki, która mnie okradła, strzelać?! Jeszcze czego! Ani myślę! Niech się nie cieszy nadzieją!

Zaśmiał się i znowu mówił, ku stałemu przerażeniu bruneta, który miał taką minę, jakby nie wiedział, czego się martwić: czy że młodzieniec nie chce się strzelać, czy że może się zastrzelić.

— Myśli pan, że ja palnąłbym sobie w łeb w parku? — mówił chłopak. — Ani trochę! Tu, w tej sali, przy samej rulecie... Co?! To byłby efekt szalony! Z parku zmietliby mnie stróże jak śmieć; nikt by nawet nie widział. Ale tu! O!! wszystkie lady i misy by pomdlały. Moja krew padłaby na ruletę, splamiła złoto. Ehe! może bym się przyczynił do oczyszczenia świata z tego plugastwa. Jak pan myśli: zamknęliby budę?

Brunet wzruszył ramionami.

— Pan głupstwa plecie, zamiast myśleć poważnie. Sytuacja nader przykra.

Młodzieniec zdawał się nie słyszeć. Szedł za biegiem własnych myśli.

— Załuję, że nie jestem taki głupi, żeby się strzelać. Zrobiłbym frajdę gazetom europejskim. Może i warto?...

Brunet powstał.

— Chodźmy do domu. Za dużo pan mówi.

— A cóż będę robił? Tylko głos mi pozostał, no, i kilka garniturów na zmianę. Siedź pan, trzeba się namyśleć.

— Nad czym?

— Jak najłatwiej fajtnąć na tamten świat.

— Et!

— No więc co?

— Niech pan zadeszkuje do domu. Przyślą.

Twarz młodzieńca spoważniała w jednej chwili. Rzekł twarzym tonem:

— Za nic! Matki prosić nie będę. Wyrzekła się mnie — żem łajdak. Niech i tak będzie.

Zamyślił się smutno i zwiesił głowę.

Ordynat, odwrócony dotąd bokiem, spojrział na niego i zdrżał. Błysk gwałtowny rozjaśnił twarz Waldemara.

Młodzieniec siedział nachmurzony z wydętymi wargami i z brwią silnie zmarszczoną. Jego oczy pociemniały jeszcze; były jak ze stali. Rzekł głucho:

— Przehulałem całą swoją schedę; nic mi się od matki nie należy, a żebrać nie będę.

— Więc cóż pan zrobi?

Chłopak wyprostował się.

— Zostanę kelnerem.

— Et!...

— A pan tylko to umie. Chodźmy!

Brunet wstał ociężale.

Ordynat podniósł się również. Twarz jego była prawie obojętna. Podsunął się do młodzieńca i dotknął jego ramienia.

— Kto pan? Czego pan sobie życzy?! — zaperzył się chłopak, już zły.

— Poczekaj.

— Cóż to znaczy?! Jak pan śmie w ten sposób kogoś zaczepiać.

Ordynat się uśmiechnął.

— Trafił swój na swego. Tyś również w sposób niezbyt elegancki tu się zachowywał.

— Ty?... Co to znaczy?!

— Słuchaj! Jesteś Bohdan Michorowski z linii czerczyńskiej i... z Czerczyna.

Młodzieniec cofnął się wtył. Zdumienie odebrało mu mowę.

Ordynat wziął go za rękę. Uśmiechnął się.

— Nie myśl, że jestem ajentem śledczym i że cię aresztuję. Jestem tylko Waldemarem Michorowskim z Głębowicz. Musiałeś o mnie słyszeć, bo pamiętać nie możesz.

— Ordynat?!

— Ten sam.

Chłopak rzucił mu się na szyję i ucałował. Poczem spojrzawszy na osłupiałego towarzysza, wołając:

— No, już możesz pan wyjąć kulkę z mego rewolweru. Daję dymisję pani śmierci.

XVIII.

Ordynat zabierał kuzyna do Głębowicz. Podobało mu się, że Bohdan był z nim szczery, i kiedy Waldemar spytał go o liczbę długów, odrzekł bez zwykłych w takich razach przesadnych skrupułów.

— A! wuj chce je popłacić? Très bien! To po ordynacku! Tylko uprzedzam, że jest ich kupa, i... że nie wiem, czy potrafię je kiedy wujowi zwrócić. Chyba jak otrzymam jakie dobra — na księżycu.

Zaczęły się spłaty długów Bohdana.

Ordynat nie robił kuzynowi wymówek wiedział, że to już na razie nic nie pomoże. Raz tylko rzekł, przeglądając weksel na jakąś bardzo dużą sumę:

— Trochę za wcześnie i... za słono zaczynasz.

Bohdan się zaczerwienił.

— Toteż — skończyłem. wuju — rzekł smutnie.

— A Czerczyn?...

— Już nie mój! Zresztą Wiktor jest właścicielem: nie ja. Co było moje fiu! poszło w świat.

— Mama by ci nie dała ginąć.

— Ee! Tam wszystkie akcje skierowane są na Wiktora. Ja zawsze byłem enfant terrible. Ochrzczony tak niegdyś, zastosowałem się do nazwy.

— Wszystko to... możliwe, tylko ruleta zbyt zbyteczna — rzekł Waldemar. — Kto cię do tego wciągnął?

— Własny przemysł. Chciałem dużo wygrać i lażłem. A to... ciągnie. Sto razy przysięgałem sobie i Stalskiemu, temu brunetowi, co to wuj wie, że nie będę grał. Ale gdzie tam! Człowiek, jak bydlę...

Zaśmiał się swobodnie i przeciągle.

— Nareszcie Stalski odetchnął. Wyjechał do Warszawy, szczęśliwy, żem uratowany. Ciągle mnie pilnował, abym kulki do mózgu nie zaprosił.

Na parę dni przed wyjazdem z Nicei Bohdan spochmurniał. Był milczący, opryskliwy. Ordynat odkrywał w nim coraz nowe cechy Michorowskich, lecz nie poskromione żadnym wędzidłem. Nie mógł pojąć, co mu jest, pytać zaś nie chciał. Nareszcie chłopak przemówił. Miał minę niezwykle wahającą się.

— Wuju! mam do ciebie... jedną... prośbę. Wyjeżdżam z Nizy; ale... cóż będzie... z Anną?

— Aa!! więc jest i Anna?!

— Cóż to, wuju, wątpieś? Jestem przecie Michorowski! My tu mamy opinię ustaloną; niepodobna jej zaniedbywać.

— Ty ją ustaliłeś?...

— Ja utrwaliłem! Dzieło zapoczątkowane przez potentatów głębowickich.

Złożył przed ordynatem zabawnie poważny ukłon.

— Których jedynym reprezentantem jesteś ty, wujciu.

Ordynat roześmiał się szczerze.

— No mniejsza! Jakże tam z tą Anną? Kto ona?...

— Wenus! Wenus Milońska! Boska dziewczyna! Ramiona — mówię wujowi — no, pycha! Zbudowana...

— Ale ja się pytam: kto ona? Że ładna, nie wątpię.

— A cóż mię obchodzi, kto ona? Moja! Ma śliczny buduarsio, cacy salonik, ubiera się szampańsko. Słowem — pigeon.

— Kokota?

— O! zaraz kokota! Przyjechała z Wiednia.

— Na sezon.

Bohdan skrzywił się.

— Ee, wuju! Ja ją kocham.

— Aż tak! Czy Niemka?

— Węgierka. To cukierek! Wuj sam chciałby mi ją odbić, gdyby poznał. Ale ja nie pokażę.

Waldemar ściągnął brwi.

— Jakież masz obowiązki?... spytał sucho.

— Muszę się pożegnać i... coś tam... — Wuj rozumie... Jakaś pamiątkę.

— Mów ściśle, co i ile.

Bohdan rzucił się nerwowo.

— Ach! nie pieniądze! To nie! To trzeba delikatnie. Ja ją kocham i żałuję. Może jakiś... klejnot?... Poradź mi wuju; tyś przecie praktyk.

— Najlepiej radź sobie sam. Żadnych zobowiązań nie robiłeś; czy tak?

— No, kochamy się. Zresztą ona nic odemnie nigdy nie brała.

— Lecz w końcu zanieś jej to — rzekł ordynat, wyjmując z kieszeni gruby pakiet. Wręczył go Bohdanowi z uśmiechem.

— Tą pianą przykryj swoją Wenus, zobaczysz, będzie ci wdzięczną.

Bohdan ze zmarszczoną brwią liczył banknoty.

— To za dużo, wuju.

— Masz jej kupić klejnoty! Wybierz, kup i wówczas oddasz mi co zostanie.

— Bagatela! Ale ja wuja obdzieram, jak bandyta.

Ordynat nieznacznie uśmiechnął się.

— Zaciągasz tylko nowy dług. Ufam ci, że nie przeholujesz.

Bohdan stropił się. Zawijał przeliczone pieniądze gorączkowym ruchem; twarz miał poruszoną; usta drzące. Z pod brwi spojrzał na Waldemara i rzekł:

— To najgorzej! Nie cierpię, gdy mi kto ufa. Mama i Czerczyn także mi ufali i... niezbyt im się udało. Ja tu za tę sumę gotów jestem kupić cały sklep jubilerski. A co potem?...

Nagle wziął ręce ordynata i mówił żałośnie:

— Dziękuję ci, wuju; jesteś dobry! Ale wiesz?... jak pomyślę, że te pieniądze mają być epilogiem moich stosunków z Anną... ogarnia mię żal i wstręt. A jednak trzeba. Jestem Michorowski, więc tak... na sucho, jak pierwszy lepszy hołysz, żegnać się nie wypada.

— Dobrze, że w stosunku do... takiej Anny rozumiesz to — rzekł ordynat.

Bohdan wybiegł z pokoju.

Przez cały dzień ordynat nie mógł się go doczekać. Był niespokojny.

Pod wieczór Waldemar poszedł nad morze. Długo chodził na wybrzeżu, pogrążony w myślach. Nazajutrz miał opuścić Riwjerę. Z radością widział się już z powrotem w Głębowiczach, tylko wspomnienie Luci przejmowało go jakimś niepewnym dreszczem. Może to się w niej zmieniło? może już nie trwa? Łudził się słabą nadzieją. Lecz listy Luci były przeczeniem. I Waldemar bał się.

Gdy zamyślony mijał jedną z ławek, nagle stanął. Ujrzał siedzącego na niej Bohdana. Chłopak skulony, opierał głowę na obu pięściach złożonych na lasce. Wyglądał jak kościany dziadek, w swem białym ubraniu i wtłoczonym na oczy kapeluszu. Szcupłość jego ciała w zgarbieniu całej postaci uwydatniała się plastycznie. Miał wygląd bardzo nieszczęśliwy.

Waldemar trącił go zlekka.

— Bohdan; co tobie?...

Chłopak podniósł głowę ociężale. Na długich rzęsach miał duże łzy, które nagle spłynęły mu na policzki.

— Bohdan!

Ordynat usiadł przy nim i serdecznie objął jego ramię.

— Co ci jest?... Cóż Anna?...

— Pożegnałem się, wuju. Ale i ona mnie kocha. Tak mi żal! Prędko otarł chusteczką oczy i rzekł z gniewem:

— Zły byłem na wuja za tę kolję! Kupiłem piękną. Same brylanty, pyszna woda. Ale cóż, nie chciała! Rozpłakała się. Spazmy, że ją byle jak traktuję, że ona tylko z miłości... Biedaczka moja! Biedaczka!...

— No... ale w końcu — przyjęła kolję? — spytał ordynat.

— Przyjęła.

— To... bądź spokojny!

W głosie ordynata zadrgał żart.

Bohdan wstał.

— Wuj taki cynik, że... nie mogę!

— Poczekaj! Dokąd idziesz?

— Ochłonać. Żal mnie dusi. Palnąłbym sobie w łeb.

Szerokimi krokami poszedł, świecąc w blasku księżyca jak cienki biały kwiat. Ordynat patrzył za nim. Żartobliwe iskierki w oczach zmieniły mu się w mgłę pobłażliwą.

— Zaczyna żyć — pomyślał.

XIX.

W Wiedniu ordynatnie spodziewanie spotkał na dworcu kolejowym baronową Elzonowską. W ciągu całej zimy starannie unikał spotkania, wiedząc, że baronowa przebywa razem z hrabią Barskim i z rozwiedzioną księżną Zaniecką. Spotkanie rozdrażniło go. Lecz na szczęście baronowa była sama. Zaczęła się od razu skarżyć na Lucię.

— C'est une fille folle — mówiła z najgłębszym przekonaniem. — Siedzi w tych Słodkowcach jak zakonnica. Chyba papa tego nie wymaga? Dwie znakomite partje odrzuciła. To szaleństwo!

Waldemar zmienił rozmowę, lecz baronowa prędko powróciła znowu do Luci.

— Wyobraź sobie: ona nie pisuje do mnie!... Obrażona za to, że przyjaźnię się z Barskimi. Voila! Smarkata! Dla jej kaprysu nie wyrzeknę się przyjaciół.

Waldemar zgrzytnął zębami, ale odrzekł spokojnie, tylko z ironją.

— Tak, to byłoby dziwniejsze, gdyby ciotka po wszystkim... co zaszło... unikała Barskich.

— Co ty mówisz? Voyons!

— O! nic! Żegnam ciotkę.

— Zaczekaj! Kogo to wiesz z sobą? Un beau garçon!

Ale Waldemar nie czekał. Szedł prędko, zapomniawszy nawet przedstawić pani Idalji Bohdana, który trzymał się zdaleka, świdrując zajadle oczyma w różowej buzi młodej Niemeczki, podróżującej z papą i z mamą.

W drzwiach do sali ordynat ujrzał wchodzących Barskiego i Zaniecką. Pot wystąpił mu na czoło. Gniew, obraza, wściekłe wspomnienie ugryzło go w serce. W oczach miał zimne żelazo. Żaden rys mu nie drgnął, tylko twarz zbladła.

Hrabia i księżna spostrzegli go. On cofnął się i poczerwieniał; oczy wylazły mu na wierzch. Księżna Melanja, również mocno ponsowa, utkwiała bezczelny wzrok w sztywnych oczach ordynata i szła naprzód śmiało, urągliwie.

Ordynat przeszedł, udając, że ich nie widzi, jak koło słupów telegraficznych i znikł w wielkich drzwiach dworca.

Księżna przymknęła oczy, bo źrenice Waldemara ukłuły ją boleśnie, niby długim ostrzem kamiennem.

Wzburzony Waldemar siedział już w wagonie, gdy wszedł Bohdan.

Był roześmiany. Rzekł z komicznym żalem.

— Pożegnałem swoją Gretchen! Pojechała do Iszlu. Wie wuj! ani rusz nie mogła wytrzymać mego wzroku. Ja mam się piorunującą! Przedstawiłem się jej jako książę Abrakadabra-Abra z linii świętych tureckich. Uwierzyła. Niewiniątko! A ona Müller. Mój Boże! — tylko Müller... a taka ładna! Ale, ale, wuj!

Spojrzał na Waldemara i umilkł. Śmiech zgasł mu na twarzy. Ordynat zdawał się obojętnie czytać gazetę.

Gdy już pociąg ruszył, Bohdan podsunął się bliżej i spytał cicho:

— Wuju, czy ta... piękna pani, którą wuj miął, to... ta sama co... anonimy...

— Tak — przerwał prędko ordynat. — To był Barski z córką. Bohdan zamyślił się. Po długiej chwili szepnął:

— Ma za swoje.

XX.

Waldemar zajął się szczerze swym kuzynem. Poznał go już trochę, lecz młody człowiek wymykał mu się z rąk. Ordynat nie mógł często wywnioskować, co w nim jest dobrego, a co za złego. Był inteligentny i żywy, pozatem wszystko inne plątało się w tej naturze w chaotyczny sposób, bez ładu i składu. Na zapytanie ordynata, kim chce zostać, Bohdan odpowiedział ze zdziwieniem:

— Tym, kim jestem: wielkim panem!

— A czy ty rozumiesz przynajmniej, co to znaczy: wielki pan?

— Wielki pan to jest obiekt a zarazem problemat. Może być i wielkim szubrawcem, i wielkim dobrodziejem. Ty, wuju, jesteś z dobrej kategorii, i o tobie dużo mówią, taki zaś... Barski...

jest ze złej kategorii, i także o nim dużo mówią. Ale i ty i on jesteście jednakowo wielcy panowie.

— To znaczy, że sam tytuł ciebie nie olśniewa? Dobrze i to! A ty na którą stronę się przechylasz?

Bohdan zaczął po swojemu wykrzywiać usta.

— Ja tkwię w środku i stworzę nową kategorię — zacno-łajdacką. Krańcowości nie lubię! nudzą mnie śmiertelnie.

Ordynat radził młodzieńcowi wstąpić do uniwersytetu.

— Nie mam pieniędzy — burknął Bohdan.

— Na to się znajdą, bądź spokojny. Wybierz sobie najodpowiedniejszy wydział, a ja ci wskażę uniwersytet.

— Ee! wuju! Nie mnie brać się na bakalarstwo! Dobrze, że skończyłem siedm klas szkolnych: miałbym się znowu do ławy przyszywać? Ani myślę! Zresztą w naukę nie wierzę. Mając spryt, można się samemu więcej nauczyć, niż bez niego w stu uniwersytetach. Czy ja jestem taki głupi? Wiem bardzo dużo, czytałem moc, a że się tam w filozofji babrać nie potrafię, to jest bez znaczenia. Do wynalazków także nie mam pretensji. Jednego tylko żałuję...

— Że masz takie pojęcie? — spytał ordynat.

— Nie, ale że Czerczyn nie jest moją własnością — odrzekł Bohdan trochę smutno.

— Puściłbyś go tak samo, jak i swoją splate.

— Może i nie! Zawsze to już coś. Ale dajcie mi pieniędzy, to sam potrafię wyssać taką esencję z życia, o jakiej się filozofom nie śniło.

Po szczegółowem zbadaniu spraw majątkowych Bohdana, ordynat wykazał mu całkowity deficyt. Młodzieniec liczył za- ledwo 22 lata, zdążył zaś już stracić nietylko to, co mu się należało z Czerczyna, ale i odłużyć się porządnie. Matka jego odpisała ordynatowi, że znać nie chce wyrodnego syna, że więcej nie da ani grosza, bo Czerczyn z przyległościami to tylko już własność Wiktora Michorowskiego, starszego brata Bohdana.

Rozpieszczony dawniej „Bodzio“ zrozumiał, że jest na łasce i niełasce ordynata. Stracił fantazję, ale nie na długo. Zapowiedział ordynatowi, że przez lato będzie hulał w Głębowiczach, potem zaś gotów iść drzewo rąbać, jeśli nic efektowniejszego wuj nie wymyśli. Prędko jednak zmienił zdanie. Z wielkiego pana zostać parobkiem, to spad za ostry, a znowu umierać dla tego — nie warto. Ożenić się bogato, tylko dla posagu, największe głupstwo!

Pozostaje więc praca. Że zaś to jest nudna pani, więc jeszcze lepiej być rozbójnikiem włoskim.

— Włochy znam wybornie, jestem mężny! Tak! zostanę najpewniej bandytą apenińskim i przezwę się Bohda-Michor. To będzie ładne.

Tworzył projekty coraz dziksze, ale poważnie zastanawiał się nad swoim losem, chociaż się z tem nie zdradzał.

Duży wpływ wywarła na nim wizyta jego matki w Głębowicach.

Pani Kornelja Michorowska, daleka krewna Waldemara, osoba jeszcze dość młoda, pełna pretensji, przesady i subtelnej ironji, w gruncie rzeczy tęga histeryczka, odrazu najgorzej usposobiła do siebie ordynata, gdy przyjechała do Głębowicz.

Nie rozstając się z różnemi trzeźwiącemi solami i z lornetką, mówiła cedzącym głosem i przez nos. Często mdlała, spazmy były jej zwykłym objawem ale nie szkodziły, tak jak aktorom nie szkodzi konanie na scenie. Do zwykłej dekoracji tej damy należał słodko-kwaskowaty, jak wymoczona w herbacie cytryna, uśmiezek, na ustach wąskich, złożonych w bolesny łuk. Był to wyraz dystygowany. On jednak najwięcej ordynata drażnił.

Pani Kornelja dziwiła się na wstępie, że Waldemar wziął w opiekę takiego „rien du tout“, jak Bodzio, bo to jest chłopak wykolejony. Usłyszawszy to „Bodzio“ najpierw przeprowadził całą serję min na swych wargach, potem rzekł z humorem:

— Że jestem wykolejony, to wina mamy. Któż to mi dawniej podsuwał do portmonetki ciągle po kilkaset rubli: czy nie mama? Papo, póki żył, nie dawał — mama przeciwnie. Czasem znajdowałem w portfelu spore sumy. Nie mam żyłki do składania, więc puszczałem w świat. No, i nasiąkła skorupka!

Pani Kornelja zaczęła wachać flakonik.

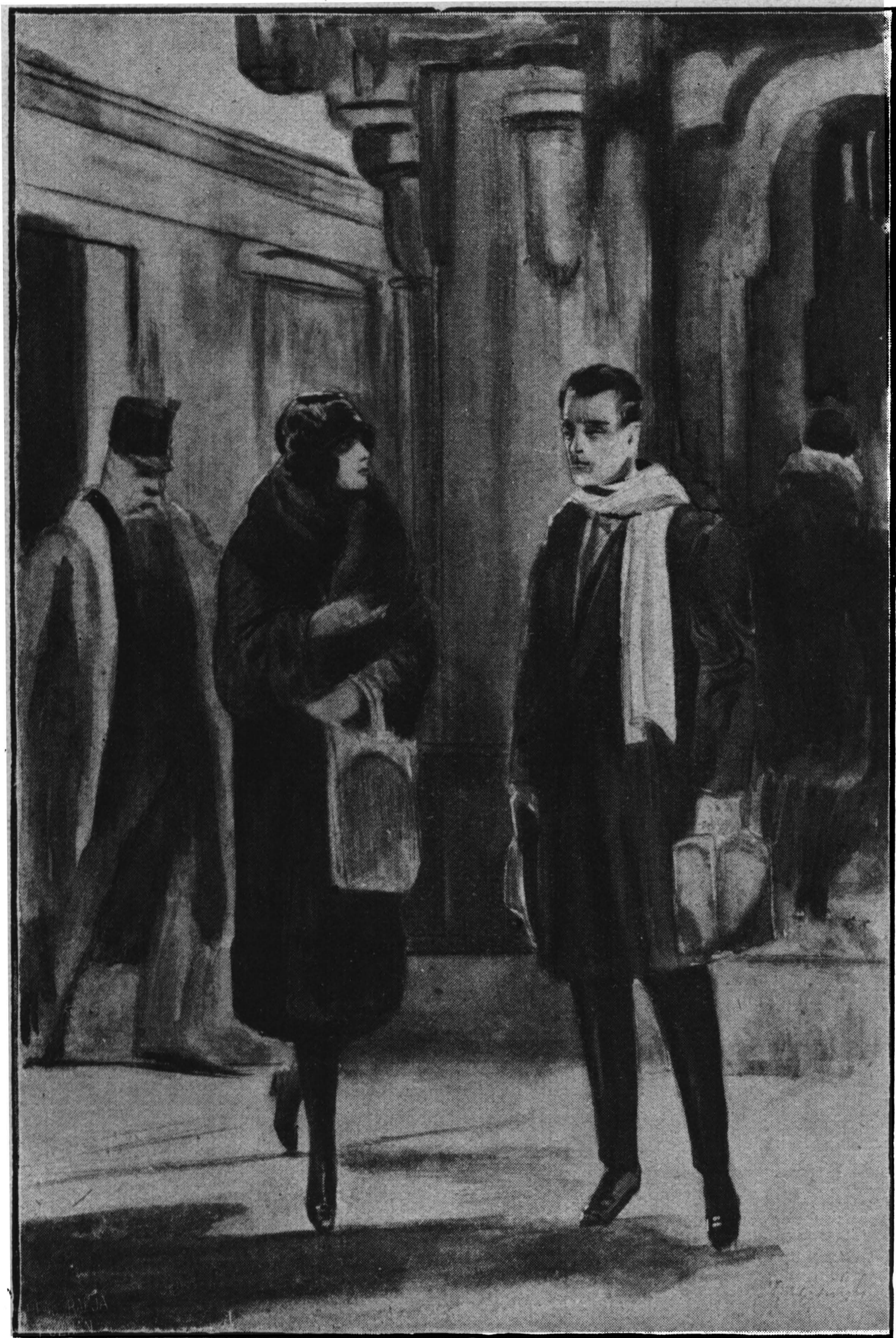
— Widzi kuzyn, jaki to syn niewdzięczny — jęknęła żałośnie do Waldemara.

— Wiktor będzie wdzięczniejszy, kiedy mamę z torbami puści.

— Zuchwały jesteś! — rzekł ordynat.

— Zobaczymy! Ja już jestem wyrzucony, w szalupie ratunkowej; ale Wiktor płynie całą parą.

Pani Kornelja, prócz gorzkich wymówek, zdobyła się jednak i na lepszą broń względem syna. W potoku czczych żalów i urą-



W Wiedniu ordynat niespodziewanie spotkał na dworcu kolejowym baronową Elzonowską . . . (str. 61)

gań, które aż ordynat musiał łagodzić, ironiczna dama rzekła z emfazą, ale trafnie:

— Więc teraz Bodzio zostanie pasorzytem Głębowicz — prawda?... Będzie puszczał pieniążki ordynata i baki zbijał. Voilà! to jest par excellence odpowiednie stanowisko dla Michorowskiego z Czerczyna.

Ordynat, dotknięty niemile, ściągnął brwi, lecz zanim przemówił, zerwał się Bohdan czerwony, wściekły, i rzucił przez zęby:

— Nie Michorowski z Czerczyna, ale Michorowski hołysz, z bruku nicejskiego, na który cisnęły mię... hojne paluszki mamy i chytra łapa Wiktora. Widzieliście, że ginę, ale gdy umyślnie zażądałem nie setek, lecz nawet tysięcy rubli, toście mi je przysyłali bez protestu. To spisek! Chcieliście, bym wybrał swoje i bodaj zdechł! Reszta was nie obchodziła. Byle „Vittoro“ uwolnił się od lokatora na czerczyńskiej hipotece. I zdychałem! Długi mię napierały. Pożyczałem 200 rubli, wydając weksel na 400 i więcej. Zacząłem grać... Łazłem w błoto! A ten, kto mię wyratował, zbiera owoce, waszą ręką posiane. Może mię wyrzucić za próg, ale jego nie zrujnuję, bo mam dla niego szacunek. Dla was — nie! Pasorzytem nie będę.

Zakręcił się na pięcie, wyszedł i trzasnął drzwiami.

Pani Kornelja zemdląła, potem dostała spazmów, oraz serdecznego płaczu i tego samego dnia odjechała z Głębowicz.

Bodzio natychmiast ożywił się. Wieczorem miał długą rozmowę z ordynatem, na drugi dzień był przedstawiony administracji Głębowickiej, jako nowy praktykant. Cieszył się ze swej godności, lecz długo targował z ordynatem o pensję, dowodząc, że powinien dostać więcej pieniędzy, choćby dlatego, że... wyrzekł się bandytyzmu.

XXI.

Uczucia, które Lucia żywiła dla ordynata, nie osłabły przez ciąg rozstania z nim; raczej się wzmogły. Dziewczyna przebywała w Słodkowcach długie, więzienne godziny utarczek wewnętrznych. Jej młoda dusza grzęzła w wonnem kwieciu marzeń, lecz nie upijała się ich czarem, widząc zawsze na dnie smutną prawdę. Jej tęsknota za szczęściem szła przez moczary, dążąc do pochwycenia błędnego ognika chwilowej utopji. I marła pod siłą

rzeczywistości, co niby wstający dzień, zabijała uludny ognek wątlej nadziei.

Lucia troskliwie pielęgnowała dziadka, uczyła dzieci w szkole z zapalem, ale czczość bezmierną odczuwała w przykry sposób. Bywały dni, w których tylko ogromną siłą woli zmuszała się do codziennych swych zajęć. Do szkoły wówczas nie chodziła. Potrafiła przebyć kilka godzin, wciśnięta w kąć szerokiej otomany, z głową, spoczywającą na dłoni.

Pan Maciej widział to, rozumiał i bolał skrycie, ale milczał.

A w duszy biednej Luci myśli, uczucia łamały się w gniotące złomy; rozpylały w proch, lub znowu, pobudzone jakimś wrażeniem, skupiały się i rosły w przepotężny zew, gorejący żywym ogniem umiłowania, spotęgowanego egzaltacją.

Częste przyjazdy Waldemara były dla niej zawsze nowym pokładem w nawale wrażeń, złym lub dobrym. Gdy on przemawiał do niej spokojnie, gdy sercem odczuwała w nim łagodność dla siebie, Lucia płynęła na miękkich obłokach, otoczona ciszą cudowną. Dokoła widziała jasność — i siała jasność. Gdy Waldemar był szorstki, chmurny, Lucia odrazu wpadała w krańcowy tragizm, zda się bez wyjścia. Jakiś obłęd brał mózg jej w posiadanie. Traciła wiarę we wszystko, co święte dla niej było zawsze; nie cierpiała ludzi i chłostała ich swą pogardą. Gdy Waldemar był roztargniony, niespokojny, Lucia miała wrażenie, że biegnie w borze gęstym, oślepla z trwogi i nie wie, czy oślepia ją blask słońca brutalnie palący, czy straszna ciemność nieprzebitej wzrokiem nocy. Uderzała się o pnie drzew, szukając czegoś, co ją straszło i ciągnęło zarazem.

Była jakby igłą magnesową, kierującą swój cień śladem błysków oczu Waldemara. Jej niechęć do matki wzrosła, czuła się wogóle skłonną do nienawiści.

Umiała trzymać na wodzy swe nieprzychylne uczucia, ale czasem wybuchaly bezwolnie. Czasem nawet chwilowym przedmiotem ich bywał Waldemar. Zaciskała wtedy zęby, gdy on ją całował na pożegnanie lub witając. Gdy przyjeżdżał, nie wychodziła do niego. Kaprysy te bolały ją potem, bolały nawet w czasie trwania, i pomimo to nie niweczyła ich. Brakło jej sił.

Bohdana Michorowskiego przywitała jak intruza niechętnie od pierwszego spotkania. Drażniło ją niewymownie zajęcie się nim Waldemara, i nie ukrywała go, gdy ją Waldemar pytał o zdanie co do Bohdana, odrzekła krótko:

— To człowiek bez wartości.

Ordynat był innego zdania.

— Mylisz się, Luciu! — odrzekł sucho.

Więcej o Bohdanie nigdy nie rozmawiali.

Bodzio nie robił sobie nic z niechęci kuzynki, jakkolwiek niechęć tę odczuwał.

Do Słodkowiec jednak jeździł rzadko, bo i pan Maciej patrzył na niego krzywo.

Bodzio nazwał Słodkowce zakonem trapistów, ale Lucię bardzo lubił, tylko się jej zawsze sprzeciwiał, robiąc z siebie przy niej umyślnie monstrum. Prędko odkrył tajne uczucia jej dla Waldemara i zrozumiał, że nie mają wzajemności. Chcąc ją z tego wyratować, opowiadał niestworzone bajki o swej miłości beznadziejnej do jakiejś Ludgardy, księżniczki czeskiej, która go nie kocha, a za którą on szaleje.

— I widzi kuzynka: pomimo to jestem wesół i żyję. Cóż mam robić? Trudno kogoś zmuszać do kochania. A gdzież ambicja? Ja będę marzył o ukochanej, ukochana zaś gwizdże na mnie. To sobie dobre! Najlepiej w takich razach mówić: „pal cię lichy“; to przynosi ulgę.

Lucia zrozumiała, do czego Bodzio zmierza, i to ją gnębiło.

Bohdan dobrowolnie przyjął rolę pośrednika pomiędzy Lucią i ordynatem. Ją chciał wyleczyć z nieszczęśliwej miłości, Waldemarowi znów wmawiał stale wielkie zalety Luci, opiewał jej dobroć i urodę. I cieszył się myślą naiwną, że z czasem tę parę skojarzy. Odkrył raz swe zamiary panu Maciejowi, lecz źle trafił; dostał ostrą odprawę.

Pan Maciej, przerażony odkryciem Bohdana, zabronił mu stanowczo mieszania się do obopólnych uczuć Waldemara i Luci.

— Dlaczego?... Skoro byliby z sobą szczęśliwi, to czy nie należy im dopomódz? — oburzył się Bodzio.

Pan Maciej przeżuwał starczemi szczękami, chcąc się uspokoić. Zamiary Bohdana były jego najtajniejszym życzeniem. Pragnął z duszy całej, aby Waldemar pokochał Lucię i wziął ją za żonę. Lecz starzec nie śmiał o tem nawet myśleć. Odważne projekty Bodzia zaskoczyły starca niespodziewanie. Nie wiedział co odpowiedzieć na słuszną uwagę chłopca. Rzekł tylko:

— Oni się pobrać nie mogą, bo wszak są blisko spokrewnieni.

— Ee! to nie może być powodem! A papież od czego!? Ordynat powiedziałby, że z inną się nie ożeni, że ordynacja wobec

tego upadnie, i... zrobione! — zawołał Bodzio, zadowolony ze swej polityki.

Takie postawienie kwestji przypadło do gustu staremu Michorowskiemu. Milczał, ale ciągle snuł swe ciche marzenia i zdwoił bacność względem wnuków.

Bohdan nie poruszał już tej sprawy wobec pana Macieja, ograniczał się na delikatnem podsuwaniu jej Waldemarowi. Lecz wkrótce i tu zbankrutował; pewnego bowiem dnia, po powrocie ze Słodkowiec, zaczął Bodzio po swojemu ubolewać nad samotnością Waldemara, potem przeskoczył na zachwyty nad Lucią i w końcu zniecierpliwiony obojętnością ordynata, rzekł porywczo:

— Bo wuj to chyba jest ślepy?! Czyż można nie zauważyć, że ta biedna Lucia kocha się w wuju jak szalona?! To nawet wstyd, to nie po męsku!

— Proszę cię, abyś swoje uwagi zachował dla siebie — rzekł Waldemar bezdźwięcznie.

Byli w gabinecie ordynata. Bohdan chodził po pokoju, ordynat siedział przy biurku.

Młodzieniec umilkł zawstydzony, lecz nagle spojrzawszy na Waldemara, dostrzegł, że ten ma utkwiony wzrok w portrecie zmarłej narzeczonej, wiszącym naprzeciw jego fotela.

Bodzio nigdy się nie namyślał, więc i teraz podszedł gwałtownie do Waldemara i zawołał z niesłychaną brawurą, wskazując na portret:

— Radzę wujowi puścić w trąbę całą tę Stefcie, tak jak ja swoją Annę w Nicei, i ożenić się z Lucią. To będzie najmądrzejsze!

Ordynat zerwał się blady, straszny. Wyciągnął rękę w stronę drzwi z głuchym okrzykiem.

— Wyjdź!... Natychmiast!

Bohdan stał oniemiały. Na twarzy jego czerwoność i bladość spychały się z sobą. Wstyd i obraza zaczęły drzeć na wargach. Postąpił krok naprzód, popędliwe słowa już, już miały bryznąć, ale ordynat powtórzył dobitnie.

— Wyjdź!

Chłopak miał usta zacięte, twarz jak z szarej tektury. Zawrócił i prędko wybiegł z pokoju.

Ordynat, wyczerpany, usiadł, chowając mokre czoło w trzęsących się dłoniach. Po jakimś czasie usłyszał głośny galop konia na podjeździe zamku. Wstał i spojrział w okno.

W bramie, pod arkadami, dostrzegł znikającą sylwetkę Bohdana, pędzącego cwałem na wściekłym ogierze arabskim.

— Jeszcze się smarkacz zabije!

Ordynat skoczył do telefonu i połączył się ze stajnią.

Odezwał się koniuszy Badowicz. Ordynat wydał rozkaz:

— Niech natychmiast masztalerz Józef na najlepszym koniu jedzie w ślady panicza i z daleka czuwa nad nim.

XXII.

Od tego czasu Bohdan zaniechał swatów. Ale zaraz po powrocie ze swej szalonej wycieczki konnej był już z ordynatem, jak gdyby nigdy nic, na najlepszej stopie. Waldemar nie mógł zbyt długo na niego się gniewać. Zawsze Bohdan każdy swój wybryk postawił w takim świetle, że trzeba było albo się śmiać, albo odrazu zapomnieć.

Ordynat zřęcznie normował wyskoki kuzyna, lecz i największy takt nie na wiele się przydawał wobec jego śliskiej natury.

Młodszy Michorowski musiał pracować, jak każdy z praktykantów gębowickich. Umiał sobie jednak poradzić. Gdy go postawiono na polu do pilnowania robotników, stał przykładnie, ale z głową nad książką, którą woził z sobą. Często także rysował z natury pełne kształty wieśniaczek i potem pokazywał swe szkice ordynatowi. Gdy ten zwracał mu uwagę, że będąc zajęty, nie może pilnować robót, Bohdan odpowiadał lakonicznie:

— O!! Powinno im to wystarczyć, że stoję nad nimi; jeszcze mam uważać!... Przecie ekonomem nigdy nie będę.

Rolnictwo nudziło go, natomiast zajmowały fabryki i wszelkie inne instytucje majątkowe. Do lasów wymykał się ukradkiem, polując lub marząc wśród największych gąszczów. Nad ściętem drzewem potrafił płakać, ale psa, który się na niego rzucił, zasztyletował z zimną krwią. Potem sztylet cisnął w ogień i nie mógł domyć rąk, bo ciągle widział na nich krew.

Do zwierzyny strzelał zawzięcie, lecz tylko czworonożnej; za nic w świecie nie zabiłby ptaka. Mówił, że to stworzenie stojące wyżej od człowieka, bo ma bezwzględną swobodę.

Kiedy raz zobaczył hrabinę Ritę Trestkową, strzelającą do dzikiego gołębia, od tej pory przestał ją całować w rękę.

Był prędko i w gniewie gwałtowny. Mściwości nie znał.

Za jakieś małe przewinienie wyokładał raz szpierutą chłopca stajennego aż do krwi. Gdy jednak usłyszał jego jęk, wyciął go jak brata i oddał mu całą swą pensję miesięczną i złoty zegarek.

O sprawach erotycznych również nie zapomniał. Co tydzień zmieniał ideały. Kaśki, Marysie, Kostki — były przez niego opiewane i rysowane w różnych pozach. Zachowywał zawsze estetykę i etykę w tych przelotnych słabostkach, tak, że ordynat, czujny i pod tym względem, nie mógł mu wyraźnie nic zarzucić.

Bohdan ożywił nie tylko Głębowicze, ale i okolicę. Wszędzie go było pełno. Gdy pod koniec lata przyjechał do Głębowicz hrabia Herbski, nie poznał na razie Bohdana. Dawny nicejski hulaka i gracz zmienił się powierzchownie na lepsze. Trochę zmężniał i nabrał cery. Ruchy miał spokojniejsze, w twarzy wyraz wesoły, junacki, ale jednak inny, niż dawniej.

— Cóż ordynat zrobi z tym narwańcem? — pytał hrabia Dominik.

— Wykieruję go na porządnego Michorowskiego — z uśmiechem odrzekł Waldemar. To będzie człowiek, tylko trudny do prowadzenia, jak młody żrebiec arabski.

— Ordynat go okiełzna.

— Nie, okiełznać nie chcę. Wprowadzę go tylko na właściwą drogę. Sam polec!

— Na łeb, na szyję — i skreć kark! — dodał Herbski.

Waldemar zasepił się.

— To będzie człowiek — powtórzył w zamyśleniu.

— Kimże on chce być?...

— Administratorem. Do tego ma spryt. Zdolności do matematyki bajeczne, energja, rzutkość, pewna ścisłość wykonawcza, słowem: materia jest.

— Ale musi nad sobą pracować, żeby się wyrobić.

Herbski kręcił głową powątpiewająco.

— Zawsze to już będzie ni to, ni owo — rzekł apatycznie. Nie pan i nie pracownik. Na pana nie posiada środków, a do pracy nie stworzony.

— Człowiek stworzony jest do wszystkiego, jeśli musi — odparł ordynat. — Wykształcę go u siebie i dam mu posadę u obcych. Niech zarabia na chleb, bo go inaczej nie będzie miał.

— Ha, chyba, że tak! Bo Głębowicze nie zrobią z niego pracownika. Za wielki tu komfort. Nawet ty, panie ordynacie, nie wykorzeniłbyś z niego żyłki wielkopańskiej. Przepych tu-tejszy zanadto gra na nerwach. Bohdan przecie wie, kim jest właściwie i kim mógłby być.

Ordynat zmienił temat rozmowy. Czuł tylko, że Bohdan jest celem dla niego, i że w pustce obecnej swego życia znalazł coś, co go jeszcze porywa.

Przytem „Bodzio“ zjednywał go sobie coraz więcej.

— To będzie człowiek — myślał ordynat uparcie.

XXIII.

Pewnego wieczoru ordynat powróciwszy ze Słodkowic, zastał u siebie na biurku list od Bohdana, zawierający tylko te słowa:

„Proszę mnie nie szukać. Wróćę“

Waldemar spytał lokaja:

— Czy dawno panicz wyjechał?

— Przed dwoma godzinami, konno na Ramzesie.

Ordynat pomyślał:

— Znowu na tym wściekłym koniu — lecz nic nie powiedział.

Nadeszła jasna, księżycowa noc jesienna.

Z wilgotnej ziemi wzniosły się szaro-białe tumany oparów, i ciężkie, szły w górę, rozłaząc się pojedynczymi kłębami po mokrych trawach, okrytych, niby manną, gęstą połyskliwą rosą. Liczne oddechy wydawane przez odpoczywającą po rodzeniu glebę, pełzły chyłkiem wskroś pól, rozmazywały na płaszczyznach, przewalały się zbitym tłumem. Na mokradłach tworzyły istny bór szarawej gęstwy, ponad którym stał jeszcze wysoką warstwą pył mglisty, przeświecony księżycem, niby opalowy dym kadzidel ofiarnych w świątyni z kryształu i srebra.

Siny mur leśny zginął pod brzemieniem ciężkich oparów, zanurzył się w nich, jak niedźwiedź kudłaty w kurzawie śnieżnej. Mgły lizały wielkie pnie drzew, chłonąc je w tłustą swą ruń; pięły się do gałęzi; zalewały grube konary. Cały świat, zda się, oddychał olbrzymimi płucami i zionął parę, oczadzając nią przestwór. Wielkie moty białe kłębiły się ociężale.

Wlokła się szlakiem mgieł tęsknica dziwna, niewyraźna, miesiącem utkana mara, wylęgła z powodzi dymów ziemnych a pę-

znącą w ślad za ich cielskami, chwilowo tłocząca brzemieniem, chwilowo lekka jak powiew, jedynie zawsze jakimś smętkiem opita. Szła ta melancholja w białych obłokach zatopionych pól; szła wśród milczącego w śnie oparnym boru; szła, mocarna swą niewolną siłą, co ją rodziła z mgieł i mgłami w świat puszczała.

Może ta jaźń tęsknicy przedziwnej pochylała włosy traw, że wyglądały, jak czesane szczotką, jak płat osobliwej tkaniny dzierganej w brylantowe rzuty. Może ta dusza tęsknicy niosła się bezdomna, i szukając oparcia, tuliła się do łona drzew, obejmując je miłością, że stały ciche, uroczyste, jakby nie chcąc szmerem jej spłoszyć.

I może do gwiazd szła ta tęskność przeogromna, bo jarzyły się cudnym, migotliwym żarem klejnotów i sypały na ziemię promienną dobroć źrenic swych uroczych.

Czy w oparach tęsknota zostawała spojona z niemi nierozłącznie, bo coraz śmieiej burzyły się i niosły swe chmury ponad wszystkie twory ziemi?

Czy duszy ludzkiej tęsknota szukała, by ją ukolysać monotonna i słodką ciszą, która także ma głos przepiękny, gdy się ton jej łagodny uchwyci pobożnie?... W harmonijnych melodjach ciszy wpływała tęsknica pól zadymionych do młodej duszy Bohdana. Omotała go sobą i arfę swą nastroiła w śpiew łagodny rozchwianych białych piór.

Nasnuwał do duszy perły rozpylonego przed nim ogromu marzeń.

Smutek głęboki lał mu się w serce, on zaś czerpał go z tych tumanisk siwych. I zdawało mu się, że poza niemi jest dla niego albo przepaść bez ratunku, albo zmudna szarzyzna, płaska, bezpieczna, lecz odrażająca.

Bohdan nie znał jej, i świadomość, że leży przed nim, przejmowała go wstrętem. Nie piął mu się po cudach życia lekką stopą, ale — ciężmy ciężkie nałożywszy — brnąć po tej szarzyźnie...

Brnąć — i być wdzięcznym, że ona mu jeno pozostała.

I zastosować się biernie do jej wymagań, swoje zaś własne, z którymi się żyło, i które się ukochało, cisnąć precz za siebie, by wspomnienia, ozywając, nie oślepiały.

Duszę swą zwięzić, by zmieściła się w tych małych szraneczkach, by nie wyfruwała w rozległe uroczyska dawnego bytowania. Ducha całego trzeba zdusić w piersi, bo wszelkie wzloty mogą dlań być teraz zabójcze.

Wzloty do istnienia, co już baśnią się staje.

Wzloty do snów tęczowych, co powrotu nie mają i są już mytem.

Iść trzeba, ale w cizmach, gniotących swą ciasnotą i prostotą.
I swą pospolitością.

Iść bez oglądania się, ze wzrokiem, wbitym w szarą ziemię.

Bohdan się wzdrygnął. Koń pod nim zadrżał jakby mrozem przejęty. Młodzieniec wyciągnął ramiona do gęstych obłoków, spadłych na ziemię, i modlił się do nich:

— ...Spowijcie mię w siebie, wy, nieuchwytne, abym nie widział istnienia swego...

Abym się rozpląnął w bieli waszych pian, i jak one, śnił przy księżycu...

I abym doliny swej mógł nie widzieć, a jeśli nie gwiazdy są dla mnie ostoją, to niech ziemia nie będzie nią...

Popłynę z wami, rozwiany, senny i kąpać się będę w nurtach waszych, wy zaś ukojenie mi dacie...

I wy mię przeniesiecie...

Wtem Ramzes szarpnął się gwałtownie, stanął dęba. Bohdan chwycił cugle, ściągnął, lecz koń ruszył z kopyta. Prawie z pod nóg wypadł mu duży zajac. Pomknął chyżo, zaszył się w mgłę. Wystraszony koń biegł cwałem.

Bohdan nie był wprawnym jeźdźcem; czuł, że zleci. Objął ramionami szyję araba, i oplątany w zdradzieckich zwojach gnał, jak duch przestrzeni.

Biały, duży koń niósł na sobie, jak łupinę, szczupłą postać Bohdana. Zaorywali się razem w kłęby mgliste i świecili w alumi-niowym blasku księżyca. Tętent walił przed nimi, jak głuche warczenie bębna.

Bohdan już oswoił się z biegiem Ramzesa. Przytulony do niego, upijał się tą nocą tajemniczą i niezwykłością widoków. Zaczął kierować koniem. Gdzie dojrzał gęstszy zwał mgły, tam zwracał wierzchowca i pędził na przepadłe; z rozkoszą zanurzał się w wilgotnej, dusznej atmosferze chmurnej, bódł opary piersią araba, lecz ich nie rozpraszał. Roztwierały się przed nim i zamykały natychmiast. Ginał w nich, zatracił się. I pił, pił chciwie samowiedzę swobody. Niosła go ona górnice, niby skrzydła sokole.

Utopił się w jej mirażu.

W pewnym miejscu zaczerniał przed koniem duży rów pełen wody. Woda była siwa, drobne kłaczkę mgły wisiały nad nią.

Ramzes przesadził rów z łatwością.

Rozległ się okrzyk.

Bohdan spadł.

Usłyszał rozgłośny huk kopyt spłoszonego konia, i zanim podniósł się z mokrego urwiska, już Ramzesa nie dojrzał.

Pozostał sam w białej chmurze mgły. Poczuł ból lewego ramienia, na które upadł, w głowie szum nieznośny, ale zresztą czuł się dobrze. Był podniecony. Miał, czego pragnął: zupełną pustkę i samotność!

Wolno posunął się wzdłuż kanału, idąc w stronę, skąd ciemny bór mamrotał szmerem ledwo wyczutym.

Bohdan nie myślał o ucieczce konia, o nieznannej drodze przed sobą, tylko wciąż jedno pytanie kładło mu się w mózgu grubą warstwą:

— Czy to już konieczność! Czy wytrwam?...

I pytania te bolały go niewymownie.

Przyszła nań chwila jasnowidzenia. Dostrzegał ponurą dal swego życia, bez horyzontów już, zamkniętego w kresach musu. Żalność dokuczała mu jak pragnienie, kiedy człowiek wyrwać tego z siebie nie może a ugasić nie ma czem. Bezmierna trwoga nadlatywała do duszy Bohdana, krzesząc w niej strach. Widział, że jest zgubiony dla świata, w którym żył, że jest zrujnowany doszczętnie. Nigdy mu się to tak wypukło nie przedstawiało, jak właśnie teraz. Życie zrzuciło go ze swych bark tak samo brutalnie, jak Ramzes, zostawiając go na łasce sił własnych i zdolności orientowania się. Znalazł oparcie, znalazł opiekę. Ordynat przygarnął go, rozbitka bezdomnego, ale Głębowicze były tylko progiem do nowego życia. Z pięknych, mozaikowych sal istnienia dotychczasowego wstąpił na przepyszny próg, już nie własny i ostatni. Poza nim przybytek pracy zmudnej na kawałek chleba.

Powinien zapomnieć o tem, co mógł mieć nadal, i o tem, co miał. Wyrzec się znaczenia, wyrzec świetności. Iść w świat szeroki, który go przytuli, lecz kosztem wielkich ofiar, kosztem obowiązku, kosztem żalu niezgłębionego.

Iść między ludzi nie jako Michorowski, arystokrata rodowy, pan, magnat i bogacz, lecz jako Michorowski pracownik za pieniądze, Michorowski podwładny, zależny od chlebodawców swych, biedny i z obowiązkową torbą mozołu na wiotkich, pańskich plecach. Niewolno myśleć o ulubionych podróżach, o bogactwie

świata, o życiu błyskotliwym, świetnym, tryskającym w złote rakiety upojeń. Niewolno marzyć, fantazjować w ułudnych krajach cudów, bo brak do tego pospolitej, nędznej spójni, która jednak z tym światem wyśnionym jest spójnią — pieniędzy. Utracił wszystkie, jakie miał, lekceważąc je. Uważał pieniądz za rzecz niską, niezgodną myśli człowieczej, za służalca, który jedynie otwiera drzwi do wszelkich przybytków świata. Można nim pogardzać — byle spełniał swe zadanie, byle był w dłoni narzędziem do kierowania wielkim rydwanem fantazji. Kpi się z tej potęgi czynu, uważając ją za mierność.

A oto zemściła się. Zabity — smok pieniądz — szczyrzy teraz kły i niemilosiernie dziko rechocze z radości. Ten chichot okropny Bohdan słyszy dokoła siebie, i wżera mu się on do mózgu niezmiernym wrzaskiem:

— Praca, praca, praca!

Ona mu pozostała — smutna, żałobna, jedyna. Wstrętny dlań padalec-pieniądz — wyciekł mu z delikatnych dłoni i ugryzł zemstą nasyconą.

Pierwszy ból Bohdan poczuł w Kasynie, gdy krupier zabrał mu ostatnie jego pieniądze. Odczuł wówczas jakby pchnięcie, okrutną ręką zadane w piersi, ale nie zgłębił doniosłości i całej przepastnej mocy tej chwili. Cios swój obrócił w śmiech, brawurą się okrył.

Teraz dopiero słyszy zabójczy głos ironji, teraz palą go zadane rany.

I przyszłość swą widzi jasno.

Ale nie zginie. Nie zdławi go poczwara biedy, nie spodli. Żebrać u ordynata nie będzie. Co dostanie, na to zapracuje. Życie weźmie za bary i zwiąże się z niem.

Może zwalczy tę hydrę brzemiennej nędzą przyszłości. Zrobi ją znośną, aby nie miała zbyt ostrych pazurów. Lecz do szorstkości bytu przyzwyczać się trzeba.

Bohdan szedł w rzednącej mgłę i łowił swe myśli w jedną sieć uwypuklonej w jego wyobraźni konieczności. Niesforne, wymykały się przez liczne oka, lecąc w przestworza.

Wszedł w bór. Szum wyniosłych czubów zawiał nad nim, jakby pomruk tej szorstkiej istotności, która ogarniała go despotycznie, i zarazem jakby żalosne pożegnanie uciekających przed nim rozkoszy życia oraz groźny, acz stłumiony ryk szyderczej po-

tęgi złota. Pomiatał nią z naigrawaniem, lecz teraz jest jej odwet.

Michorowski zmoczony przez opary i rosę, przeziębły na ciele i duszy, potknął się o korzeń i runął pod sosnę. Nie wstawał, przylgnął do mchów wilgotnych, ramionami objął chropawy pień drzewa i zapłakał. Wyrwał mu się z piersi płacz, może w niej nieznany jeszcze, bo jakiś dziki, okrutnie rozdzierający duszę; płacz za utraconą panoramą świetlnej egzystencji; płacz witający ruiny — po przepychu.

Rozszlochany głos młodzieńca zlał się z harmonją szumu leśnego, lecz był jego dysonansem. A mgły łagodne, niktąc z pól, już bardziej nasiąknięte blaskiem nieba, pełzły do boru i tu niby puchową zasłoną otulały wątle ciało Bohdana, którem wstrząsał spazm serdeczny.

.

W parę godzin po północy do gabinetu ordynata w Głębowiczach cicho wsunął się strzelec faworyt. Szedł do biurka krokiem strwożonym.

— Co tam? — spytał ordynat.

— Ramzes przygnał sam, bardzo zmęczony i schlastany błotem — zameldował strzelec szeptem.

Długa chwila ciszy.

— Skąd przybiegł?

— Nie wiadomo. Znaleźli konia na dziedzińcu przed stajnią.

— To dobrze. Możesz iść.

Ordynat czuwał do rana. Zrywał się czasem nagle, jakby chcąc biedz na ratunek i znowu siadał.

— Poco, i dokąd?...

Przejmował go tylko lekki dreszcz.

XXIV.

Dzień już był jasny.

Bohdan Michorowski, wydobywszy się z boru, szedł polami, grzęznąąc w rosie, w stronę, gdzie bielili się olbrzymi wał oparów, skłębionych jak morskie bałwany. Mgły, wygnane przez dzień, skupiły się wszystkie nad rzeką, przetaczały swe runa potężne nad korytem sonej wody, unicestwiały strome brzegi.

Słońce weszło złociste, wielkie. Jasną źrenicą obejrzało okolice. Całym zastępem blasków spadło na fale oparne, wbiło się w ich wełnę, lecz rozpędzić nie zdołało. W słońcu mgły były jeszcze dumniejsze, rosły w górę pyszne i piękne, jak zbite w kupę niezliczone stada łabędzi. Bohdan przypatrywał się im w zachwycie. Szedł brzegiem rzeki, widząc pod stopami spokojną, ciemną toń. Wydawała się dziwnie cichą i niewinną, wobec tej potęgi twórczej nad sobą, wydanej z własnej piersi. Idąc, Bohdan był już wesoły i pełen otuchy. Nocne majaki, żale i rozpacz znikły, jak mgły nad polami, rozpędzone słońcem. Czuł w sobie młodość, oraz siłę jakąś niezwykłą i rodzącą chęć do życia, do używania. Pesymizm odleciał, nadzieja kwitła bujnie. Szeroka fantazja rozpierała mu duszę, słyszał łomot jej skrzydeł. Pierzchły czarne myśli o szarych płaszczyznach, o ciężkich obowiązkach. Pierzchły, jak mara. Krzepił się pewnością, że jest Michorowskim, więc nie byle kim, ale panem; że zginąć nie może we wszechświecie, że nędza i niedola zgnębić go nie potrafią, bo praw do niego nie mają. Stanie się coś, co go wyratuje. Będzie pracował. Albo to takie straszne?! Optymizm rósł.

Praca, tak okropnie przedstawiająca się nocą w wyobraźni Bohdana, teraz przeistoczyła się w wizję wesołą, zupełnie zwyczajną, której podlegają wszyscy ludzie bez strachu i przerażenia.

Dla mnie — marzył młodzieniec — będzie ona narzędziem powrotu do świetności istnienia. Powróci mi utracony majątek; za jej przyczyną stanę się znowu bogatym i będę tym, czem i teraz jestem: wielkim panem.

Bohdan dumny był ze swej siły. Wiedział z całą pewnością, że nie zginie. Będzie brał od ordynata pensję, wszystkie zaś spłaty długów odda mu z czasem, gdy już odzyska majątek. Rozszalała fantazja nasuwała przed oczy młodzieńca wschodzące jutrzeńki. Myślamy pędził naprzód i chwycił w lot idee coraz nowe. Oto Wiktor przejechał Czerczyn, matka znajdzie się w biedzie, a wtedy on, Bodzio, przez nich odtrącony, stanie się ich wybawicielem. Spłaci matkę i brata, sam obejmie dobra czerczyńskie, zostanie takim jak wuj, uznanym obywatelem i milionerem.

Oczy Michorowskiego gorzały gorączką majaczeń, był tak podniecony, że prawie już się czuł na szczycie swych rojeń.

Drogę zagroził mu wysoki płot zwierzyński. Bodzio stanął. Nie wiedział, co robić. O przeskoczeniu płota nie było mowy.

Szczelnie pozbijane bierwiona świeciły ścianą gładką jak cynkowany mur.

Co tu robić?...

Bohdan zastanowił się.

Obchodzić dokoła, aż do bramy na poprzecznej stronie czworoboka, nie chciał, bo było za daleko, i zresztą brama o tej porze zamknięta. Płot kończył się w rzece, wsunięty w nią głęboko, łodzie zaś stały dopiero na przystani. Bodzio nie miał ani gwizdka, ani trąbki, żeby wezwać strzelca, który zawsze dyżurował w domku strażniczym w zwierzyńcu. Młodzieniec krzyknął raz i drugi, lecz głos jego wsiąknął w opary rzeczne i wydał się prawie dziecinnym.

Gniew i niecierpliwość ogarnęły Bohdana. Słyszał dochodzące z za parkanu porykiwanie jeleni i przykre ostre krzyki łosi. Porwał go gniew niesłychany. Zaczął walić pięściami w gładką ścianę grubych bierwion, jakby walił w żelazo i wołać, ile starczyło głosu w szczupłych piersiach.

— Hej tam! służba! nie słyszycie, że ja tu jestem?! Hej, wy tam!

Ale nikt nie odpowiadał. Tylko rzeka bełkotała, bijąc o burty płotu, i jelenie porykiwały przeciągle.

Bodzio wściekał się. Chodził to w prawo, to w lewo, jak lis w studni, szukając miejsca czy szpary, by móżdż nogę zaczepić i wspiąć się na płot. Przyszła mu myśl, aby wejść w wodę i brnąć aż do węgła parkanu. Lecz przypomniał sobie, że brzeg jest głęboki, zwierzyńiec zaś od strony wody ma dość wysoką kratę żelazną, ostro zakończoną.

Wtedy zrozumiał, że musi iść parę wiorst aż do bramy. Nie chciał jednak ustąpić. Ten płot wydał mu się nagle nędzą jego życia; tak bardzo bał się jej w nocy — i oto stanęła przed nim, niezwyciężona, urągliwa. Głucha złość porwała Michorowskiego w swój wir.

Zaczął szukać w kieszeniach noża składanego. Znalazł i twarz mu się rozjaśniła. Otóż postawi na swoim, zmoże ten wstrętny płot, nie pozwoli mu się rozpanoszyć.

Wyłupywał nożem w bierwionach, ale szło mu ciężko, drzewo twarde z trudnością poddawało się ciosom małego ostrza. Jednak drobne drzazgi padały na ziemię, dziura w płocie powiększała się.

Bohdan pracował z zapałem. Pot mu zrosił czoło i policzki, ręce mdlały, ale on nie ustawał w zawziętej robocie. Oddychał

ciężko ze zmęczenia, lecz bódł bierwiona ostrzem nożyka, jakby tu chodziło o śmierć lub życie. Zziajany, rzucił wreszcie nóż na ziemię i zaklął:

— Niech to diabli wezmą! Nie będę więcej ciął; może kto się zjawi — pomyślał i upadł na trawę.

Ale wściekłość znowu go opanowała. Pragnienie zwalczania trudności przemogło. Zaczął nanowo dźgać nożem bierwiona. Po upływie paru godzin, gdy słońce już wzbilo się wysoko, Bohdan wyprostował plecy z tryumfalnym uśmiechem.

W płocie świeciło kilka jasnych ran, wydłubanych jedna nad drugą, niby schody. Można w nich było śmiało postawić palce stóp.

Bohdan zadowolony patrzył na swe dzieło, lecz widział, że jeszcze nie skończone. Chwilę odpoczywał. Usiadł i przyglądał się rzece.

Płynęła już czysta, szafirowa, oswobodzona z oparów, cała zalana przezroczystym, powietrznym przestworem.

Obfite drzewa parku na drugim brzegu rzucały ogromny cień na wodę. Tłukły się drobne falki, załamywały w spiętrzone pierścienie, szklily łuską przeczystą.

Bohdan biegł wzrokiem za białymi piórami mew, ścigał pływające kurki wodne i rybitwy. W pewnym zakręcie odnogi rzecznej ujrzał wspaniałego perkoza o długiej szyi, z peruką na głowie. Wpatrzył się w niego chciwie, miłośnie, pragnąc w duszy, aby ptak podpłynął bliżej. Chciał go dokładniej obejrzeć.

Senność owiała mu zmęczoną głowę, członki bezwładniały. Usuwał się wolno na murawę, mrużąc ciężkie powieki. Już miał usnąć, gdy żądza czynu owładnęła nim znowu. Zerwał się, przeciągnął rozkosznie, leniwie, ziewnął szeroko od ucha do ucha.

— Aaaa! do licha! Wolałbym teraz spać.

Ujrzał w mętnej marzeniu swój pokój sypialny, przyćmiony, i wygodne łóżko, ale to go tylko więcej otrzeźwiło.

Skoczył do płotu, próbując nań się wspiąć. Zaczepił nogą o zrąb najniższy, uniósł w górę ciężar własnego ciała, ale ręce ślizgały się po gładkim drzewie.

Spojrzał na szczyt.

Niepodobieństwo!

Po krótkim namyśle zerwał z siebie sukienny kubrak, zdjął marynarkę, kamizelkę i szelki. Kubrak nałożył na samą koszulę, marynarkę związał jednym rękawem z kamizelką. Gdy zaciągnął

mocny supel, wówczas skręcił ubranie w sznur, z szelek zrobił petlę szeroką, zaczepił się o wydłubane zręby i ręką i gwałtownie jął zarzucać petlę na wystający z za parkanu gruby sęk drzewa. Zmęczył się bez skutku, spotniał, ale nie ustawał. Klął przez zęby; oczy gorzały mu dzikością; miotał się jak szalony. Spadał na ziemię, znowu lał na płot i ogniście machał petlą naoslep, niemal z zajadłością. Nareszcie improwizowany arkan trafnie rzucony wpadł na sęk, zahaczył się głęboko i wyrwał się z rąk Bohdana, zwisając na płocie. Chłopak krzyknął radośnie. Zeskoczył i jął rozcierać zdrętwiałe ramiona. Patrzył na sznur, kołyszący się lekko, z taką uciechą, jakby na jakieś przepotężne i sławne dzieło wszechświatowe. Rozpromieniony szczęściem chwycił się znowu za zrąb, podważył i złapał linę w dłonie, mocno z całej siły. Teraz już szło mu dobrze. Łapał za sznur coraz wyżej, nogi opierał o świeże rany parkanu i piał się zupełnie prawidłowo.

Był dumnym i pewnym siebie.

Gdy wydłubane schody skończyły się wreszcie, Bodzio stropił się na chwilę, lecz zaraz energicznym ruchem począł pelznąć w górę tylko po linie, wisząc ciałem w powietrzu i bijąc butami w parkan. Wtem usłyszał trzask, zrobiło mu się gorąco, włosy powstały na głowie. Odruchowo spojrział na dół i zdrętwiał. Był już bardzo wysoko: zląkł się, żeby nie upaść.

Drugi trzask, silniejszy od poprzedniego, przeszył mu ciało jak bagnetem.

Rozpacz i gniew zawrzały w nim.

— Zjesz djabła! — syknął nienawistnie, patrząc złemi oczyma na łamiący się sęk. Z pasją zrobił kilka gwałtownych ruchów w górę i... ukląkł na szczycie płotu.

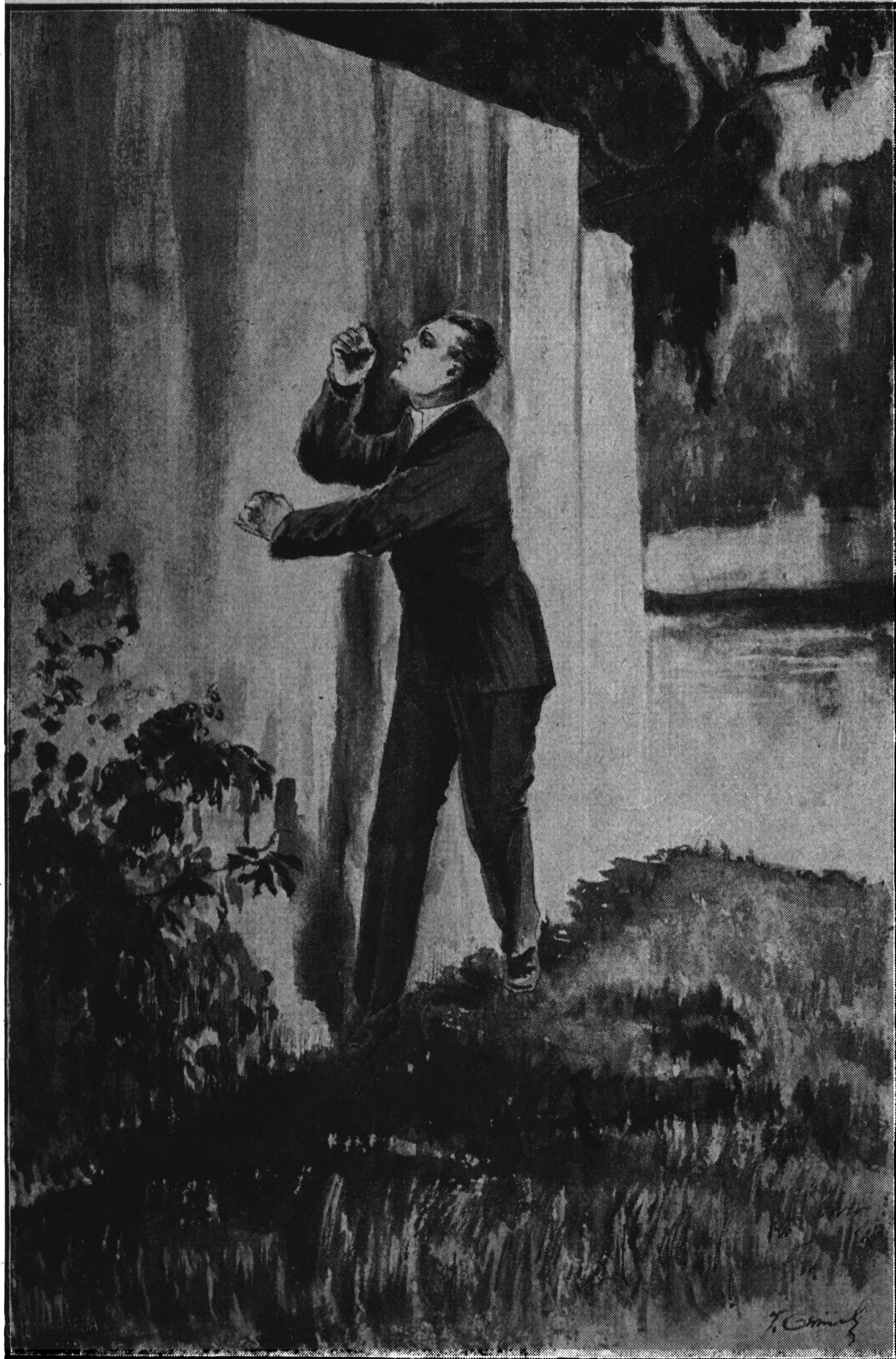
— Eureka! — krzyknął z niesłychaną brawurą.

Usiadł wygodnie na szerokim palu, nogi spuścił na dół w stronę zwierzyńca i śmiejąc się wycierał pot z twarzy. Z ironiczną miną obejrzał nadłamany sęk, i próbując jego mocy rzekł głośno:

— Musisz mi jeszcze służyć, kochaneczku.

Zwiesił sznur na drugą stronę płotu, i uczepiony silnie zaczął spuszczać się na dół. Ale sęk ułamał się w połowie drogi. Bodzio upadł na ziemię, jak długi. Na głowę zleciała mu pętla wraz z grubym odłamem drzewa.

Młodzieniec odrzucił precz od siebie sęk razem ze sznurem i zawołał szyderczo:



Zaczął walić pięściami w gładką ścianę grubych bierwion . . . (str. 78)

— Pękłeś! ale zapóźno!

Zerwał się — i ruszył szerokimi krokami naprzód, gwizdząc kuplety z operetki.

Blisko przystani spotkał strzelca, który na jego widok onie-
miał ze zdziwienia.

Bohdan spojrział w zaspane oczy dyżurnego i rzekł ostrym
tonem:

— Śpisz jak suseł, dowołać się ciebie nie można! Całą zwie-
rzynę wystrzelałbym, anibyś wiedział kiedy.

Strzelec patrzył zdumiony.

— A jaśnie panicz którądy wszedł do zwierzyńca?... Ja
mam klucze od bramy.

— Którydy mi się podobało; słyszysz?! Podawaj łódź.

Strzelec spełnił rozkaz, będąc najmocniej przekonany,
że młody pan nie zginął, jak mówili w zamku, ale nocował w zwie-
rzyńcu, żeby go kontrolować.

Bohdan miał minę nie wzbudzającą podejrzeń, jedynie przez
czoło szła rysa długa od ostatniego upadku, zakryta zresztą
szczelnie czapczką angielską.

XXV.

— Dokąd w nocy jeździłeś? spytał ordynat Bohdana.

— Marzyłem, walczyłem...

— Spadłem z konia — dodał Waldemar tym samym tonem.

— A tak! Zwaliała mnie bestja! No, ale nie żałuję. Wuj
mi pozwoli tego konia?

— Na kiedy?

— Dziś zaraz. Pojadę do kartoflarek.

— Nic będziesz spał?

— Ani myślę! Upiłem się nocą i oparami, teraz zaś...
obowiązek.

Waldemar uśmiechnął się.

— Jak chcesz! Ale Ramzes za ostry.

— Już ja go ugłaskam.

— Tak; ale go nie dostaniesz.

Bodzio się zmieszał.

— Dlaczego?

— Bo nie jesteś gościem w Głębowiczach, lecz praktykan-
tem, więc na warunkach praktykantów. Masz swego wierzchowca,
jak każdy z tych panów, wyjątków dla ciebie robić nie mogą

— Przecie konia nie zmarnuję — burknął Bohdan zły.

— Nie, o to nie chodzi.

Młodzieniec stanął przed ordynatem, usta mu drżały. Zawołał gniewnie:

— Czy ja jestem kuzynem wuja, czy nie?!

— Owszem; jesteś nawet Michorowskim.

— Ach! Więc sądzę, że pewne prawa dla mnie powinny być... uwzględnione.

— Nie, mój drogi. Jesteś kuzynem moim, lecz i pracownikiem. Zatem wyróżniać cię od innych dla nazwiska, nie będę.

Waldemar mówił spokojnie, ale chłopak się gorączkował. Oczy jego ciskały gniewem.

— Ba! pewno... Gdybym jednak miał miliony.

— Tobyś mnie nie interesował. Rozumiesz?

— Cóżto? łaska?! — krzyknął Bodzio, nie panując już nad sobą.

Waldemar spojrzał na niego wzrokiem trochę rozbawionym.

— Mój chłopcze, idź spać radzę ci z duszy.

Bohdan powstał chwilę, oddychając prędko, jakby wyładowując gniew, poczem wybiegł z pokoju już bez słowa.

Po jakimś czasie niespodziewanie wrócił. Minę miał wielce uroczystą.

— Wuju — rzekł głosem zabawnie smętnym, — proszę cię, abyś zapowiedział całej swej służbie, żeby mnie nie nazywali jasnym panem. Jestem płatnym praktykantem, służę, jak oni wszyscy: tytuły zbyteczne.

Waldemar z trudnością powstrzymał śmiech.

— Masz słuszość; zupełnie zbyteczne. Ale to załatw sam, ja na takie rzeczy uwagi nie zwracam. Dla ciebie istotnie nie jest to właściwe, możesz przykrócić.

Bohdan zawahał się.

— To będzie dla mnie... trudne, wuju.

— Przeciwnie! Zabronisz z własnej inicjatywy: tak lepiej.

Bodzio wyszedł zamyślony.

Tegoż dnia każdemu, który go tytułował, odpowiadał krótko i szorstko:

— Nie jestem żadnym jasnym panem, lecz paniczem; ostrzegam ostatni raz!

— Służba, słysząc to wprawdzie pierwszy raz, zdumiewała się niesłychanie.

Szeptali pomiędzy sobą:

— Zaraz widać, że to taki sam pan, jak nasz ordynat.

Bohdan stał się pilniejszym, interesowały go więcej powierzone mu sprawy. Często miewał poważne rozmowy z ordynatem o rolnictwie i o kwestjach administracyjnych. Widocznem było, że się do nich zmuszał, lecz robił to umiejętnie. Czytywał bardzo wiele, pochłaniał wprost bibliotekę głębowicką. Całe noce spędzał na czytaniu a potem marzył i fantazjował. Musiał jednak czytać dzieła ekonomiczne i rolnicze, choć się przy nich zanudzał, bo Waldemar był nieubłagany. Bodzio towarzyszył ordynatowi na odczytach, odbywanych dla służby i włościan; pod swój wyłączny zarząd dostał czytelnię ludową i kasę oszczędności. Waldemar kontrolował go w tych zajęciach bardzo skrupulatnie. Pozwalał mu natomiast z zupełną swobodą zaprzyjaźniać się i przebywać z członkami administracji, z kim chciał. Bodzio zyskiwał pełno przyjaciół. Lecz za swoją prawdomówność miał i wrogów. Na hrabiego Herbskiego patrzył niechętnie, odczuwał w nim nieufność względem siebie. Narażał się wszystkim, zupełnie o to nie dbając. Do pana Macieja, który narzekał raz przy nim na starość swą i skołatane siły, Bohdan rzekł bez namysłu:

— Bo najlepiej nie czekać, aż starość nadejdzie: łupnąć sobie w mózg ołowiem — i skończona. Ja, gdybym ustanawiał prawa, tobym takie nadał: wszystkich po siedemdziesiątce słać na spacer na pola elizejskie.

Pan Maciej zgorszył się i spojrział na chłopca z wyrzutem.

— Błazen jesteś — rzekł cierpko.

— No, przecie dziadzio niema się czem martwić: jeszcze prawodawcą nie jestem.

Herbskiemu tłómaczył z zapałem, że tytuły to największe głupstwo, a główna rzecz to jest pieniądz. Bez pieniędzy niema ani tytułu, ani brzucha. I tą aluzją do potężnej tuszy hrabiego gniewał go niesłychanie.

— Więc pan sądzi, że każdy tytuł jest kupiony? — pytał hrabia Dominik.

— Każdy nie każdy, ale dużo. Wierzę w tytuł księcia, bo to polski i stary. Ale hrabia? baron?... Jak go sobie bogaty szlachcic nie kupi sam za granicę, to mu go dadzą dlatego, że bogaty. Jeszcze nie słyszałem, aby ktoś zupełnie biedny otrzymał tytuł hrabiego lub barona.

— Ach! pan jeszcze wielu rzeczy nie słyszał — odrzekł Herbski, składając pocziwie ręce na wyszykanowanej przez Bohdza, obfitej części ciała.

— Może być — odparł Bohdan. — Nie słyszałem naprzykład, aby który z właścicieli kupionego tytułu przyznał się do tego.

Hrabia, który pomimo swej zacności i idei postępowej, miał coś na sumieniu w historii tytułu, zmarszczył się pociesznie i rzekł tonem pobłażliwym:

— Tak mówisz tylko młodzieńcze, ale gdy zagranicą nazwie cię kto hrabią, toś pewno zadowolony.

— Kiedy popełnię jakieś głupstwo, to owszem, mogę być „comtem“, ale w normalnych warunkach wolę, by mnie wcale nie tytułowano.

Hrabia umilkł urażony, Bohdan zaś spojrzawszy na niego, wykrzywił usta i rzekł protekcyjnie:

— No, ale są i porządni hrabiowie. Ojej! Naprzykład Herbski i inni. A że mają pieniądze, to nie jest zbrodnią.

Pewnego dnia po podwieczorku ordynat z hrabią Dominikiem siedzieli na tarasie, paląc cygara. Nagle zwrócił ich uwagę wesoły śmiech kobiecy, dochodzący z parku, jakieś piskliwe chichoty i łomot nóg wśród klombów różanych. Pomiedzy krzewami, w oddali, mignęła jasna postać Bohdana.

— Erotyczne manewra — zaśmiał się dyskretnie Herbski.

Waldemar zeszedł do parku. Idąc w stronę rzeki, rozglądał się ciekawie po klombach, szukając sprawców hałasu. Natknął się na zaczajonego pod krzewem róży Bohdana. Chłopak powstał zły i zawołał:

— Ee! pomieszał mi wuj wszystkie szyki! Już teraz ucieknie napewno.

— Kto?...

— Moja drjada.

— Bohdan, co ty wyprawiasz?! — zgromił go ordynat. — Co to za wrzaski?...

— Cóż tam takiego! Zamieniłem się w fauna i gonię leśne drjady... Co mówię: kredensowe! Ależ piękne! niech ich wszystkie bogi! A najwięcej ta Haneczka. Łydki ma, powiadam wujowi... Ojej! jak żyję, takich nie widziałem. Fidjasz miałby model. Niech się Djana łowczyni schowa ze swemi chudemi piszczelami.

— Słuchaj. Ja nie pozwolę urządzić tu bachanalji — rzekł ordynat.

Bodzio wzruszył ramionami.

— Oh! nie bądź taki święty, wuju! Co za bachanalje?! Jeszcze ci przecie na taras nie wprowadziłem się ze swoją drjadą; ale na gaj różany możesz pozwolić. Tego — to nawet Zeus nie zastrzegął faunom. Twój fraucymer się nudzi, wuju; muszę pocieszać pleć piękną. Do widzenia!

— Zaczekaj. Powiedz mi, czy ty wiesz, czem to pachnie?

— Dobrze! dobrze, wuju: To potem, a tymczasem ja... muszę mieć Haneczkę, bo to żywy posąg. Ojej! żebyś ty widział, wuju, jak się kąpała!... Osaczam ją zaledwo. Do widzenia!

Uklonił się ordynatowi z gracją, z wielką werwą machnął kapeluszem w stronę Herbskiego i znikł za różami. Dolatywał tylko stamtąd filuterny głos jego, śpiewający jakąś burleskę niemiecką.

XXVI.

W połowie października przyjechała do Słodkowic pani Idalja Elzonowska.

Ciche życie dziadka z wnuczką zmieniło się w ciągłe i burzliwe sceny.

Baronowa chciała zabrać Lucię za granicę, dziewczyna oparła się stanowczo. Żadne namowy nie miały wpływu. Pan Maciej prosił od siebie, ale nieszczercze. Wolał, żeby Lucia była bliżej ordynata. Starzec kochał wnuczkę całą duszą i pragnął połączyć ją z Waldemarem. Ale przed panią Idalją nie zdradził swych marzeń.

Po długich sporach wyjechali wszyscy do Warszawy. Bodzio uprosił u ordynata urlop na miesiąc i wyjechał razem z nimi.

W Warszawie Lucia spotkała Brochwicza. Zaczęły się dla niej nowe dni udřeżeń duchowych. Młody hrabia kochał ją bez zmiany i widocznie nadziei nie tracił. Bolała ją najwięcej świadomość, że Waldemar popiera sprawę Brochwicza. Nie mogła mu tego wybaczyć.

Wszyscy byli po stronie hrabiego, prócz pana Macieja i Bohdana. To spowodowało, że Lucia życzliwiej spoglądała na mniej lubianego dawniej Bodzia.

Pani Idalja otworzyła szeroko gościnne drzwi swych salonów, przyjmowała mnóstwo osób ze sfer najwyższych, starannie dobiera-

jąc młodzież, reklamowaną jako świetne partje. Lucię koniecznie chciała wydać za męża. Główny nacisk w tych wyborach kładła na tytuły i majątki. Lucia jednak nie miała powodzenia: w towarzystwach nie była sympatyczną. Zawsze poważna, zimna, ignorowała młodzież, jakby umyślnie stopniując swą obojętność względem bogatszych i bardziej utytułowanych. Największe zabiegi wytrawnych zdobywców salonowych nie zdołały nigdy wywołać w jej oczach zalotnego błysku. Patrzała śmiało w oczy męskie — często surowo, nawet ironicznie, nigdy kokieteryjnie. A że była istotnie ładna, naturalnie wdzięczna i posągowo poważna w tonie, więc złota młodzież przezwala ją westalką, i nazwa ta ustaliła się w salonach. Westalka, tylko wtedy uśmiechała się promiennie, gdy jej nikt nie widział, i gdy mogła swobodnie bujać z marzeniami, zapatrzona w fotografię ordynata. Często klęcząc przy kolanach dziadka, gdy mówili o Waldym, uśmiech ten zjawiał się na jej różowych ustach, czyniąc ją piękną.

Ale o tem, kto jest bożyszczem westalki, wiedziało zaledwie kilka osób.

Przed wielkim rautem w listopadzie Lucia, już ubrana, stojąc w swoim pokoju, odwróciła się gwałtownie do drzwi. — Ktoś energicznie zastukał.

— Proszę.

Wpadł zadyszany Bodzio. Porwał Lucię za ręce i zawołał:

— Winszuję! winszuję! księżnej pani!

— Czy kuzyn zwarjował?

Bohdan przysunął usta do jej ucha.

— Ostrzegam kuzynkę: dziś, zaraz, ma się jej oświadczyć książę Zygfryd, ten wdowiec, milioner.

Lucia szarpnęła się.

— Skąd... ta wiadomość?...

— Podśluchałem. Oświadczył się baronowej, przyjęty z rozczuleniem. Ordynat...

— Co... ordynat?...

— Był także obecny.

Lucia nabrała powietrza w ściśnięte piersi.

— I co?...

— No, i może także rozczulony? Już tego nie wiem; słyszałem tylko rzewny głos cioci. Spisek, kuzyneczko.

Policzki Luci pałały. Szybko podała mu rękę.

— Dziękuję, kuzynie. Wiem co zrobić.

Szyderczy uśmiech mignął na jej ustach. Bohdan i naczaj go zrozumiał. Rzucił się z zaciętrzewioną miną.

— Jakto? Przyjmiesz księcia, kochając ordynata?!

Lucia spojrzała na niego groźnie.

— Dość już! Proszę iść, kuzynie.

W drugim pokoju rozległy się prędkie kroki. Bodzio skoczył przestraszony.

— Ojej! pewno ciocia! Kuzynko, ratuj, żeby mnie tu nie widziała: odgadnie!

Rozejrzał się dokoła, i nie widząc innych drzwi, przykucnął za chińskim parawanem.

Wszedł lokaj.

— Jaśnie pani baronowa prosi do sali.

— Te voilà! — szepnął Bodzio dość głośno.

Lucia milczała.

— Co mam odpowiedzieć pani baronowej? — spytał lokaj.

— Że spełniłeś polecenie. Idź.

Gdy drzwi się zamknęły i ucichły kroki, Bodzio wyjrzał z za parawana.

— Co zamierzasz, kuzynko?...

— Jestem niezdrowa; proszę wyjść.

— Aha!

Bohdan zaśmiał się subtelnie i znikł.

Lucia podeszła do lustra. Uśmiezek ironiczny powrócił na wargi. Była blada i podniecona. Wolnym ruchem zaczęła zdejmować suknię, rozplatać włosy. Ubrała się w biały negligé i ułożyła wygodnie na aksamitnym szezlongu. Do zdumionej panny służącej, która weszła, baronówna rzekła krótko:

— Jestem chora. Nie przyjmuję nikogo.

W kwadrans potem zaszumiało jedwabiami, i wbiegła baronowa.

Niesłychane zdziwienie odbiło się na jej twarzy.

— Co to?! Jakaś... nowa szopka?

Lucia podłożyła ręce pod głowę i patrzyła na matkę spokojnie.

— Luciu: co to znaczy?...

— Jestem nieubrana, widzi mama.

— Ależ raut... Już się zjeżdżają!

— Nie wyjdę.

— Co?!

— Nie wyjdę dziś.

Baronowa wybuchnęła.

— Histerjujesz! Wieczne skandale! Co ty wyrabiasz?...
Tu est folle!

Potok słów, pełny oburzenia i złości, przeplatanych francuzczyzną, wrywał się z ust pani Idalji. Ale Lucia była jakby głucha. Patrzała w okno z zimną krwią, tylko wargi ust drżały uśmiechem nienaturalnym. Baronowa po wybuchu gniewu zaczęła prosić, zaklinać. Nic nie pomogło. Lucia odpowiadała na wszystko bezwzględnie:

— Dziś nie wyjdę.

— Pięknie się zachowujesz!... Oświadczył mi się o ciebie książę Zygfryd. Posłałam cię prosić; wie, żeś zdrowa. On czeka w sali, a ty...

Wzruszyła ramionami wściekle.

— Histeryczka — syknęła zjadliwie.

Lucia podniosła się.

— Od tego trzeba było zacząć, mamó — rzeźła spokojnie. Wiedziałam o waszym spisku. Moją odpowiedź księciu daję swoim postępowaniem. Nie chcę go widzieć i znać.

Baronowa zatrzęsa się.

— Malheureuse fille! Zastanów się, co robisz. Obrazisz go raz na zawsze! Taka partja niebywała, taki gentleman!

— Nie chcę go widzieć i znać — powtórzyła westalka.

— Dlaczego! Jaki powód?

Lucia nic nie odrzekła.

Baronowa zaśmiała się rubasznie.

— A! pewno stara śpiewka: „nie kocham go“.

Milczenie.

Pani Idalja wybiegła z pokoju.

Zanim doszła do sali, uspokoiła swój głos i wyraz twarzy. Do oczekującego w małym buduaru księcia, rzekła z uprzejmym uśmiechem, prawie zachwycającym:

— Cierpliwości, cher prince. Moja córka jest trochę... niezdrowa... Zupełnie niespodziewanie... migrena... un peu de nerves. Vous comprenez?...

Książę, elegancko pochylony naprzód, trzymając duży pałec lewej ręki w kieszonce kamizelki, błysnął binoklami i prawą dłonią musnął sporą łysinę świecąca z pomiędzy utrefionych włosów.

— Spodziewam się jednak... — zaczął nosowym głosem.

Lecz baronowa żywo mu przerwała:

— O! naturalnie! Jednak dziś nawet nie mówiłam córce...
de cette chance — dodała ciszej i z umizgiem. Trzeba ją oswoić.

— Więc baronówna nie wyjdzie do nas...

Pani Idalja zrobiła rozplakaną minę.

— Może potem da się namówić. Teraz... elle est indisposée.

— Hm! — mrknął ksiązę powątpiewająco.

Bohdan słyszał rozmowę i śmiał się.

XXVII.

Pierwszy, niepokalanie biały śnieg spadł obficie na ulice Warszawy. Miasto wyglądało odświeżenie a zacisznie. Białe aksamity powlokły dachy, drapowały się pod oknami, zwisały frendzliście z nagich gałęzi drzewnych, słały swe zbrudzone już kobierce na brukach ulic. Mróz był tęgi i rozsiał w powietrzu mnóstwo skrzących pyłów, niby iskierek po roztrzaskanym brylancie. W świetle lamp elektrycznych szkliste tumany mrozu skupiały się gęsto, tworząc powietrzną kopalnię drogocennych igieł.

Raźnie rozdzwoniły się janczary sanek na ulicach. Zgrabne płozy migały tu i tam w szybkim, ślizgim biegu. Dumnie jakoś kłusowały konie, pokryte cennymi siatkami, strojne w pióra i kity.

Wieczorem ruch jakby się wzmagał. Środkiem ulic gnały sanki prywatne i dorożkarskie, wioząc zakapturzone panie do teatru. Sunęły gęsto karety, poprzedzane klasycznym tupotem spasionych koni; wlokły się drobnym truchtem pospolite dryndy z przygarbioną postacią dryndziarza na koźle. Piesza publika spacerowała wolniej, gwarząc wesoło i przypatrując się sankującym. Długie słupy pary przeplatały ciemne postacie osób. Rzęsiste światła lały się hojnie na chodniki z wystaw sklepowych i wielkich lampjonów, odznaczających pewne cukiernie lub większe sklepy. Tu i owdzie mrugały niezliczoną ilością źrenic lampki różnobarwne teatrów złudzeń.

W Alejach Ujazdowskich wśród publiczności rzadszej nieco, szedł Waldemar Michorowski. Przed oczyma jego jaskrawym zygzakiem rysowały się słowa:

„Lucia mię kocha“.

Nie mógł odpędzić z myśli tej pewności, która już występowała zbyt wyraźnie.

Po odmowie, danej księciu Zygfydowi, Lucia nie strzegła troskliwie swych uczuć. Wieść głucha rozeszła się prędko, pochłaniana i komentowana.

Oczekiwano następstw. Ordynat widział zwrócone na siebie oczy tłumu salonowego, ale co gorsze, czuł wśród nich nieśmiałe, błagające źrenice Luci. Prześladowały go one, wpijały mu się uparcie do duszy, oplątując spojrzeniem niby pajęczą nitką, niby jakimś mrokiem, co zwolna, ale silnie opanowuje we władztwo swe zastygły po zorzach dzień. Czuł, że nie ogarniają go miłosne pęta, że brak im słodczy, ale że jednak są to — pęta niewolne, jakby obowiązujące, które spadły nań prosto z życia, bez poprzedniej vibracji w duszy. Wsączało się to despotycznie w istotę jego ducha, bez cichej fletni, grającej cudne melodje zachwyków i szalonych upojeń. Zamarłe pieśni przebrzmiałych nokturnów nie ocknęły się; ani jeden dźwięk nie drgnął rzewliwą tęsknotą na omdlałych tonach arf, ongi dzwoniących epepeję. Struny, rozkołysane dawniej w hejnał rozkoszny, nie pordzewiały, lecz zwinęły się szczelnie w zazdrosny krąg, wskroś którego przepływał chłód pustkowie.

Jakieś nowe, niesłychane misterjum, upoiste, na uroczych pasmach światłości spłynięte do duszy, mogłoby rozbudzić z odrętwienia te struny czarodziejskie, śpiące w bolesnym letargu. Jeśli nie były zabite huraganem, co zgłuszył ich śpiew? Jeśli w szarpaniu się tragicznem nie zginęły bez ratunku? Jeśli nie uległy wiekuistemu snowi?!

Dotąd w zaniku swym trwały. Pajęczne pęta świadomości uczuć Luci nie były twórczą pobudką: niepokoiły — nie budząc. Zamknięta świętość w duszy ordynata, nie skaziła swej boskości. Dogmat, zawarty w niej, palił się tym samym ogniem ofiarnym na stosie ściętych kwiatów przeszłości. I pachniały lilje przeżywanich uczuć. I dym wonnych kadzideł zjawisk prześnionych nie rozplynał się w zapomnieniu.

Ekstaza przeszła w wizję nieziemską i pałała jaśnią. Żadna iskra nie struchlała, nie było popiołów. W świątyni jego miłości, szemrał ten sam szept modlitewny drogich ust kapłanki i bieląla zawsze w tajemniczych półcieniach ubóstwiona jej postać.

Nawała nowych wrażeń nie potrafiła zwać tego jedyne go obrazu, którego czas wżlbiał tylko głębiej w skrwawione serce.

Więc odczuć egzaltowanej miłości Luci Waldemar nie mógł i nie starał się. Same pragnienie uważałby za świętokradztwo.

Ale miał dla Luci głęboką litość, współczuł jej, jak zranionej siostrze. Chciał ją ratować, lecz widział, że wszelkie usiłowania na nic. Męczyło go to niewymownie. Odgadywał skryte zamiary dziadka i wzburzały go. Gniótł w sobie niechęć, która często z dziką pasją występowała przeciw Luci. Bunt obrażonej duszy, gniew i szyderstwo wypełzało coraz jawniej. Szaloną wolą opanowywał zgrzyt wewnętrzny, ale przeczuwał, że pomimo wysiłków może wybuchnąć brutalnie.

Podniecając się przykrą rozterką duchową, szedł ociężale przez ciche, zaśnieżone ulice Alei Ujazdowskich, schowany prawie w cieniu drzew. Gdzieś w pobliżu Łazienek usiadł zamyślony na ławce. Wspomnienie nagle uderzyło go złotym i bolesnym biczem.

Zadrzał. W przymkniętych oczach rozsnuł się śnieżny, lecz ciepły wieczór marcowy. Blask latarni migocze wśród drzew tych samych Alei. Jest jakoś dziwnie słodko i dziwnie muzykalnie. Drobnie płatki śniegu sypią senne i topnieją na futrzanym kołpaczku siedzącej nawprost niego kobiety. Jadą razem środkiem Alei w odkrytym landzie. Obok niej, staruszka, matrona, patrzy na ulicę, a oni oboje utopili chciwy wzrok w swych źrenicach rozmiłowanych i piją, piją bezdenny czar, piją zachwyty własnych serc, piją aż do zawrotu głowy. Powóz niesie lekko, jakby na puchach łabędzich, słychać jedynie rytmiczny stuk kopyt na drewnianym bruku, lecz i to ma swą wyłączną melodię. Jadą, zda się, w nieskończoność. On w swoich dłoniach ma jej ręce, które sam obnażył z rękawiczek i tuli pieściwie. Postać jej widzi w blaskach lamp, taką ukochaną, taką oddaną mu, jedyną.

Kiedy, niekiedy słowo jakieś, ciche a potężne w swem znaczeniu przefrunie z jego ust na jej wargi, one zaś uśmiechają się, jak stokrocie pod dotknięciem słońca i kwitną, pachną — dla niego!

Jadą tak długo, w tej ciszy anielskiej, w tej niezgłębionej rozmowie serc, w tem zapatrzeniu się w siebie. A śnieg sypie, sypie jakb okrucy gwiazd, i topnieje na tej postaci. Więc ona wchłania w siebie gwiazdy? Z tyłu promieni drobniusich tworzy się jedna gwiazda, przejasna, aerolit cudowny, złotolita gwieździca: jest nią — ona sama. I promienieje, sieje dokoła oślepiające strumienie blasków. Na niego spada najdrogocenniejszy, niewysłowiony, piękny — i odurza go.

O wspomnienie niebiańskie! O śnie, śnie nigdy nie powrotny!
 Ordynat podniósł powieki. Śnieg sypie, sypie, jak w marzeniu, co uleciało w mroźny przestwór. Błyszczą latarnie, jęczą dzwonki rozpedzonych sanek. Wszystko tak jak wtedy, tylko smutek czarny łązi tu bezkarnie, depcze po duszy, naigrawa się z marzeń. Podły twór! Nie zawrze szyderczej paszczeki, nie odwróci ślepi urągliwych. Żyje i mnoży swe plugawe potomstwo i karmi je żałobą ludzką. Wszędzie go tu pełno. Łapy swe ohydne rozciąga od brzegu w brzeg i ziejże z pyska nędzą na tych, co tu... wspominać chcą.

Podły twór!

Ordynat wzdrygnął się. Wstał, i zgarbiony, jakby cały ogrom smutku dźwigał na swych barkach, poszedł wolno w stronę miasta. Rękę schowaną w kieszeni futra zacisnął ze strasznym bólem.

— I oni chcą mnie?!... warknęły jego usta równie wściekle, jak żałośnie.

Pogarda drgnęła mu w źrenicach.

XXVIII.

Na placu Trzech Krzyży ordynat nagle stanął. W jadących obok strojnych sankach ujrzał Bohdana z bardzo piękną damą. Była to znana primabalerina.

Bodzio w czapeczce fokowej na zgrabnej głowie, pochylony do swej towarzyszki, mówił coś ogniście i z giestykulacją. Oczy mu błyszczały namiętym płomieniem. Tak był zapatrzony w swoje cudo baletowe, że nie spostrzegł wcale ordynata.

Sanki z chrzęstem, z brzękiem sutych janczarów, z parskaniem pysznych koni, przemknęły pędem, wlokąc po bokach końce bogatej siatki, która obficie spadała z koni aż na śnieg. Zadzwonily o bruk hacele podków, trysły iskry, zaszumiały pióropusze, i zaprząg pomknął szumnie ku Nowemu Światu.

— Używa stolicy — uśmiechnął się ordynat.

Własna młodość stanęła mu w myśli, tak samo zapalna i bujna.

— Dokąd ją wiezie? — zaniepokoił się.

Skinął na sanki i kazał ostro jechać.

Wychylony lekko z poza pleców doróżkarza, widział w oddali jadącą parę. Świetny kapelusze damy i czapka Bodzia pochylały

się ku sobie. Nareszcie stanęli przed domem, gdzie mieścił się znany kabaret. Ordynat kazał zwolnić. Mijał Bodzia, sunąc stępa po świetlistym szlaku, od lamp elektrycznych.

Bodzio z wdziękiem pomógł wsiąść swej damie, i razem weszli do środka gmachu, powitani głębokim ukłonem szwajcara. Sanki nie opłacone, w oczekiwaniu stanęły opodal.

Waldemar usłyszał jeszcze rażny głos stangreta remizowego do stojących doróżkarzy.

— Będę czekał do rana nim się ta oni nacieszą; dadzą się człowiekowi wyspać.

Zaczął się pakować do środka sań, okrywając nogi futrem. Ordynat pojechał dalej.

Na estradzie w sali rzeświście oświetlonej śpiewała drastyczne kuplety młoda niemeczka. Obcisła suknia, naszyta świecidłami, okrywała ją prawie od pasa do kolan, przy których burzyły się falbany gazowe. Ruchy i wyraz twarzy miała cyniczne. Zmysłowo błyskała dużymi zębami z poza grubych, ukarminowanych warg. Oczyma uplastyczniała strofki śpiewek bezwstydných.

Bohdan ze swą towarzyszką usiedli przy stoliku blisko estrady. Podsunęło się do nich dwóch znajomych młodzieńców, sławnych turystów zakulisowych. Bohdan zaprosił ich do kolacji. Rozpoczęła się zabawa.

W jednej z bocznych łóż, ukryty za firanką, Waldemar Michorowski z daleka przyglądał się kuzynowi. Prawie tuż obok łóży, na sali, przy stoliku, siedziało dwóch mężczyzn, rozmawiając z sobą dość głośno.

Ordynat widział rozbawioną twarz Bodzia, patrzył na zalotne uśmieški primabaleriny, ale nie słyszał słów. Od czasu do czasu jakiś dowcip wywoływał tam burzę śmiechu, piękna dama ognisciej błysnęła oczyma lub też robiła skromną, niewinną minkę, a Bodzio zawadjacko zaglądał jej w twarz.

— Patrz pan, jak to germańskie bydlątko obnażyło się — mówił jeden z panów przy stoliku obok łóży.

Wskazał na kłaniającą się szansonistkę.

— Za co jej brawo dają? — rzekł drugi. — Ma głos ciężki, jak jej narodowa kiełbasa z grochem.

— Ale za to kształty jak z ciosanego marmuru: nogi... albo biust...

— Et! jaki tam marmur!... piaskowiec, pobielony wapnem. Wszystko to, panie, rozlazłe, tylko szkielet jak nadreńskiego ma-

muta. Albo to wykute w ogniu temperamentu? Ot sobie — żaba: to nie węgierska krew!

Na estradę weszło pięć półnagich dziewcząt, rozpoczął się chór i tańce.

— Patrz pan! Wystawa kobieciny.

— Co za „kobieciny?”

— A no: ciała. Tak jak cielecina, gęsina, tak tu masz pan kobiecinę w podkasanych gazach. Ekspertów nie brakuje. Niech pan spojrzy na Michorowskiego.

Ordynat drgnął.

Panowie patrzyli na Bohdana, który pożerał oczyma pełne ciała szansonistek.

— Uważa pan, jaki łakomy? Jedną sobie zaangażował, i dobry kąsek, a na te się oblizuje. Jak tak długo pofruwa na tych ziółczkach, to mu skrzydełka opadną.

— Nic mu, panie, nie będzie! Rasa wypróbowana! A ordynat głębowicki: mało używał? Jednak zawsze zuch.

— No, niebardzo. Jakoś się nie żeni.

— To z innych powodów. Zresztą podobno żeni się z jakąś kuzynką. Ten młodzik gotów mu pół fortuny przepuć.

— Ordynat się nim opiekuje, ale widać niezbyt gorliwie, skoro ten tak używa na primabalerinach.

Waldemar za swoją firanką był pod przykrem uczuciem obawy, by go nie dostrzeżono. Zasunął się głębiej.

Na estradzie zmieniały się śpiewy na sprośne tańce, na monologi swobodnych błazeństw. Jakiś murzyn wykrzykiwał głosem zarzynanego koguta, produkując sztuki magiczne.

Sala wypełniła się chmurą dymu. Panował gwar ożywionych rozmów, strzelały śmiechy, dowcipy i szampan. Śpiewaczki i tańcerki weszły na salę, zmieszały się z publiką. Jakiś chłopak obnosił w wielkim słoju kwiaty cięte i sprytnie trafiał tam, gdzie najczęściej płacono. Bodzio ogromny pęk róż ładnym ruchem złożył na talerzu swej towarzyszki. Tu i tam odzywały się podniecone alkoholem, gardłowe chrypienia męskie. Zabawa szła.

Waldemar myślał:

— To jednak konieczne. W naturze ludzkiej znajduje się zawsze gruczołek, zawierający zakaźny miazmat rozpusty. Tylko u jednych jest on odległy od ostrego zęba pokusy i trwa w swem zamknięciu. Nie trącony nie pęka i nie zatrzuwa. U innych jest w bardzo mocnym pęcherzyku, nasyconym przez etykę lub flegma-

tyczność krwi. Ale jest; rozdarty mniejszą czy większą siłą, wypływa i drażni. Trzeba posiadać olbrzymią twórczą moc, aby bezkarnie wypluć go z jestestwa swego, gdy już rozciąga nad niem władztwo.

Więc zabawa to trucizna? Czy też tylko musowanie duchowej istoty ludzkiej, podjudzone przez żądzę ciała. Woda nagazowana burzy się, lecz z chwila, gdy ostatni balonik gazu uleci, pozostaje zimną i mdlą.

Piana jest igraszką fal. Im większy temperament wewnętrzny kipi i żyje, tem piana wyżej bucha i staje się zaborczą. I ogarnia skały, niedostępne brzegi dla najgłębszych, lecz poważnych nurtów.

To temperament, nie zabawa.

To raczej twórczość.

Wyrywa się z głębin i szalenie unosi w górę atomy, zrodzone duchową potęgą wewnętrzną, by objąć nowe horyzonty lub zatracić swą lotność na nędznych rozpryskach, po gołoledzi niebezpiecznych raf.

To nie zabawa.

Zabawa jest przedsiönkiem rozpusty. Kto nie dojrzy zdradziecko rozwartych podwoi, ten jest jak dobre szumiące wino: kto przekroczy próg gościnny, staje się fermentem.

Większość ludzi nie zdoła oprzeć się podszeptom chochlika, który każdemu trafi w zanadrze, a nic łatwiejszego jak popełnić fałszywy krok pod kierunkiem tego malca. Śmiech jego nęci, widok oślepia, i — powrót już trudny.

Więc się brnie.

Dla umysłu zabawa jest niemal konieczną, uspakaja, niby kroplisty szmer fontanny po monotonnym turkocie pracy. I orzeźwia bystrym strumieniem duszy zapyłony ił powszedniości.

Brać zabawę i rozkosz życia, pić ją pełnym haustem, jeno trzeba umieć trzymać, by się jej czara nie chybnęła. Rozleje się, albo zgoła pokaże bezecne dno. Trzeba umieć oddzielić od źródlowisk zabawy żyły rozpustonośne, bo one toczą zgniłą materję. Najpierw nacierają na ciało, potem wraz z niem spodlają ducha.

Waldemar ocknął się. Przyciszony głos i słowa przy stole zwróciły jego uwagę.

— Oho! krew Michorowskich! Ciska się kogucik. Patrz pan, patrz pan: awantura!

Patrzyli na Bodzia.

— Jakaś sprzeczka. Magnaciatko rzuca się — szepnął gło drugi.

Przy stoliku z primabaleryną wrzało. Bohdan i jeden z obcych młodzieńców zamieniali z sobą jakieś popędliwe słowa. Twarz Bodzia pałała ogniem gniewu i ironji. Strojna dama miała minę zmieszaną i chęć do ucieczki. Kilku lokajów podsunęło się bliżej stolika. Z innych miejsc patrzano ciekawie, ale gwar nie ustawał.

Waldemar dojrzał, iż Bodzio rzucił przeciwnikowi kartę. Baletnica zerwała się z miejsca. On zatrzymał ją energicznie i wymienił bardzo uprzejme ukłony z młodzieńcami, którzy opuścili stolik. Zgromił wzrokiem gapiących się kelnerów, że usunęli się prędko przestraszeni, wstał z miną udzielnego księcia i z wielką dystynkcją, puszczając przodem swą damę, wyszedł z sali. Waldemar dostrzegł, że znikli oboje w drzwiach jednego z dalszych gabinetów.

— Nie darował swego! — mruknął głos obok łoży.

— Ponieśli tam szampana. Orgja przed pojedynkiem. Zuch! Pewno o nią się poczubili.

— Jak jelenie. Michorowski zaimponował swą kartą, i zwycięzca.

-- Awantura, panie, arabsko-kabaretowa. Ale ten młodzik i lufy się nie złąknie.

Waldemar słyszał te słowa. Przeniknął go niemiły dreszcz.

XXIX.

Przeciwnicy skierowali na siebie gardła pistoletów. Bohdan przed komendą rzekł do swego sekundanta, Stalskiego, przyjaciela z Nicei:

— Ja walę w powietrze, a on... jak chce.

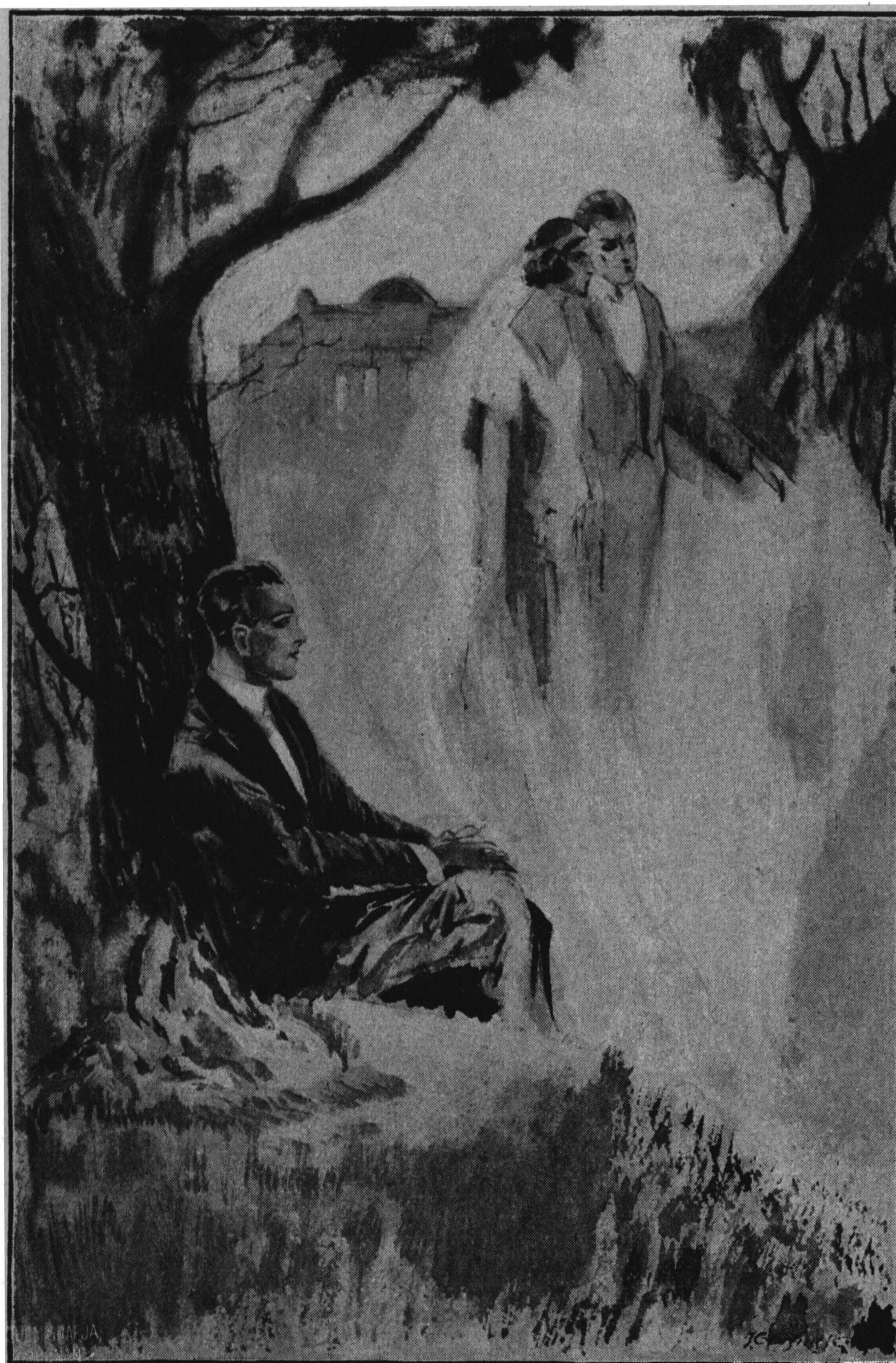
Raz, dwa...

Huknęły strzały.

Bodzio skrzywił się, pistolet wypadł mu z dłoni. Lewą ręką schwycił się za mięśnie prawej.

Podbiegli do niego.

Przez rękaw sączyła się krew. Bodzio zawałał nią palce. Patrzając na czerwone plamy, rzekł z pozornym spokojem, chociaż zęby mu szczękały:



Pałac ten przypomniał mu Czerczyn . . . (str. 105)

— No, to się pierwszemu Michorowskiemu zdarzył taki casus. Ojej! moi przodkowie w grobie się przewrócą.

Lekarz obejrzał ranę. Ciało prawej ręki było przestrelone na wylot, ale kość nie ruszona.

Bodzio wyciągnął drżącą z bólu dłoń do swego przeciwnika.

— Wybaczymy sobie; prawda? Swoją drogą — może to nie wypada, ale powiem: oto żałuję, że panu nie odtrącił małego paluszka u nogi. Co?! To dopiero byłby strzał! Na drugi raz się poprawię.

W karecie Bohdan osłabł.

— Nie tyle z bólu, ile pewno z wrażenia — uspakajająco rzekł lekarz do Waldemara:

— Pierwszy pojedynek — to emocja.

Bohdan coś szeptał zbielełymi wargami. Ordynat podtrzymał go.

— Co mówisz Bodziu? — spytał troskliwie.

— Ee! nic. Ale to nie koniec. Wyzwę kiedy jakiegoś tam... i... kropnę, aż miło. Drugi raz taki głupi nie będę.

Syknął zlekka i szepnął jeszcze.

— Ojej! żeby choć było o co?...

Przez kilka dni ordynat nie mógł się dowiedzieć przyczyny pojedynku.

Bohdan zaciął się w milczeniu.

Nareszcie sam zaczepił Waldemara.

— Wuju: czy kobieta warta jest, żeby za nią umrzeć?...

— Nie wiem, o jakiej kategorii kobiet mówisz?

— Kategorie! kategorie! Mówię: kobieta i kwita. Każda ma nos do wążania, oczy do kokietowania, usta do całowania i cnotę do sprzedania.

— Błędnie i sądzisz stronnie, podług swych ideałów z półświatka. To nie racja — odrzekł surowo ordynat.

Bohdan umilkł, chodził zdenerwowany po pokoju. Nagle stanął obok Waldemara w wyzywającej pozycji.

— A ja mówię wujowi, że świat składa się przeważnie z takich właśnie fatałachów babskich. Zawiercą człowiekowi w nozdrzach, aż się zakicha, ale każdy lezie na ten miód. Kobiety porządne, wielkiej wartości, nie wywołują pojedynków, zabójstw, bo są może jak święte, którym się całuje szaty. Ale zanim się do takiej człowiek dochrapie, to go mogą sto razy djabli wzięść przez łachman.

— Skąd ty to wiesz? — zdziwił się ordynat.

— Wiem.

— Nabyłeś już praktyki; nie będziesz narażał życia dla głupstwa.

— Ojej, czy raz jeszcze!... Albo to wuj mało napłatał łbów dla gamratek?... Różnych gatunków one są: takie, siakie i owakie. I w rozmaite skóry odziewają się. Często trudno poznać, co kryje nawet gronostaj.

Bohdan ciągle ironizował, rozumował, ale nie mówił nic więcej. Waldemar był niespokojny. Tembardziej, że Bodzio zmizerniał i chodził osowiały. Ręka mu się zgoiła, lecz dokuczowało mu widocznie jakieś cierpienie moralne. Ordynat odgadywał, lecz milczał.

Sam był zresztą pochłonięty ciąglą rozterką z własną duszą, co spowodowała Lucia.

Przytłumiona wieść o ich małżeństwie rozplynęła się po salonach niepowstrzymanie. Spoglądano na nich, jak na narzeczonych.

Lucia promieniała, Waldemar pochmurniał.

Unikał jej starannie. Widywali się tylko na większych zebraniach. Ten stosunek dziwny nie uszedł wzroku pani Idalji. Nie mówiła nic, udawała zręcznie, że nie widzi nic i nie słyszy pogłosek. Może i ona pragnęła tego, lecz... w możliwość nie wierzyła.

A tymczasem urządzała coraz nowe zabawy, wciągając w nie Lucię i ordynata. I udawało się jej.

Lucia zmieniła swój system. Dawniej poważna, westalka nawet wobec Waldemara, teraz wpadła niekiedy w szal zabawy. Czarowała mężczyzn bezwiednie jeszcze samym urokiem nagłej zmiany. Wszystko, co w niej było zalotnością i chęcią podobania się, skierowała na ordynata. Z zimnej, sztywnej — stała się kipiącą warem wewnętrznym. Oczy jej paliły żywym płomieniem, usta rozchylały się, żądne pocałunków. Cała postać gięła się do Waldemara z żywiołową mocą miłości.

— Jestem twoją! — mówił mu to każdy jej ruch.

I pewien wyłom się w nim zaczynał.

Wrażenie tak wiotkie, jak cień śmigającej jaskółki, ale pachnące słodką wonią, niby przewiew rozkwitłej gałęzi akacji, wsiąkało mu w nerwy — i kropla po kropli — padało na obudzony prąd krwi. Każda kropla czyniła ją czerwiejszą, bardziej

gorącą. Coś się poczynało w nim, ale słabo, nieuchwytnie, jak ocknięte echo górskie, dawno zatracone i śpiące w upłazach. Na wirkach już się odzywa, ale turnie śpią jeszcze. Ogarniało go zdziwienie i przestach. Jednak nie szukał bram ratunkowych.

W tym czasie Bohdan znikł z Warszawy. Po kilku dniach niepewności ordynat otrzymał od niego list z Głębowicz.

List brzmiał:

„Uciekłem tu, bo Warszawa mnie chłonie.. Wierzyłem w swoją baletniczkę, myśląc, że unikat i ofiara zakulisowa. Za brutalny żart, skierowany do niej, wyzwiałem tamtego, ale nawet śmierć naśmiała się ze mnie i pokazała figę, za co ma moją dożgonną wdzięczność. Owa uciśniona niewinność jest już w dziesiątych rękach, jeśli w równie naiwnych jak moje, niech im idzie na zdrowie. Niech wujek spłaci moje nowe długi — już ostatnie mam nadzieję (adresy podaję niżej), i wraca do Głębowicz. Tu bezpieczniej. Haneczka moja, szampanik! i mam pewność, że tylko moja.

Bohdan.“

Ordynatowi z całego listu najwięcej przemówiło do przekonania, że tam — bezpieczniej. — Opłacił długi Bodzia, z zamiarem natarcia mu uszu, wymówił się koniecznością i wyjechał.

Lucia czuła, że ten wyjazd to trochę ucieczka. W duszy swej miała hejnały nadziei.

XXX.

W ostatnich dniach karnawału ordynat i Bohdan byli u Sartaskich w Pozierzu. Wieczór zapowiadał się dla Bodzia wesoło. Panien było mnóstwo, a oprócz młodych Sartaskich, jeszcze nie dorosłych, żadnego obcego młodzieńca prócz Bohdana. On i Waldemar mieli powodzenie. Ale Bodzio kręcił się niespokojnie. Coś knuł.

Nareszcie znikł z salonu. Nikt nie wiedział, gdzie się podział.

Panny zgorszyły się niesłychanie, ordynat był zły, tylko pan Sartaski uspokajał wszystkich.

— Ho! ho! nie obawiajcie się państwo, on tu jeszcze powróci — mówił przekonywająco. Poznałem już tego młodzieńca: nie robi sobie nic z nikogo i z każdej biedy wypłynie.

Ale panny nie dały się przekonać.

Ucieczka Bodzia zrobiła złe wrażenie.

— Magnat!... Nudzi się wśród nas... Niedelikatny...
Wielki pan — chodziły szepty.

— To już nie ordynat. Ten widać gardzi szlachtą — mówili
młodzi Sartascy.

Bohdan stracił popularność.

Nawet nie domyślając się tego, Bodzio pędził w małych saneczkach, na prędcie chwyconych z Pozierza, z chłopcem stajennym, przez zaśnieżony bór do Głębowicz. Radość miał w sobie i figlarny dreszcz w młodej krwi.

Dwa konie głębowickie, zaprzężone w szpic, gnały prawie cwałem. Bodzio stał w sankach sam powożąc, i pokrzykiwał głośno na cały bór. Od pędu sań i okrzyków śnieg zdawał się spada z przydrożnych jodeł. Błady księżyc wyjrzał z za drzew, omaścił matową powłoką białą drogę, sypnął skąpe, wątle iskierki na płaty śnieżne, niby lustrem pogładził lśniące ciała koni. Rozweselone światłem spasioone araby rwały z kopyta, chrapiąc i dziarskim pędem unosząc drobne saneczki. Bohdan aż śmiał się z radości.

Odczuwał w sobie moc przeogromną i swobodę. Był oto teraz jakby panem i władcą, dziedzicem, nieprzejrzanych białych włości, stężących rozłogów. Sam w swych saneczkach wśród pustyni mroźnej.

Mróz przemożny, biel przemożna.

Powietrze jarzy się białym ogniem. Chłód bijący z tej huty styczniowej, zimnej aż do sparzenia, przenika do kości, ssie szpik z ich wnętrza. I orzeźwia i młodość wlewa do duszy, porywa instynktownym rzutem, do czynu gna.

Mróz nabiera rozpędu, tęgość swą wzmacnia. Rozwiął mleczną brodę, włosy puścił na wiatr, i sieje hojną dłonią zielone iskrzyce, mroźne kamyczki czerpane z zanadrza lodowego.

Sieje piękno i potęgę.

Sieje chłód i obojętność.

Sieje nędzę i głód.

Śmierć dla skostniałych ciał, rozkosz i życie dla ciepłych, otulonych w futra. Z oczu sypie szmaragdy, z dłoni opale z zielonymi błyski.

Pod stopami w srebrnych sandałach rosna mu martwe, lecz błyszczące gwiazdy, z płaszcza kruszy się cienkie jak pajęczyna szkliwo igiełek mroźnych, które przebija się aż do serca.

Wpadli na gładką równinę pola. Niby morze śnieżne roz-
tworzyło się przed nimi, szeroko. Na stokach odległego hory-
zontu tumań się mglisty pył. Stulał razem ziemię z niebem,
zacierał ich kontury, że nie było końca tej bieli cudownej, co
niosła sama w dal siłą ciągnięcia. Góry, fale śniegu mieniły się,
jakby posypane żuźlami z kryształu, wyraźne zręby zasp za-
marzłych były ostre, niby piły. Świeżo nabuchane przez wiatr
gromady miały matowość kłębow wełnianych wśród atlasów
i srebrnej lamy. Wielka, uroczysta cisza wędrowała, zda się, z ziemi
do nieba i znowu spływając z miesięcznej tarczy, łagodnie za-
sypiała na majestatycznym łonie zimy.

Janczary arabów rozniosły swój podzwon głośny, ale ni-
knący prędko, bo wsiąkał w tę białą pustynię, nieskończoną jak
Sahara. Jednak dźwięczał i straszył. Tu i tam pomykały zające
z nastawionymi słuchami, wyglądając z daleka na wydłużoną
strzałę z bełtem.

Bohdan wołał na zmykające szaraki i trzaskał z bata: Gdy
sposzregł rudą plamę lisa, krzyknął głośniejszy i zwrócił konie
za nim. Ale odrazu wpadł w zaspę. Tęgie araby zaczęły kopać
się dzielnie, biorąc kopytami śnieg pod siebie. Szorowały
brzuchem śnieżne zwały, parły zawzięcie naprzód, dymiąc z nozdrzy
jak z kominów. Czarne grzbiety ich tonęły w zimnych pianach
i rozpylały je na chmurę białego pierza. Zawieja roztaszczonych
z impetem zasp, otaczała podniesione łby końskie i rozwarte na
wiatr chrapy. Wierzchnią, lśniącą skorupę śniegu, piersi ru-
maków gniotły na miał, darły się niestrudzenie wskroś stężonych
mas. Niosły się górnio i szumnie.

Zziajane, buchające gęstą parą konie Bohdan wywiódł na
ubitą drogę i zdwoił pęd. Sam na równi z końmi zmęczony był
walką ze śniegiem i upojony. Powietrze uciekające gwałtownie
świstało mu w uszach jak grad śmigających kul; rozpaloną twarz
owiewał mu chłodny pocałunek nocy.

Jak orkan szалу wpadł na dziedziniec czworoboku zamko-
wego w Głębowiczach. Powstał tam zaraz ruch niezwykły.

Po paru godzinach męczącego oczekiwania w Pozierzu,
kiedy już nawet pan Sartaski stracił nadzieję powrotu Bodzia,
Waldemar zaś był mocno zirytowany, nagle uciekinier się zjawił.
Wszedł do salonu zgrzany, ale rażny, podszedł do ordynata i rzekł
z miną nieco skruszoną:

— Wuju, możesz mnie powiesić w Głębowiczach, teraz wybacz.

— Cóż tam nowego zwojowałeś?

— No, nie zbrodnię, ale zawsze, ojej! przestępstwo! Przywiozłem tu orkiestrę zamkową i wszystkich praktykantów głębowickich. Jak karnawał, to się bawmy! — zawołał z zapalem.

Widząc zdziwioną minę ordynata, rzekł przymilnie:

— Wuju, ja im tam skłamałem, że to z twego polecenia robię taki szum, nie kompromituj mnie! To czyn pro publico bono.

Waldemar zaśmiał się, podnosząc brwi wysoko. Widział zachwycone twarze panien, rozbawioną minę Sartaskiego i odczuł nastrój oczekiwania.

Rzekł wesoło:

— Skoro już warjujesz, miejże odwagę do końca. Gdzież są nasi panowie? Ale nie pytasz nawet, czy się państwo Sartascy zgadzają.

Bodzio ze zgrozą spojrział dokoła.

— No! Czyżby?! — wykrzyknął.

Lecz otrzymał bardzo skwapliwą i przychylną odpowiedź.

Bał się rozpoczął. Bodzio odzyskał utraconą chwilowo opinię.

Sam ruszył do mazura w pierwszą parę z panną Sartaską. Tańczył zamasyście. Przesadzał trochę w udawaniu Bartka, był nieco rubaszny. Ale jego młoda twarz ognista i oczy, patrzące z wdziękiem kokieteryjnym, łagodziły zbytnią żywość ruchów. Dopiero w walcu zmienił się, płynął z tancerką wytwornie z pewnem rozmarzeniem.

Ordynat kilka razy doznał przykrego wstrząśnienia. Czasem drobnostka była powodem. Jakiś znajomy ton w orkiestrze, zapamiętany z przeszłości, jakiś szum sukni kobiecej w zawrocie tańca, jakaś figura mazurowa budziły nagle dawne echa, a te uderzając brutalnie w jądro duszy — bolały.

Lecz Waldemar panował nad sobą. Wspomnień nie wypuszczał z ukrycia; bał się ich wpływu, i zresztą, miejsce było nieodpowiednie.

Jednak, gdy się coś trzyma w napiętej obawie, jak ptaka, by nie wyfrunął, nie można być swobodnym. Niepokój drży w sercu, oddycha się nim i widzi się go niemal oczyma. Waldemar czuł lęk podwójny: nieokazania obecnym swego wrażenia, bo mogłoby być zrozumianem inaczej, i zwalczania w sobie uczuć żalonych, zbyt ostro trąconych.

A zabawa kipiała życiem.

Bohdan i praktykanci głębowiccy zmieniali tancerki i unosili je wichrowym lotem. Zadowolony Sartaski częstował winem gości swych, ale prawie równie szczerze darzył butelkami muzykantów. Na Bodzia patrzył rozpromieniony. Z demokratyzmem ordynata zżył się, ale w Bohdana pod tym względem nie wierzył. Wiedział, że jest bystry i energiczny, lecz posądzał go o bardziej arystokratyczne cechy. Przekonywał się obecnie, że jest inaczej. Młodziutki Michorowski nie różnił się postępowaniem ani od praktykantów, ani od synów Sartaskiego. Nie wyłączał panien z lepszymi nazwiskami, jedynie, co go porywało, to chyba uroda. Ale tańczył ze wszystkimi bez wyjątku. Wyciągał z kątów skromne panienki, domowniczkę, co nawet wywołało pewien grymas na ustach wyżej urodzonych. Sartaski cieszył się. Patrząc na ordynata i Bohdana, myślał:

— Czy to tylko jest w ich rodzie, czy wogóle pleśń magnacka się przeciera?

Lecz co do ogółu miał jeszcze wątpliwości.

XXXI.

Bohdan na wiosnę był na posadzie w dobrach rusłockich na Wołyniu. Właściciel, książę Poniecki, mieszkał w głównym kluczu, prawie Bohdana nie widywał, gdyż ten, jako jeden z pomocników zarządzającego, przebywał stale w odległym folwarku, Jary. Michorowski pracował od świtu do nocy. Nie czytywał, nawet ulubionych rysunków zaniechał. Wieczorem, upadając ze zmęczenia, zasypiał snem twardym i doznawał wrażeń, że ktoś wali nań ogromne złomy kamieni. Budzono go przed wschodem słońca bez żadnych względów.

Praca i obowiązek wzięły go w swój gniotący tryb mozołu. W duszy młodzieńca powstawał bunt, lecz nieubłagana konieczność miażdżyła go.

Gdy maj rozkwitł w całej swej świetności, gdy natura wrzała życiem i pożądaniem, oceany białych kwiatów pokryły sady, lasy tryskały kwieciem, łąki wieńczyły swe czoła, Bohdan rwał się jak na łańcuchu. Wściekła przemoc tęsknoty za swobodą szarpała go, niby obcęgami. Biedz chciał na przepadle, byle otrząsnąć się z tego jarzma, byle dalej.

Zamierał z szumnych porywów życia.

Stał na polu buraczanem, dozorując pielenia, ale patrzył jak błędny na gromady kobiet, schylonych nad pracą. Często nie

pojmował, co mówili do niego ekonomowie lub zarządzający, który sprawdzał pomocników. Wolał już ślęczenie przy biurku, w kancelarji administracyjnej, sumując niezliczoną ilość cyfr, lub pisząc raporty. Wtedy nie widział przestrzeni, nie wciągał w chciwe nozdrza zapachu rozprażonej ziemi; mniej tęsknił. Zanurzał się w liczbach i nabierał humoru. Powierzone sobie księgi, rachunki prowadził tak sumiennie, że zarządzający obiecywał mu wyrobić posadę sekretarza. Bodzio uśmiechał się ironicznie, trochę boleśnie

Zato na polu zawsze irytował zwierzchnika, im ostrzejsze otrzymywał wymówki, tem bardziej stawał się niepoprawnym.

Stał raz na rozległym polu z kartoflami, pilnując fernali oborujących zagony. Nudził się i ziewał.

W przejrzystym powietrzu cudnego poranka oddalone pola, jary obrosłe rozkwitłą tarniną, ciemne lasy — nabierały plastyki niesłychanej. Zdawało się, że horyzont, rozjaśniony do najdalszych krańców, skupia się i kładzie jak na dłoni najdrobniejsze szczegóły. Siny pasek źródła płynącego pod tarninami był tak wypukły, że Bohdan widział na nim zdaleka nawet drobne falki. Pojedyncze kiście kwiatów białych chwiały się lekkim oddechem, gromada pszczół obsiadła krzewy, rywalizując z motylami, które wyglądały jak rozwiane piórka ptaka rajskiego.

Bohdan szedł wolno środkiem pola, brózdami przemykał się do nęcących go tarnin. Głowę podniósł w górę i wisiał cały wśród błękitu, chwytając wzrokiem pajęczynki obłoczków; rozmarzone źrenice jego ścigały lot ptaków, tnących z impetem lub łagodnie ogrom powietrzny. Gdy skowronek wbijał się w błękit pyłkiem coraz drobniejszym, Bohdan szeptał z głębi swej duszy utęsknionej:

— Genjusz swobody, potężny znawco lotu, ptaszyno, unieś mnie tam, unieś...

I coś go brało za gardło — rzewnie, ale dusząco, aż uczuł ból w oczodołach od napływających łez.

A w przestworzu było tyle pędu życiowego, taki szalony żyzny wicher miłości żądź namiętnych gnał wskroś pól rozkwitłych, wskroś szafirowych baldachimów leśnych, i wirował rozkosznie, i targał sokami ziemi, i upijał odurzającym swym nektarem wszystko co żyło.

Bohdan w kilku susach dopadł do gaju strojnych tarnin i rzucił się w nie, jak młody zajac w sałatę. Kolczaste gałęzie darły mu ubranie, kaleczały ręce, do twarzy sięgały, ale Bodzio

sam zanurzał głowę w najobfitszych splotach kwiecia i zdawał się połykać je pragnieniem gorących uczuć. Biegał wśród krzewów, ogarniał je ramionami.

Spłoszone ptaki wylatywały z gniazd z kwileniem głośnym, kuropatwy furknęły mu z pod nóg. Wówczas zatrzymał się.

Cicho usiadł pod najpyszniejszym krzewem, zmartwiony, że zmaćcił swobodę ptakom. Uspokojone ciszą, nadlatywały z powrotem, on zaś przemawiał zaś do nich jak do ludzi. I znowu biegł dalej łąkami, napawał się widokiem źródła, aż wszedł do lasu i stanął nad brzegiem dużego jaru. Prostopadle z pod stóp Bohdana spadały ściany, porośnięte odłamami skał. Kamienie pokryte mchem zielonym i siwym tworzyły tu piramidy i grotty, jakby ręką ludzką ułożone. Rosły brzozy płaczące, wieczną melancholją owiane, jakby i z maja i z życia nie rade. Młode dębczaki panoszyły się butnie, buki, klony i sosny, pokręcone fantastycznie. Leszczyna rozwija się szeroko, a tu i tam bielily się śniegiem kwiecia rozkwitłe czeremchy. Na samym dnie jaru z hukiem toczyła się wąska rzeczulka, poprzerzynana porohami kamiennymi, na których woda pięła się w wirach i skrętach.

Naprzeciw Bohdana, w perspektywie, utworzonej pomiędzy drzewami, widać było frontowy szczyt pałacu w Rusłocku. Słońce grało ognisćie na blaszanym dachu, migotliwie krzesalo płomyki w oknach szczytowych. Bohdan patrzył, patrzył i smutek okrył go, niby płachtą żalobną. Twarz mu zmierzchła, chłód powiał od rzeczulki i wilgocią przejął do kości. Pałac ten przypomniał mu Czerczyn, ale przede wszystkim Głębowicze. Rok, spędzony w ordynackim zamku, pozostawił w duszy Bohdana niezatarty żywy zawsze blask. Wspomnienie dzieciństwa w Czerczynie, nauki, zabawy po świecie były jakby odległą nutą, poprzedzającą tylko pyszny akord końcowy. Bohdan kochał Głębowicze i kochał ordynata, chociaż od czasu objęcia posady w Rusłocku czuł do Waldemara w duszy swej jakiś drobny, nie dający się określić żal, żal ten wzmagal się, gdy mu było bardzo źle, nikł prawie bez śladu, gdy jakieś przelotne wrażenie natchnęło go otuchą. W marzeniach swych widywał Waldemara z Lucią, skojarzonych już, i tęsknił nietylko za nimi, Ramzesem i Hanczką, lecz i za bełkotem rzeki głębowickiej i za gwarą drzew parkowych. Z rozrzewnieniem uprzytomniał sobie swój pokój, gdzie usługiwał mu wyproszony u ordynata murzyn, dozorca sal myśliwskich. Rozczulał się na wspomnienie robotników,

którym dawał książki do czytania, strzelców zwierzynieckich, nawet ogarów i buldogów z psiarni. Czerczyn oddalił się od jego myśli i uczuć, jak obrazek, zapamiętały z dziecinnej książki. Obojętność matki i brata były jedną więcej kartą, jaka go przesłaniała.

Rusłocka Bohdan nie lubił, do książąt Ponieckich nie mógł się przekonać. Patrzył teraz na błyszczący pałac ich i myślał leciał do Głębowicz. Zadrzał, usłyszawszy głośny tętent. Tuż przy sobie ujrzał nagle zarządzającego, Holewicza, który osadził konia prawie na plecach Bohdana.

— A! tak! spodziewałem się tego! pan tu marzy, a tam groch z kapustą porobili! — krzyknął Holewicz.

Bodzio się zmieszał.

— Z pługami?... Co takiego?...

— Idź pan zobacz, to się dowiesz! Parobcy pospali się na zagonach, tymczasem konie po kartoflach tratują. Do stu djabłów! postawili pana tam, to pilnuj!

W Bohdanie ocknął się arystokrata. Wyprostowany, obrzucił dumnym wzrokiem Holewicza i rzekł z przyciskiem:

— Niech pan raczy odzywać się uprzejmiej. Proszę!

Zarządzający zdumiał się. Ale postawa Bodzia jego z kolei zmieszała.

— Cóż to: może pan tu nie winien?... — rzekł spokojnie.

— Tak, po części jestem winien, lecz wymagam innego tonu; takiego jak pański nie zniosę. Do dozoru zaś nad parobkami niech pan odtąd stawia ekonomów. Ja odmawiam stanowczo.

— Pan jesteś przez księcia naznaczony na mego pomocnika, i odemnie zależy, gdzie pana stawiać.

— Ale do księcia jestem przysłany przez mego wuja, który nawet księciu nie pozwoliłby na ubliżanie mi, tembardziej panu — odparł Bodzio.

Zawrócił i poszedł w las, nie uważając na Holewicza.

Bohdan od tej pory przeważnie zajmował się sprawami administracyjnymi. W pole wyruszał w chwilach wolnych lub w święta — i wówczas swobodnie puszczał myśli w lot bezkresny.

XXXII.

Z kancelarji Holewicza Bohdan wyszedł uśmiechnięty. Zręcznie wskoczył na bryczkę i ruszył w drogę. Jechał do są-

siedniego majątku, Hulanki, do obywatela Wyroczyńskiego. Wiózł tam jakieś rachunki, pieniądze i list Holewicza.

Bodzio cieszył się podróżą, bodaj kilkumilową, po pięknych okolicach wołyńskich, a wraz z nią idącą — swobodą.

Gdy bryczka wytoczyła się z folwarku na drogę, wśród dojrziałych zbóż Bohdan zaczął gwizdać. Radośnie biegał wzrokiem po falistych rozłogach, strojnych w perskie dywany ozimin i jarzyn. Uczuł zadowolenie, błogi spokój spłynął nań na wesółych skrzydłach. Te kilka godzin przed sobą wydawały mu się nową erą jego obecnego życia. Rozpuścił bogatą fantazję i wpadł w zadumę, chwilami tęskną, chwilami rozwielnioną do szału.

Zły był, gdy w samo południe bryczka stanęła przed gankiem w Hulance.

Młody Michorowski wszedł do sieni.

Ukazał się lokaj w błyszczącej liberji, na której złote guzy były się z lampasami, lampasy z mniejszemi guzikami i lampasikami. Wszystko razem oślepiało oczy ordynarnem złociskiem.

Bohdan popatrzał na promieniejącego lokaja, niby na błazna z lichego cyrku. Usta złożyły mu się do śmiechu.

— Czy jest pan?

Lokaj nic nie odpowiedział; otworzył drzwi i wpuścił Bohdana do dużego gabinetu.

Michorowski rozejrzał się. Był sam.

Rzucił kapelusz na krzesło i przechadzał się wzdłuż pokoju rozprostowując nogi po podróży. Z ciekawością wyczekiwał Wyroczyńskiego. Wiedział o nim, że jest bogaty, że się „jakoś tam tego“ dorobił majątku, że jest bardzo sprytny i dumny.

Przepych gabinetu w tym samym stylu, co liberja lokaja, nasuwał pytanie, w jakim rynsztunku wystąpi właściciel tych hurtownych składów szychu.

Bohdan czekał długo, chodził, chrząkał, kaszłał.

Drzwi skrzypnęły. Wszedł Wyroczyński.

Okrągła figura jego zarysowała się w gabinecie okazale. Upierścieniowane palce zanurzył lekko w kieszeniach ubrania i spojrzał na Bohdana z pod czoła, schylając głowę, jakby patrzył pod światło.

Michorowski skłonił się uprzejmie i poszedł bliżej w celu powitania. Miał już wypowiedzieć swe nazwisko, gdy osadził go na miejscu sztywny bas Wyroczyńskiego.

— Czy to z Jarów?...

Bohdan zaciął wargi. Doznał jakby uderzenia w twarz.

— Z Jarów.

— Jak godność?... — indagował dalej Wyroczyński, nie zbliżając się i nie wyjmując rąk z kieszeni.

— Mi...o...ski — wykrztusił Bodzio, dusząc się z gniewu.

— Czy z rachunkami od Holewicza?

— Tak.

Wyroczyński wyciągnął rękę po papiery.

Michorowski rachunków szukał długo, trzęsąc się z oburzenia palce latały mu niesfornie, krew opływała go burzą płomieni.

— Proszę prędzej, prędzej! — nalegał obywatel.

Bohdan wydobył papiery z portfela i chciał rzucić je Wyroczyńskiemu, plunąć i natychmiast wyjechać. Ale zadziwiająca siłą woli opanował się. Wzgarda mu dopomogła. Spokojnie wręczył paczkę wraz z listem tłustemu jegomości, tylko rękę cofnął prędko, jakby jej nie ufając.

Wyroczyński dostrzegł gwałtowny ruch, spojrzął przelotnie na wzburzoną twarz młodzieńca.

— Proszę poczekać tu — rzekł wyniośle.

Zrobił dłonią ruch, wyraźnie wskazujący miejsce przy drzwiach w progu.

Bohdan, jak ryś, rzucił się całą figurą naprzód, lecz się wstrzymał. Zacisnął zęby, aż zgrzytnęły.

Wyroczyński już tego nie widział, szedł do biurka, obrócony plecami. Usiadł na wspaniałym fotelu, rozparł się, założył grube nogi jedną na drugą i bogatym nożem wolno rozcinał kopertę.

Bohdan pozostał przy drzwiach, zupełnie zapomniany.

Wrzało w nim. Roztargane nerwy waliły w pulsach, niby huk raz po raz padających piorunów. Przechodził piekielne katusze zniewagi, mękę zduszonej w sobie dumy. Ale krzepił się ironją, ona była mu teraz siostrą miłosierdzia. Stał ogłuszony przez krótki moment. Poczem podniósł głowę i śmiało, wyzywająco patrzył na pękatą postać rozwaloną przy biurku. Lewą rękę zaczepił o guzik od kamizelki, w prawej miętosił rękawiczki, rwąc ich skórę z pasją.

Trzymał się na wodzy, drżał, ale czekał.

Nagle Wyroczyński zdjął jedną nogę z drugiej i ociężale, jednak prędko, powstał. List trzymał otwarty, twarz wielka, lśniąca rozszerzyła się zakłopotanym, lecz bardzo uprzejmym, niemal pokornym uśmiechem. Szedł do Bohdana, rozłożywszy ręce.

— Ach! Czego się dowiaduję! Mam honor... pana Michorowskiego?! Bardzo, bardzo uniżenie witam! Wprawdzie fama doniosła nam, że Rusłock posiada... tak znakomite... nazwisko, ale któż przypuszczał?! Witam szanownego...

Wyciągnął obie dłonie z miną rozkoszną. List spadł na podłogę.

Bohdan cofnął się krok w tył, nie zmieniając pozycji. Patrzał, jak przez szybę lodu.

Ramiona Wyroczyńskiego chwiałały się gościnnie do rąk Bohdana. Lecz ten ich nie podał. Stał bez ruchu i głosu.

Wyroczyński zrozumiał.

Dłonie mu opadły, twarz zrobiła się aż fioletowa od krwi. Wybelkotał w okropnym pomieszaniu, nie wiedząc co mówi:

— Wszak pan... kuzyn ordynata Michorowskiego?... Nie wiedziałem... Chociaż fama niosła...

— Żałuję, że ta fama — odpowiedział Bohdan — nie ostrzegła mnie, że Hulanka posiada taki okaz... jakim pan jesteś, gardzący ludźmi pracy. Teraz wiem i wszelkie kwestje z panem załatwić będziemy przez pocztę, bo nawet pastucha nie chciałbym tu przysłać. Żegnam.

Słowa te padały jak szpicróżgi.

Bohdan wyszedł z gabinetu.

Uspokoił się dopiero w polu. Długo kłął w myśli, czasem głośno, wreszcie machnął ręką.

XXXIII.

Z powodu imienin księcia Ponieckiego cała wyższa administracja Rusłocka i przyległych folwarków zaproszoną została na przedwieczorną herbatę. Zastrzeżenie „przed“ było wyraźne, potem miał być bal i zjazd arystokracji. Należało z administracją załatwić się wcześniej. Bohdan otrzymał wyłączną kartę od księżnej, zapraszającą nader uprzejmie już na obiad i na bal. Ale Bodzio od czasu bytności swej w Hulance solidaryzował się więcej z kolegami. Stał się ich szczerym przyjacielem. Własne porywy dumy magnackiej powstrzymywał umiejętnie, mając zawsze w pamięci brutalność Wyroczyńskiego. Odpisał księżnej, że zjawi się razem z kolegami przed wieczorem.

Przy herbacie Bodzio został umieszczonym w bliskim sąsiedztwie księżnej, która siedziała przy stole. Księżę natomiast

wciąż spacerował. To zapalał cygaro, to zaglądał w okno. Przy-
siadał obok żony rzadko i na krótko. Odzywał się mało, rzucając
przeważnie zapytania. Panowie z administracji odpowiadali
z mniejszym lub większym pospiechem i w uroczystym skupieniu.
Poniecki słuchał ich z uśmiechem pobłażliwo-apatycznym.
Często także przemówił coś do żony, w obcym języku, wprawdzie
przyciszonym uprzejmie głosem, lecz przez to pogarszając tylko
wrażenie. Bodzio się zdumiewał. Jakoś do innych porządków
przywykł w Głębowiczach, a może już miał w swych żyłach krople
innej krwi, niż Ponieccy. Jednak bogata sala jadalna, rój lokajów
wyfrakowanych, ogólna atmosfera magnacka trochę na niego
podziały. Mimowoli wchłaniał w siebie hojnie tu rozsypaną
wielkość. Ożywił się, nabrał podnieconych kolorów. W źrenicach
znalazł się wyraz już przyćmiony, trochę butny. W junakiński
sposób prostował smukłe plecy, głowę podnosząc wyżej ruchem
arystokratycznym.

Gawędził wesoło z księżną, ale po polsku. Księża subtelnie
ignorował. Pomimo bowiem wsiąkania w swe właściwe ramy,
odczuwał nietakt Ponieckiego. Z poczuciem swej wyższości był
uprzedzająco grzeczny dla kolegów, zarazem różniczkując siebie
od nich, lecz bez objawów zewnętrznych. Bodzio obiecywał sobie
zostać na wieczór i bawić się dobrze w tych swojskich warunkach.
Oboje księstwo wyróżniali go widocznie. Bohdan czuł, że mu się
to należy, ale rozkosz tego wrażenia psuł mu pewien niesmak.
Chcąc go złagodzić, zwracał się z serdecznym słowem lub z do-
wcipem filuternym do kolegów i cieszyło go ich zadowolenie.
Księżę krzywił się na to nieznacznie, w duchu myślał: — „natura
Michorowskich“ — i wielce był dumnym, że się zowie Poniecki.

Zanim skończyła się proszona herbata, nadjechało kilka
osób z sąsiedztwa, oczekiwanych na godziny późniejsze.

Księżtwu powarzyły się humory.

Jednym z przyjezdnych był hrabia zamieszkały w okolicy.
Mówił powoli, łaskawie, patrząc w ziemię. Nad wyraz wstrze-
mięźliwie witał zebranych oficjalistów. Zdziwienie na ich widok
osiadło w jego podniesionych brwiach, kręcił głową. Księżę stał
się jeszcze bardziej roztargniony. Miał już odpowiedniego
partnera do rozmowy, ale dawał lekkie znaki księżnej, aby skróciła
posiedzenie przy stole.

Do przedstawionego Bohdana hrabia poufale wyciągnął rękę.

— A! z przyjemnością witam przedstawiciela rodu Michorowskich — rzekł z emfazą. Wszak głębowicka linja?...

— Nie, hrabio, tylko czerczyńska — odrzekł Bodzio.

— To, to samo, to samo. Znam, znam ordynata! Działacz, społecznik! A pan tu zapewne lekko praktykuje? — dodał hrabia z figlarnym grymasem porozumiewawczym.

— O tak! Naturalnie! — wyręczył Bodzia w odpowiedzi sam książę Poniecki.

Bohdan się zmieszał. Może nie przyznałby, że właściwie jest oficjalistą, lecz interwencja księcia i jego uśmiech pobłażliwy zirytowały go. Odparł dość szorstko.

— Przeciwnie, hrabio, pracuję na chleb bo... muszę. Praktykantem nie jestem.

Księżstwo i hrabia stropili się nieco, ale koledzy Bodzia spojrzeli na niego z uznaniem i to było mu nagrodą za dużą przykrość.

Wszedł nowy gość, zamożny obywatel. Witał zebranych z uprzejmą serdecznością bez wyjątków. Przemawiał tak samo do księcia jak i do Holewicza, jedynie z uwzględnieniem dla tytułu Ponieckiego. Hrabiemu radośnie podał prawicę.

— A! kochany sąsiad! Moje uszanowanie.

— Witam mego plan... ta... tora — wycodził hrabia mniej gorąco oraz mniej żarliwie wstrząsnął ręką obywatela.

— Cóż to za tytuł? — spytał cicho Bohdan Holewicza.

— A to, widzi pan, ten obywatel plantuje buraki do cukrowni hrabiego, hrabia zaś korzystając z sytuacji, nigdy go inaczej nie nazywa, jak tylko plantatorem. To także rodzaj wyższości.

Bodzio odczuł ironję w głosie Holewicza, ale i sam skrzywił nos.

Przez cały czas rozmowy hrabia istotnie przemawiał do obywatela zawsze z tym samym tytułem. Obywatel marszczył się, było mu przykro, ale na tem poprzestawał.

Panowie z administracji prędko sami zrozumieli, że czas się wycofać, zaczęli się żegnać. Księżna wobec wszystkich zwróciła się nagle do Holewicza. Minę miała nieobiecującą.

— Czy to pan pisał do hrabiego Borelskiego, mego ojca, list w kwestji gorzelni?

— Tak, proszę księżnej pani.

— A to szczególne! Wie pan, że podziwialiśmy w Belcianach ten list. To list wprost koncertowy, niesłychany.

Holewicz odczuł niewyraźną jeszcze kompromitację.

— Dlaczego, proszę księżnej pani? — spytał głosem niepewnym.

Księżna mówiła teraz wyłącznie do obecnego hrabiego:

— To był bajeczny list. Croyez moi! Proszę sobie wyobrazić nagłówek: Szanowny panie!... Do mego ojca?!... Ha! ha! I poza tem w całym liście, dość długim, ani wzmianki żadnego więcej tytułu. To specjalna umiejętność: prawda?...

— Hm! istotnie — mruknął hrabia, pilnie patrząc w ziemię. Nawet jemu było nieswojo.

Księżę chodził tylko po pokoju, na ustach miał coś niby uśmiech kłopotliwy, niby oburzenie.

Księżna ciągnęła dalej ubawionym tonem:

— Ten list ojciec mój schował do archiwum. W zbiorze wszelkich osobliwości hrabiów Borelskich będzie unikatem. „Szanowny panie“, i nic nad to?!... Que c'est ridicule!

Zaśmiała się nerwowo, niemal ze spazmem.

Holewicz stał ogłuszony, jak obity szyderstwem.

Wszyscy byli niewymownie zmieszani.

Księżna, nie zwracając już uwagi na obecność administracji, odwróciła się do męża i hrabiego. Lecz spostrzegłszy, że Holewicz złożył głęboki ukłon i odchodzi wraz z innymi, prędko podeszła do Michorowskiego.

— Panie Bohdanie, pan zostaje z nami, tylko przebierze się pan naturalnie. To jeszcze potem, jak zbiorą się damy.

— Prosimy bardzo. Ależ nawet już prosiliśmy! — dodał księżę.

Bodzio oprzytomniał. Otrząsnął się z osłupienia i z szalonego gniewu.

— Dziękuję jaśnie oświeconej księżnej pani za łaskawość, lecz odchodzę z kolegami — odrzekł, mocno akcentując słowa, zwłaszcza tytuł.

Skłonił się i wyszedł razem z Holewiczem.

W sieniach podał rękę zarządzającemu. Usta Bodzia trzęsły się, twarz była wzburzona. Nie rzekł nic, uścisnął przyjacielsko dłoń zwierzchnika z serdecznym spojrzeniem, które tamten odczuł i ocenił.

Bodzio w wyobraźni swej przyszłości ujrzał się w położeniu Holewicza. Pochlebiał sobie tylko, że lepiej zna wymagania arystokratyczne i formy, wobec nich obowiązujące.

XXXIV.

Pani Kornelja Michorowska w jesieni znowu przyjechała do Głębowicz. Zarzuciła ordynata mnóstwem wyrzutów z powodu, że Bodzia zrobił ekonomem.

— Nigdy nie sądziłam, aby kuzyn tak źle z nim postąpił. Taki delikatny chłopiec, taki wątpy, i on — do takiej pracy?!...

Ordynat tłumaczył, jak umiał, że Bodzio nie jest ekonomem, że listy pisze zadowolone i z rezultatów swej pracy się cieszy. Ale pani Kornelja nie dała się przekonać.

— To nie zajęcie dla Michorowskiego! Ach, mój Boże, gdybyż to mój mąż widział?!... wzdychała dama przesadnie.

— Gdyby żył ojciec, Bohdan nie zostałby zrujnowanym — wybuchnął ordynat. — Teraz musi pracować, bo w przeciwnym razie nie będzie miał z czego żyć. U mnie na łasce nie zostanie — za dużo ma ambicji, i za to niepodobna go ganić.

Waldemar przypomniał pani Kornelji jej własne słowa, wyrzeczone do Bodzia o traceniu pieniędzy ordynackich.

— Wobec tego nie pojmuję dzisiejszej niekonsekwencji. Kuzynka wyrzekła się go, a teraz chce mu zabronić pracy? — dodał podrażniony.

Pani Michorowska była jak złapana. Sama nie wiedziała, czego chce, jadąc tu, i odjechała z niczem.

— Bodzio wyrabia się i będzie człowiekiem; ale chcąc nim zostać, musi chodzić po uciążliwych steczkach — rzekł jej ordynat na pożegnanie.

Sam jednak postanowił odwiedzić Bodzia. Ale przedtem był w Słodkowcach. Pani Idalja, przebywszy lato z córką i z ojcem, znowu wyjechała zagranicę i połączyła się z Barskimi. W kołach arystokratycznych mówiono nawet, że baronowa wychodzi za hrabiego Barskiego.

Ordynat wzruszył ramionami. Pan Maciej smutnie kiwał głową. A Lucia rzekła tylko:

— Możebne i to.

Patrzała na Waldemara z niemem błaganiem, jakby u niego szukając pociechy w swym sieroctwie. A on przyjeżdżał często, mówił do niej dobre, miłe słowa, i Lucia była szczęśliwą.

Gdy Waldemar przyjechał do Słodkowic przed podróżą do Rusłocka, pan Maciej spał. Lucia malowała na tarasie. Przywitali się serdecznie i siedli oboje przy sztalugach, w cieniu drzewa

pomarańczowego. Waldemar zapalił cygaro, Lucia rozcierała farby na palecie. Na sukni miała obszerny fartuch malarski z czarnej satyny, warkocze spuszczone na plecy.

Waldemar patrzył na jej profil owalny, obrzucał ją całą miękkim wzrokiem.

— Czemu ty, Luciu, ubierasz się zawsze tak żałobnie? — spytał.

Milczała chwilę.

— Taki już mam gust. Zresztą...

— Dokończ.

— Zresztą to mimowolne. Wewnętrzny stan duszy odbija się na formie zewnętrznej.

— Więc zawsze tak ci smutno?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i z wymówką.

— Zawsze.

— I... dlaczego?...

— Żartujesz ze mnie, Waldy?! — odrzekła sucho.

On rzucił cygaro.

— Nie żartuję, lecz uważam, że Słodkowce są dla ciebie zabójcze. Powinnaś wyjechać.

— Spojrzała na niego wystraszonym wzrokiem.

— Dokąd?

— Aby ze Słodkowic! Ja zaopiekuję się dziadkiem, ty zaś pojedziesz z babką Podhorecką do Paryża. Lubisz ją, prawda? Ona bardzo tego pragnie. Wyjeżdża na całą zimę.

— Ja nie pojedę stanowczo, rzekła Lucia.

— Nawet gdyby cię o to prosił dziadzio?...

— Nawet wtedy. Dziadzio mnie przed rokiem z mamą wysyłał zagranicę, jednak nie pojechałam.

— A gdybym... ja cię o to prosił?...

Lucia przybladła. Zaczęła prędko mrugać powiekami, ale łzy nie dały się zatamować. Zaszklity na rzesach bujnemi kroplami.

Waldemar pochylił się do niej, delikatnie otoczył ją ramieniem i trochę przygarnął do siebie. Lucia omdlewała.

— Czy wtedy pojechałabyś?... — spytał szeptem.

— Chcesz się mnie pozbyć?... — jęknęła, i łzy spadły na farby.

— Ale... pojechałabyś?...

— Tak...

Paleta z brzękiem upadła na posadzkę tarasu. Lucia siedziała sztywna z oczyma przymkniętymi i ze zwieszoną głową.

Niewypowiedziane uczucie radości i słodyczy ogarnęło Waldemara. Przyciągnął ją bliżej, przechylił jej głowę na swe ramię i wpił się ustami w jej zapłakane oczy. Upojenie, równe chyba nieziemskim wizjom, wzięło Lucię w swój szlak promienny. Zamierała w cudnym pół-śnie, pół-jawie. Rzęsiste a palące iskielki szczęścia opsywały ją całą. Zachwyt dosięgnął zenitu, gdy usta Waldemara przycisnęły rozchylone wargi Luci.

Błogość i szal runął na nią potężnie, zatracając ją w niepamięci, w ekstazie bez wyjścia. Tylko te gorące usta ukochanego były dla niej wszystkim. Cały świat zmierzchnął jej i upadł w nicość. Czowała w sobie boskość.

Gwałtowna niepojęta siła oderwała nagle Waldemara od ust Luci. Zatrząsał się, i blady, nienaturalny, ucałował jej rękę, nie patrząc w oczy.

— Wybacz mi! — szepnął niespodziewanie.

Lucia rozjaśniona, jak majowe słońce, przytuliła się do niego z ufnością dziecka. Głowę swą jasną złożyła na jego piersiach i spytała:

— Waldy... Dlaczego ty mi każesz jechać?

Waldemar pogładził dłonią jej lśniące włosy. Był zmieniony na twarzy.

— Zapomnij o tem i... zostań — wyszeptał.

Ona rozkosznie objęła ramionami jego szyję.

— Dobry, jedyny... ukochany! — mówiła bezpamiętnie, z głębi kipiącej miłością duszy.

Ucałował ją w czoło, ale już inaczej, po dawnemu. Chwila minęła, szal uleciał w poszumie nieprzyjaznej fali myśli.

Łagodnie odsunął ją od siebie i powstał. Brwi miał zsunięte, w oczach niepewność i jakby żal.

— Może się przejdziesz? — zaproponował Luci.

Odpowiedziała mu rozmiłowanym spojrzeniem.

Długo chodzili po parku, rozmawiając niby poufnie, ale z trudem, o rzeczach zwykłych.

I męczyli się oboje.

XXXV.

Ordynat jechał do Rusłocka. Na jednej ze stacji centralnych spotkał książąt Ponieckich. Wiedział, że ich niema w Rusłocku,

dokąd dążył, ale też spotkania nie pragnął. Księstwo natomiast witali go z pietyzmem.

Waldemar pytał o Bodzia, księżna wystąpiła ze skargą, niby to utrzymaną w tonie żartobliwym, lecz tak, by ordynat mógł odczuć w jej słowach jad i ironję.

— Ach! Pan Bohdan? To skończony socjalista.

— Czyżby?... — zdziwił się Michorowski.

— Ależ tak! Ordynat pojęcia nie ma, jakie on w Rusłocku głosi idee, jakie podsuwa nam projekty... Zakrawa trochę na chłopomana.

— Doprawdy? przestrasza mnie księżna! Cóż on tam robi? Księżę pobłażliwie mrugnął oczyma.

— No, nic złego, nic złego...

Poniecka się gorączkowała.

— Niech ordynat sobie wyobrazi, że pan Bohdan inicjuje u nas coraz nowe instytucje. Zamiarami swemi przeładowuje nas. Jakies tam szkoły, jakies kolejki wąskotorowe z lasów, aby się chłopcy nie męczyli pracą. Słyszane rzeczy.

— No, no! Rzeczywiście!... Bajeczny!... — potakiwał Waldemar, dusząc się śmiechem, czego jednak księstwo nie spostrzegli.

— Albo jego filantropja? Wprost skandaliczna!... Rozbałamuca nawet służbę.

— Ale z administracją jest w zgodzie, o ile słyszałem?

— Zapewne! Bo ich także psuje swym liberalizmem. Mają w nim poplecznika. Do tego dochodzi, że się z niektórymi przyjaźni. C'est même choquant!

Księżę wciąż uśmiechał się uprzejmie.

— Tak, to jest młodzieniec, nie rokujący wielkich nadziei — mówił sylabizując słowa. Jego pochłoną niskie warstwy społeczne. To nie jest karmazyn, chociaż z nich pochodzi.

Usta ordynata zaczęły się przeciągać w krzywą literę szyderstwa, ale milczał.

Księżna trzepała dalej. Oczy jej duże, czarne, nazbyt wypukłe, błyszczały chęcią zemsty.

— Niech ordynat wyobrazi sobie co on mnie zrobił: Jechałam raz do kościoła, z boną i z dziećmi. Dzieci lokaj wioził kucami, pana Bohdana zaprosiłam do powozu obok siebie. Bona naturalnie usiadła na przodzie. Tymczasem ten dziwoląg sam usiadł

na przodzie, a tej starej babie wskazał miejsce przy mnie. Comment vous trouvez ça?...

Ordynat zaśmiał się serdecznie. Wyobraził sobie wyłączną elegancję Bodzia i oburzenie księżnej. Najzabawniejszą jednak musiała być mina bony, nie przyzwyczajonej w Rusłocku do takiej uprzejmości.

— Pan się śmieje? zdziwiła się księżna.

— A to smarkacz ten Bodzio! I jakże się ta historia skończyła? — pytał ordynat zdławiwszy śmiech.

— Kazałam bonie zająć właściwe miejsce, jemu zaś zwróciłam uwagę. Ale... to na nic!

— Znowu babę przetransportował na siedzenie?

— Nie! wysiadł z powozu, podziękował mi za towarzystwo i do kościoła pojechał z rządcą prostą bryczką.

— Fenomenalny Bodzio! No, no — lekko kpił ordynat.

— Albo jeszcze: namawia nas, żeby pobudować letniska nad jakimś tam ukochanym jarem, a wie pan dla kogo? Oto, dla biednych suchotników, którzy nie mają na inne kurorty. Cały plan takich domków przedstawił nam i twierdzi, że mieszkanie i utrzymanie dla tych... miłych gości powinniśmy dawać bezpłatnie, bo nas stać na to. Voyez vous? On rozporządza naszym majątkiem.

— To dopiero śmiały! Oburza mnie niesłychanie!

Księżę zauważył wreszcie, że ordynat odzywa się jakimś tonem szczególnym. Dotknięty przykro księżę przypomniał sobie nagle, że ma przed sobą również Michorowskiego, którego opinia mniej więcej zgadza się z opinią Bodzia. Poniecki mrugnął dyskretnie na żonę. I ona się zmieszała. Zaczęła zagadywać o czym innym i prędko pożegnali ordynata. Gdy znikli w drzwiach sali pierwszej klasy, Waldemar zaśmiał się swobodnie.

— Tableau! — zawołał prawie głośno.

Michorowski zmienił zamiar; zamiast do Rusłocka, wstąpił naprzód do Biało-Czerkas. Tam, błądząc po lasach, snując się po staroświeckich komnatach pałacu, rozmyślał o Bodziu. Chwilami ogarniał ordynata gniew głuchy, że Bohdan zajmuje posadę u takich ludzi jak Ponieccy. Jakiż wpływ oni mogą wywierać na jego młody i wrażliwy umysł? Najgorszy! A jednak Bodzio widocznie się nie poddaje. Wygłasza śmiało swoje idee i może one zahartują się w warunkach przeciwnych.

Waldemara gnębiły obawy, aby pobyt w Rusłocku nie spaczył dobrych poglądów Bohdana. Uspakajał się jedynie tem, że oboje księstwo, zwłaszcza księżna, byli krańcowymi fanatykami swych pojęć zacofanych, zatem jak każda krańcowość nie mogli być niebezpiecznymi.

Ordynat rozmyślając, zanurzał się w niezgłębione cienie parku białoczerkaskiego, w którym stuletnie drzewa tworzyły bezdenne otchłanie, pociągające ku sobie urokiem dziwnej tajemniczości. Mnóstwo drzew otaczało pałac, ramiona ich rozłożyste, poufałe opierały się na szarych murach, muskając wyniosłe okna.

Stare dworzysko tonęło w masie drzew, zlewając się z niemi w całość jednolitą i potężną. Sprawiało to wrażenie, że pałac i drzewa otaczające go, wyrosły razem i chyba razem przetrwają wieki.

Sztuki w Białoczerkasach nie było wiele, natomiast natura niesłychanie bujna, trochę dzika, lecz piękna. Splątane gąszcze róż polnych, kaliny i krzewy kolące leśnej azalji, która na wiosnę rozkwitła jaskrawo-żółtymi kielichami, odurza słodką, lecz mocną wonią i wzrostem dosięga człowieka, zwabiały do parku białoczerkaskiego całe legiony ptaków. Niezliczone stada ich roznosiły jednolity krzyk, prawie nie milknący. Spotykało się tu pyszne okazy ptaków. Dziwnie były łaskawe, nie obawiały się ludzi, gospodarując śmiało wśród drzew, jak we własnym państwie.

Gdy w jesieni opadły liście, drzewa i krzewy wyglądały niby oblepione olbrzymimi owocami, były to gniazda przeróżnych kształtów i wielkości.

— Do tej natury wspaniałej i do tych rojów ptasich potrzeba tylko Bodzia; tenby się cieszył — myślał ordynat.

Napotykać pierzaste kępy paproci, Waldemar zatrzymywał się w swej przechadzce i myślą sięgał w przeszłość:

— Miałem tu przyjechać... ze Stefcią, i ona kochała naturę, lubiła liście paproci, świętojańskie robaczki; takie mnóstwo ich świeci po nocach tu w tym parku. Nikt przy ich światełkach nie marzy, nikt nie kocha wśród tęsknych wieczorów. Natura tu żyje sama z sobą i tworzy coraz nowe cuda. Dla kogo? Czy zawsze tylko dla siebie?

Czy istotnie bywają takie miejsca przeznaczone na wieczną pustkę? Tak jak i pomiędzy ludzmi są osobniki, z tęsknotą

w sercu nigdy nie zaspokojoną, z pustką w duszy nigdy nie wypełnioną. Ale zawsze pragnącą, chociaż beznadziejnie.

Ordynat zamyslił się smutnie.

— A ten park? On żyje sam w sobie, ale tęskni i pragnie jeszcze żyć dla kogoś.

XXXVI.

Bohdan i Holewicz stali na polu, gdzie kopano kartofle. Szeregi czerwonych spódnic i koszul białych, wyszywanych na ramionach, rozciągały się wzdłuż zagonów. Motyki śmigaly żwawo. Gwar rozmów gromadnych rozbrzmiewał po polach, cichnąc, lub nagle rwąc w górę z żywiołową siłą. Wrzaski dozorców wpadały jak baty w to mrowie kobiecych głosów.

Obok pola przechodził trakt, poza nim żółciły się i szarzały smutne rżyska, na których już babie lato przewiało swe miękkie włókna. Spokój jesienny szedł od czarnych borów, układał się wygodnie w miedzach i oddychał, syty jakiś, ospały. Gęsto rozsiewały się w perspektywie pół długie, ogromne sterty ze zbożem, jak pomniki po minionem lecie. Powietrze przecinał chwilami głośny, pożegnalny gęg odlatających dzikich gęsi. Żórawie sunęły na południe krzywą linią, jak wąż piorunowy. Pustką i zarazem dobrobytem tchnęły łąny, oswobodzone z ciężarów płodu.

Wiatr ochłodził im czoła, zimnym oddechem przygotowywał do nadciągających zdaleka jeszcze mrozów.

I łechtał wiatr obnażone ciała pól. Odkryte łona pszeniczne pieścił delikatnie, twarde, szczeciniaste żytniska targał zawzięcie, świszcząc w krótkich źdźbłach.

Smętne uśmiechy słoneczne spadały na odpoczywającą ziemię.

Roilo się na kartofliskach od zaborczych mas ludzkich.

Ostatnie plody wydzierano glebie.

Na trakcie, równoległe z polem, pełnem kopaczów, jechał kłusem długi, strojny zaprzęg. Ludzie spoglądali ciekawie.

— Ho! sie z daleka! To nie tutesznie — mówili do siebie kopacze gwarą miejscową.

— To konie biało-czerkaskie — rzekł Holewicz zdziwiony — Znam te konie. Ale czyżby naprawdę? ... Trochę za daleko.

Bohdan się zdumiał.

— Z Biało-Czerkas? Co znowu? Tyle mil? ...

Holewicz przypatrywał się uważnie.

Lando zaprzężony w czwórkę koni, zatrzymało się nagle.

— Ano tak! To pewno ordynat? — potwierdził Holewicz. Bodzio pędem puścił się przez zagony. Krzyknął radośnie, ujrawszy wychyloną z landa postać Waldemara.

Powitali się z pewnem rozczeniem.

— Siadaj i pojedziemy — rzekł ordynat.

— Do Rusłocka? Ponięccy wyjechali.

— Wiem. Przyjechałem do ciebie, nie do nich.

Bohdan serdecznie uściśnął mu rękę.

— Dziękuję ci, wuju. Nawet nie myślałem, że dla mnie... zechcesz tyle mil...

— Jechałem rozstawnemi końmi. Ale cóż ci to, Bodziu? czemuś taki przejęty?

Bohdan smutno spojrział mu w oczy.

— Bo myślałem, że już wszyscy... zapomnieli o mnie.

W głosie jego zadrgał bezmierny żal.

Waldemar się wzruszył.

— Słuchaj, chłopcze, listy piszesz swobodne, jednak nie wydajesz mi się zadowolonym. Źle ci jest? Mów.

Bohdan ściał wargi. Walczył z sobą, i Waldemar to widział. Ale młodzieniec odparł spokojnie, nawet z uśmiechem:

— Ha! wuju: pracuję, to trudno. Minęły dla mnie czasy różane.

— Więc wytrwasz; prawda?...

— Tak, do roku. W Rusłocku dłużej nie zostanę.

— Ale wiesz?... Była u mnie twoja matka.

— Pewno z pretensjami?! I do mnie pisała, oburzona za to, że pracuję, chce abym wrócił do Czerczyna i był administratorem Wiktora.

Bohdan z fantazją poprawił czapkę.

— To się nie da zrobić — zawołał rezolutnie.

— Wiktora nie ma w Czerczynie.

— A gdzież jest?...

— W świecie, jak ty dawniej! — rzekł ordynat, badając wrażenie.

— Jakto?... traci!...

— Nawet bardzo. Hula, awanturuje się, gra...

Bohdan zbladł, w oczach mignęła mu rozpacz, coś w nich błysnęło wilgotnego.

— Biedna, biedna mama! Dwóch nas ma, i obaj... lotry!

— szepnął drżącymi ustami.



— Otulił nim Lucię. Ona pochyliła się ku niemu . . . (str. 123)

Waldemar, wzruszony do głębi, objął go i ucałował.

— Jesteś dobry, chłopcze. Nie nazywaj się łotrem; właściwie nigdy nie byłeś nim.

— Wyratowałem się, wuju, przez ciebie. Ale cóż z mamą? Ruchem zbolałym i tragicznym splótł palce u rąk.

— Ojej! jak ja muszę wziąć się w kupę i pracować, żeby mamie... Bo Wiktor zatraci ją: on bez serca.

— I bez sumienia, dodaj — rzekł Waldemar. — Jego nikt i nic nie poprawi.

Jechali, milcząc; nagle Bodzio wziął Waldemara za rękę. Przemówił wahająco się, niepewnie:

— Wuju, a co z Lucią?... Czy już... mogę wam... powinszować i cieszyć się?

Waldemar poczerwieniał. Zsunął brwi. Zakłopotanie drgało mu na twarzy.

— Czy... chciałbyś tego? — spytał trochę badawczo.

Bodzio gwałtownie ścisnął jego dłoń.

— Bardzo, bardzo, wuju! Ona godna być twoją żoną i ordynatową głębowicką. Przytem ona cię kocha!...

— No, dobrze. To są rzeczy dalsze. Mówmy o twojej pracy i projektach.

Bodzio odczuł w samym tonie Waldemara, że to są rzeczy bardzo bliskie, ale delikatnie zwrócił rozmowę.

Był szczerze zadowolony.

XXXVII.

W zamku głębowickim uroczyście obchodzono wilję Bożego Narodzenia.

Stary pan Maciej, otulony troskliwie przez wnuczkę, przyjechał z nią razem.

Po wieczerzy w wielkiej sali przyjęć tłum dzieci ze szkoły i z ochronek głębowickiej i słodkowickiej, które przyjechały na kilku saniach, otaczał przepyszną choinkę. Właściwie była to jodła, sięgająca pod sufit wysokiej sali, zatopiona w powodzi światła, lśniąca jak skarbiec z klejnotami. Lucia rozdawała podarki, chodząc wśród gromad dziecinnych, niby ich wieszczka. W gładkiej, czarnej, aksamitnej sukni, ozdobionej tylko sznurem pereł, smukła i wiotka, robiła wrażenie cichej kapłanki. Jej

włosy popielate w kontraście z czernią aksamitu, mieniły się bogatą masą, żywe i nęcące. Waldemar patrzył na nią uparcie. Przypominała mu się nazwa dana przed rokiem w Warszawie: westalka.

— Tak, ona istotnie ma w sobie coś z westalki: powagę i wdzięk... — pomyślał.

Bohdan, który przyjechał na święta z Rusłocka, widocznie to samo zauważył. Szepnął do ordynata:

— Wie wuj, że ta Lucia robi wrażenie... mistyczne. Ma w sobie coś tajemniczego...

Przypatrywał się jej jak psycholog, wreszcie rzekł prędko, z akcentem dziwnej pewności i zarazem obawy:

— Tak, takie postacie kobiet bywają albo bardzo szczęśliwe albo... bardzo nieszczęśliwe. Tragiczne! Połowiczność nie dla nich...

Ordynat przykro dotknięty odszedł w inną stronę.

Bohdan nie spuszczał oczu z Luci.

Dzieci po otrzymaniu podarków śpiewały chórem kolendy, potem orkiestra miejscowa zaczęła grać, i rozpoczęły się zabawy. Marszałek dworu i ochmistrzyni czuwali nad porządkiem.

Późno w nocy, przed rozpoczęciem w kaplicy zamkowej Pasterki, Waldemar, Lucia i Bohdan wyszli na najwyższy taras od strony rzeki.

Noc zimowa była i ciepła i cicha, ale szara. Chmury popielate rozmazały się po niebie, grożąc zapowiedzią nowych śniegów. Park obficie zasypyany bielą, spał spokojnie. Na jodłach leżały śnieżne kapy; wielkie błamy, niby skóry białego niedzwiedzia, okrywały, hojnie zbite, mnóstwo ciemnych, nagich drzew. Słał się śnieżny, puszysty pokrowiec na marmurowych schodach przystani i wałem białego alabastru otaczał zielonkawy lód na rzece, wymieciony czysto, jak lustrzana posadzka.

Zwierzyniec oszroniony widniał z daleka, niby sędziwy starzec w bujnej grzywie siwych włosów i gęstej, długiej brodzie. Szarość i biel zlewały się harmonijnie. Ponad inne wrażenia górowała senność, obumarłość niezgłębiona.

Waldemar z Lucią stali oparci o balustradę i patrzyli w głębiny parku. Coś stamtąd wołało na nich głosami misterjów uroczych, duchy snuły się w czeluściach gąszczów.

Dobrze było im obojgu, nie przerywali chwili.

Lucia zarzuciła na głowę blado-niebieski gazowy welon, w którym twarz jej nikła prawie, tylko oczy gorzały. Były jak gwiazdy w rozwiewnym tumanie obłoku.

Bodzio pokręcił się trochę przy nich i odszedł cicho.

A oni stali, stali bez słów.

Lucia pierwsza szepnęła, jakby lękając się zbudzić śpiącą noc,

— Waldy... ładnie tu; prawda?...

— Lubię park w tym stroju. I ten taras — odrzekł.

— Marzysz tu często?... Zawsze sam!...

— Nie, z myślami i... z wspomnieniami.

Lucia zadrżała.

— Zimno ci? Poczekaj.

Wyszedł prędko. Wkrótce powrócił, niosąc płaszcz futrzany.

Otulił nim Lucię. Ona pochyliła się ku niemu całą postacią. Uczuł jej ciężar na swem ramieniu. Błysk jej oczu gorejących przeniknął go dreszczem; ciepło ciała kobiecego zawieją rozkoszną musnęło nerwy. Wstrzymał się, aby nie porwać jej w objęcia. Stał obok niej przy balustradzie, siląc się na spokój. Lucia przysunęła się bliźutko.

— Waldy.

Waldemar ścierpł. Szept jej był dziwny, jakby pochodził nie z jej własnych ust, jakby mówiła najgłębsza tajnia jej istoty, jakby samo serce bez pomocy warg.

Ordynat się przeraził.

Miało nastąpić wyjaśnienie. Czuł, że to już konieczne. Mgła Luci rozpadła się; ukazuje swój ukryty cud. Świadomość o nim błędziła w dotychczasowej mgle, ale nie objawiona.

Teraz zapada wyrok.

Waldemar nie śmiał odetchnąć.

— Waldy... — powtórzyła dziewczyna niby we śnie czy w malignie, lecz wyczekująco.

Targnęła nim rozpacz.

Nie ma, nie ma sił! A każdym momentem łudzi ją, każdą chwilą staje się winniejszą, bezczelniejszą — wobec niej!...

Zerwać ułudę! Brutalnie rozwiać miraż.

Rozniecić prawdę! Ale prawda schłószcze ich oboje.

Być szczerą — jak światło.

Odważnym — jak zbrodnia.

Więc popełnić zbrodnię? Zabić tę kobietę nagą prawdą, ratować zaś własną, by nie spadła w odmęt obłudy, popełnić obowiązujące kłamstwo i zaprzeć się duszy nieskażonej.

Dla litości?...

Dla przeogromnego współczucia, które wszakże nie jest nawet podnóżkiem uczuć miłosnych?...

Dla kilku roznieconych pożarów we krwi, która zgoła nie płonie?...

Dla nędznych podniet ciała?...

Nie, nie! przenigdy nie!

Waldemar zdusił w sobie wzruszenie, siłę zamknął w swem postanowieniu.

Aby odważnie.

Lucia, nie słysząc jego głosu, wyczuwała drżenie jego ramienia. Pochylając głowę, włosami dotknęła jego twarzy.

Waldemar stał chłodny, otworzył usta, ale słowa ciężkie z trudnością mógł wydobywać z piersi.

— Luciu moja... Dawno już widzę... czuję... że... ty...

Słuchała, bez tchu, nie dziwiąc się nawet brzmieniu tych słów. Były ciche, łagodne a złowrogie. Może straszne?...

Wtem trzask, światło lampy.

Wszedł na taras hrabia Trestka i lokaj.

Waldemar i Lucia odskoczyli od siebie. Ona wściekła, on — jeszcze uratowany.

— Co się stało?...

Trestka przywitał ich w milczeniu.

— Nie dziwi was tak późna moja wizyta? — spytał, patrząc na nich ciekawie.

Waldemar oprzytomniał.

— Żona pańska?... — zawołał.

— Dziękuję, zdrowa. Mamy syna. Ale właśnie dlatego nie mogłem żony wzruszać. Chłopak urodził się nam rano; w południe otrzymałem depeszę. Oto ona.

Ordynat i Lucia przeczytali razem.

— Z Paryża, od babki. Ciężko chora — rzekł Waldemar, jakby do kogoś jeszcze.

Weszli do salonu. Trestka mówił:

— Przyjechałem z tem do was. Rycia nic nie wie i oczywiście nie pojedzie. To zaś jest niezbędne.

— Więc ja pojedę — rzekł ordynat.

— No, nie! Tam potrzeba opieki kobiecej. Dobrzysia poczciwa nie wystarczy, to jest rola...

Trestka umilkł, nie wiedząc, jak to przyjąć.

— Moja! — podchwyciła Lucia.

— Tak.

Wszyscy troje umilkli. Lucia była podniecona. Wypieki ostre, nagle, wybuchły na jej policzkach.

Spojrzała na Waldemara. On unikał jej wzroku.

Trestka uściśnął rękę dziewczyny.

— Pan no Luciu, w pani cały ratunek. Księżnej zostawić tak wśród obcych nie można. Oboje z Rycią będziemy niezmiernie wdzięczni — mówił serdecznie.

Lucia z rozdrażnieniem wysunęła dłoń z jego uścisku.

Rzekła spiesźnie:

— Zbyteczne prośby. Muszę i pojedę pielęgnować księżną, dziś zaraz. Ona jest babką... Waldemara — dodała ciszej.

Popatrzała pytająco i nagląco w jego oczy, jakby oczekując protestu czy jakiegoś rozwiązania.

Ale on, tak jak i Trestka, pocałował ją w rękę, za całą zaś odpowiedź rzekł tylko:

— O dziadka bądź spokojna; pozostanie u mnie.

XXXVIII.

Na wiosnę Bohdan opuścił Rusłock. Administracja zegnała go z żalem. I Bodzio był wzruszony, zżył się z kolegami, jedynie nie żałował Ponieckich.

Przybył na krótko do Głębowicz i z listami polecającemi od ordynata wyjechał zwiedzić kulturalniejsze majątki w kraju.

Najdłużej przebył u książąt Giersztorfów, gdzie pod kierunkiem starego księcia odbył paromiesięczną praktykę.

List księcia do Waldemara, po wyjeździe Bohdana, był pełen uznania dla młodzieńca. Między innymi zawierał słowa: „Twoja krew, panie ordynacie, płynie w żyłach twego kuzyna. Wyda kiedyś rezultaty wyborne. Umiejętnie wydzwignąłeś go z czerzyńskich tradycji, i to jedna z twych zasług najpierwszych“.

Waldemar cieszył się niewymownie.

Bohdan nie poprzestał na kraju. Wyjechał do Galicji, do Węgier. Potem zwiedzał gospodarstwa czeskie, poznańskie. Jako wolny słuchacz uczęszczał jakiś czas na wykłady agrono-

miczne w Taborze. Bywał na różnych próbach w stacjach doświadczalnych.

Ordynat otrzymywał od niego listy, zawierające moc projektów. Listy, tchnące zapalem młodzieńczym. Przemawiała w nich dusza, obudzona już do życia i czynu, rwiąca się naprzód, żądna działania. Dawna rozterka wewnętrzna, przeistoczyła się w pewne zamiłowanie do walki z losem. Smutek, żal — pierzchły, zabite wrodzoną, lecz śpiącą dawniej, energią. Skłonność do marzeń została niezmienną, jednak zbyt szeroki rozrost jej hamował pozytywizm, nabyty wśród ludzi. Bodzio był idealistą, lecz trzeźwość miał zawsze w pogotowiu. Używał jej w warunkach wyłącznych. Szeroka i hojna jego natura szarpała się jeszcze gwałtownie w ciasnym zakresie swego lotu. Pomimo to Bohdan umiał się ścieśnić, bodaj okrwawiając połamane skrzydła. Znalazł w swej duszy pęta na nią właśnie i używał ich czasem bezwzględnie.

Dojrzewał duchowo i umysłowo.

Cenił ordynata nadewszystko, idąc jego śladem. Waldemar był czynnikiem i twórcą jego odrodzenia. Ale sytuacja matki, przykra z powodu zrujnowanego prawie przez Wiktora Czerczyna, stała się dla Bohdana równie silną pobudką, jak i pędem ambicji. Zawziętość ogarnęła nim, wielkie pragnienie osiągnięcia pracy owocnej, która postawiłaby go na nieprzewidzianych, lecz trwałych podstawach bytu.

Tak przeszło pół roku.

Księżna Podhorecka po ciężkiej chorobie wyzdrowiała, lecz nie powróciła do kraju. Lucia pozostała przy niej z własnej chęci. Obie mieszkały w Szwajcarji.

Hrabina Trestkowa, która odwiedziła księżnę, mówiła potem Waldemarowi, że Lucia jest stworzoną na pielęgniarkę chorych, że księżna bardzo wiele zawdzięcza jej troskliwości i że pokochała ją, jak rodzoną wnuczkę.

Zapytana przez pana Macieja, czy Lucia prędko powróci do Słodkowic, pani Rita odrzekła, patrząc nieznacznie na Waldemara:

— Obecnie o tem nie myśli; jest jednak niewyraźna. Tęskni widocznie, ale... mówi, że jest tu zbyt uczona.

Pan Maciej westchnął.

— Przeciwnie! Jest tu niezbędną!

— Gdyby o tem wiedziała, może zmieniłaby zdanie?... — rzekła Rita bez przekonania.

— Tak... gdyby jej tylko o mnie chodziło — szepnął staruszek.

Waldemar udał, że nie słyszy.

On rozumiał Lucię i jej uczucia. Po owej scenie na tarasie wyjechała z nadzieją, że on pośpieszy do niej lub wreszcie jakimś sposobem, choćby listownie, zakończy trapiącą ich wspólnie mękę niepewności. Ale słowa, niedopowiedziane wsiąkły wraz ze śniegiem w zaśnieżony park i stopniały. Lucia, nie widząc wówczas twarzy Waldemara i nie odgadując należycie zmiany w jego głosie, nie przeczuła, jaki miał być dalszy ciąg jego słów.

Pozostała w złudzeniu.

Minęła zima, wiosna i lato.

Waldemar nie przyjechał.

Lucia zacięła się w zranionej dumie; nie chciała wracać.

Przeszło już pięć lat od śmierci Stefcy Rudeckiej, narzeczonej Waldemara, i pięć lat od czasu rozbudzonej po raz pierwszy w sercu Luci miłości dla niego.

Pięć lat nadziei, walk, cierpień potęgujących się stale; chwilowych ułud, pryskających prędko; zwątpień i niepewności.

Prawda zbyt widoczną się stała.

Lucia, w przystępie krańcowego tragizmu, postanowiła wyjść za Brochwicza.

XXXIX.

Księżna Podhorecka patrzyła z żalem na żałobną twarz Luci. Staruszka rozumiała wszystko. Nie uszło jej uwagi wzruszenie baronówny przy odczytywaniu każdego listu Waldemara, przy każdej o nim wzmiance. Milczały obie; jedna nie wyjawiała swych uczuć, druga swych pragnień. Księżna życzyła sobie małżeństwa wnuka z Lucią, nie dla partji, lecz chcąc nareszcie widzieć go szczęśliwym. Dawne marzenia świetnego ożenku dla ordynata przestały już nurtować w staruszce.

Ale teraz Lucia niepokoiła księżnę. Smutek osiadł na rysach dziewczyny, lecz zbudziła się w niej ironja i jakaś zawziętość względem Waldemara. Nie chciała teraz o nim słuchać, nie czytała jego listów. W błękitnych oczach dziewczyny błyskał chłód metaliczny, stała się sztywną, dumną. Księżna pewnego dnia wrześniowego zlekła się, gdy oznajmiono Luci, że w salonie czeka Brochwicz. Baronówna złożyła książkę, którą czytała głośno, zaśmiała się przykrym chichotem i rzekła nerwowo:

— Prosiłabym babcie o błogosławieństwo, gdyby... gdyby to nie było szczytem komedji.

Wybiegła z pokoju.

Rozmowa z Jerzym ułożyła się odrazu, bez wstępów.

— Pan chciał się ze mną pożegnać, więc pan wyjeżdża? — spytała Lucia po przywitaniu.

Brochwicz był jak martwy, obsyty w sztuczną obojętność.

— Tak, jadę jutro rano.

— Dokąd?

— To mniejsza...

— No, przecie nie na zdobycie bieguna?

Zmarszczył się, usta mu drgnęły.

— Czy nic lepszego niema mi pani do powiedzenia?

— Owszem... jeszcze coś — odrzekła Lucia innym tonem i usiadła na pluszowej kanapce.

Hrabia stał przy oknie, założył ramiona na piersiach i patrzył na nią takim wzrokiem, jakby oczekując nowego szyderstwa.

Baronówna chwilę zmagala się z sobą, poczem śmiało podniosła głowę.

— Czy pan mnie... stale kocha? — wypłynął cichy szept z jej ust.

Jerzy oburzył się.

— Pani wie o tem najlepiej!

— No, a ta... weneckanka?... Ta, która usidlała pana na lagunach?

Głos Luci trochę syczał.

Brochwicz nie poruszył się, tylko ogień czerwony przefrunął przez jego twarz.

— Więc pani o tem wie? Więc panią to interesowało, może niepokoiło?

Ożywił się nagle; głos jego stał się cieplejszy.

Lucia odparła obojętnie.

— Wiedziałam, bo zbyt głośno szeptano o tem w buduarach, interesowałam się zaś o tyle, że sądziłam, iż pan uleczony.

— A czy pani wie, dlaczego tamta mnie porywała? dlaczego mdlałem w jej uścisku, dlaczego... szalałem?

— Ach! nie badam psychologii pańskich namiętności.

— Więc ja pani to wytłómaczę. Ta piękność wenecka miała kolor włosów pani, kolor jej oczu i imię miała Lucji „Luci“...

Teraz pani rozumie? Kocham nad życie i bez wzajemności. Dlatego właśnie oszalałem chwilowo dla tamtej.

— Szkoda, że — tamta nie nazywała się Julja Capuletti i że się to działo w Weronie. Na Romea ma pan duże zdolności — szydziła Lucia.

Brochwicz stał jak biczowany, bez słowa, niemal z rozkoszą bolesną.

Baronówna powstała z kanapki.

— Niechże pan nareszcie nie pozwoli na szyderstwa. Niech pan zabroni mi tego! Niech pan nie będzie tak tragicznie zgnębiony i... i... taki pokorny. Nie znoszę tego! brzydzę się pokorą! — wybuchnęła z irytacją.

Hrabia podszedł do niej i wyciągnął rękę.

— Żegnam panią! Odchodzę. Ironja kobiety ukochanej może w mężczyźnie wywołać nawet brutalność, ale tylko wtedy, gdy on posiada jej miłość. Gdy jest przeciwnie, ona jest panią położenia, jemu zaś pozostaje jako jedyna obrona... cierpliwość.

Ucałował rękę Luci z uczuciem. Dwie łzy zaszklily mu na rzęsach.

— Żegnam panią i... proszę...

— Panie Jerzy... A gdybym ja... pomimo wszystko... chciała być pańską żoną?... Czy... pan by mnie zechciał — rzekła Lucia, poruszona do głębi.

— Czy to nowe szyderstwo? — spytał patrząc jej w oczy.

— Nie: mówię szczerze.

— Panno Luciu!... Więc pani?...

Niestety, nie kocham pana, pan wie o tem, ale... męczę się i ja strasznie. Jeśli mnie pan zechce taką, to... może będziemy... uspokojeni...

Jerzy tulił jej rękę do piersi. Szeptem ledwo słyszonym, zapytał:

— A... tamte nadzieje... pani już pogrzebała?

Lucia wzdrygnęła się.

— Prawie.

— Jednak... pani jest niepewną?...

Baronówna spojrzała błagalnie.

— Proszę, nie mówmy o tem. Chce mnie pan, czy nie?

— Pragnę cię, wielbię i chciałbym cię ukoić, upieścić, abyś zapomniała o swej niedoli. Jednak... daj mi trochę nadzieji, że... z czasem pokochasz mnie, Luciu... Luciu moja!

Jerzy mówił z przejmującym uczuciem, ustami, pełnymi płomieni.

— Nadzieja? — odszepnęła Lucia. Ha! niech ją pan ma. Miejmy ją oboje! Ale nadzieja to ślepy magnes, wciągający ludzi na kolce życia, na jego ostrza. Lecz miejmy ją: może ujarzmimy ten zły magnes? Może złagodzą się nasze dramaty, nasze bóle? Jeśli pan chce, jestem jego...

Brochwicz uściśnął jej dłonie. Rzekł smutno:

— Nie dziękuję ci, bo za ofiarę dziękować nie można. Do uczuć moich dodałaś jeszcze trwogę, by cię nie stracić, Luciu, ale mam wiarę.

— I pan się nie boi? — spytała z podziwem.

— Nie. Zdaje mi się, że oboje nie mamy nic do stracenia — rzekł z mocą. — I jeszcze, upoważniam cię, jedyna, do zerwania ze mną, gdyby... tamte nadzieje ożyły.

Twarz mu się skurczyła cierpieniem; oczy zaszły ponurą mgłą. Szarpał własną duszę, ale chciał ją mieć czystą.

Lucia spuściła oczy.

— Ty jesteś szlachetny, ja zaś... podła!

Objął ją ramieniem delikatnie jak dziecko, wyszeptał łagodnie. schylony nad jej jasną głową.

— Nie, ty jesteś prawą i szczerą, tylko bardzo biedną, bardzo starganą duszą.

.

Wieść o ich zaręczynach doszła do Głębowicz w jesieni. Zgnębiła pana Macieja boleśnie, Waldemara zaś przestraszyła.

— Ona zabija się — jęknął Michorowski, łamiąc ręce nad głową.

Tego samego dnia ordynat otrzymał list od hrabiego Herb-
skiego z Wiednia, donoszący mu, że w Jockey-Clubie spotkał Bohdana.

Waldemar natychmiast wyjechał zagranicę.

XL.

Ostatnie piękne dni jesienne rzucały na Prater wiedeński mnóstwo rozświetlonych plam powietrznych. Drzewa okryła purpura królewska oraz chińska barwa gorąco-żółta. Jeszcze szaty kolorowe otulały grube korony drzew, a różnorodność ich pociągała oczy.

Park kipiał życiem. Używano resztek pogody. Powozy prywatne, zaprzęgi dworskie, częstokroć niby kosze, bogate w kwiaty pięknych kobiet, lśniły swym przepychem w przepychu słonecznym. Aleje dla jeźdźców gęsto zdobiły zręczne amazonki, otoczone sportsmenami pierwszej wody. Szyk wiedeński rozlał się tu szeroką, bujną falą, oślepił swą świetnością, łagodnie pieścił umiłowanie piękna, budził wytworność.

Wśród grona jeźdźców małał cokołwiek, ale nie zniknął Bohdan Michorowski. Jeździł na ślicznej klaczy angielskiej, pochodzącej ze stajen hrabiego Elemiera Szötenyi, Węgry, byłego partnera ordynata Michorowskiego z zabaw klubowych. Teraz towarzyszył Bodziowi.

Hrabia Elemer, śniady brunet, wrzący temperamentem, młodszy od ordynata i również kawaler, wciągał Bohdana w niebezpieczne dla niego kółka hulackie. Zabrał go do Wiednia z majątku swego, który Bodzio zwiedzał, i trzymał młodzieńczyka w ciągłym podnieceniu nerwów.

Bohdan zanurzył się w rozkosznej kąpieli życia stołecznego, już trochę zasnutego w jego pamięci. Czuł za plecami obowiązek szepcący moralny, ale udawał, że ich nie słyszy. Jedynie, co go kłóło aż do utraty zmysłów, to obawa pożyczki. Lękał się stracić te pieniądze, które posiadał, drżał na myśl przegrania grubszej sumy, i ciągniony przez Szötenyiego, siadał do stolika z miną miliardera, ale z duszą pełną strachu. Trzymał się jednak na wodzy i bronił jak umiał swej kieszeni. Chwilami, gdy niebezpieczeństwo już, już zaglądało do niej, Bodzio w nagłej rozpaczce pragnął trzęsienia ziemi albo pożaru, byle tylko mózgi zemknąć z tego piekielnego klubu. Kiedy raz przeczuł, że będzie musiał postawić grubszą stawkę, uległ zwykłej szczerości i rzekł do Elemiera — tonem opryskliwym:

— Hrabia myśli pewno, że każdy Michorowski jest Rothschildem i może złotem pokrywać dachy. Ja jestem z tych... miedzianych Michorowskich, i radzę wam, dajcie mi spokój, bo będzie kłopot, jak się udławię temi kartami.

— Och! Głębowicze to krezusowa fortuna! Niema obawy — wnioskował paniczek galicyjski, przerobiony na wiedeńskiego barona.

Bodzio się rozgniewał.

— Ja mam takie same prawa do fortuny głębowickiej, jak do hiszpańskiego tronu. Nawet gdybym zaczął bardzo szperać

to... kto wie? możebym został kandydatem do korony Bourbonów, ale do eksploataowania kasy głębowickiej nie mogę mieć pretensji.

Od tej pory przestał grać.

Hrabia Elemer, ujęty jego szczerością, nie nalegał. W inny sposób zabawiał umysł młodzieńca. Wprowadzał go do salonów arystokratycznych i do ukraszonych buduarów sezonowych piękności. Anny nicejskiej Bodzio nie spotkał, ale zawarł parę innych, równie ryzykownych znajomości. Jeżdżąc w Praterze, Szötenyi wskazywał mu oczyma pierwszorzędne meteory półświatka i damy wysokich sfer. Bohdan, zależnie od humoru, albo gapił się, albo ziewał, objawiając tę czynność lekkim krzywieniem nosa.

Ujrzał raz w powozie dworskim młodą osobę w ciemnym kostjumie i w dużym czarnym kapeluszu. Zrobiła na nim dziwnie miłe wrażenie; przypomniała dobre chwile, ściśle spojone z Głębowiczami.

— Ach tak! Lucia! Bajecznie do Luci podobna — rzekł głośno z uśmiechem.

Wskazał powóz Szötenyiemu, pytając, kto w nim jedzie.

— Arcyksiężniczka Marja Beatrycza — odrzekł hrabia.

— Jaka ona śliczna!

Elemer się uśmiechnął.

— Aż śliczna?! To zawiele. Jest przystojną i bardzo wdzięczną. Zawsze poważna, trochę posągowa.

Bodzio się zamyślił. Wreszcie rzekł:

— Mam kuzynkę, podobną do niej, która będzie prędko...

Zaciął się i umilkł. Hrabia Elemer zauważył jego zmieszanie. Podchwycił skwapliwie.

— Która będzie pańską żoną?

Bohdan poczerwieniał, aż skoczył na siodle. Spojrzał podejrzliwie na hrabiego i wybuchnął.

— Ach nie!... Co znowu. Żoną ordynata Michorowskiego.

— Aa!

Bodzio się zląkł. Uczuł pałacy wstyd.

— Hrabio, ale... proszę o dyskrecję.

— Ależ... naturalnie. Cieszę się, że już o tamtej zapomniał.

O tej — wie pan... — szlachciance, która umarła. Dziwiliśmy się w naszym świecie, że ordynat zeszedł po żonę, zamiast wspiąć się po nią, do czego miał prawa. Bo też to był szczególny pomysł Magnat — i szlachcianeczka!

Bohdan uczuł nagłą złość do Szötenyiego, do Luci — niewiadomo za co, i nawet do ordynata. Zmarłej Stefci współczuł serdecznie, kochał ją. Wydała mu się jakby łąką polską, po której trątują kopyta austriacko-węgierskie. Złość swą skierował na hrabiego. Rzekł trochę ironicznie:

— Już kto jak kto, ale wy tu, wieńdźczycy, nie powinniście urągać na nierówne małżeństwa. Wasi arcyksiężęta mogli was do tego przyzwyczaić; są bowiem swobodni w dobieraniu partji i niewybredni.

— Ja nie jestem arcyksięciem, lecz magnatem węgierskim, i cenię wysoko starożytne rody — rzekł sucho Szötenyi.

Bodzio się uspokoił.

— Prawda! Węgierscy magnaci sami zenią się z arcyksiężniczkami. Zapomniałem! Zresztą... Mało mię to obchodzi — dodał szeptem.

Od tego dnia Bohdan bywał często w Praterze tylko w celu ujżenia Marji Beatryczy. Jeździł w ślad za jej powozem; gdy była konno, trzymał się opodal i zjadał ją oczyma. Szötenyi nie mógł zrozumieć, czy młodzieniec zakochał się w arcyksiężniczce dla niej samej, czy dla wspomnienia kuzynki.

Ale i Bodzio z pewnością odpowiedzię na to nie umiał.

Hrabia Elemer polubił młodego towarzysza, bawił się doskonale jego dowcipem i zabawną nieraz otwartością.

Wybierali się obaj na bal do Burgu. Bohdan promieniał. Uczył się od Szötenyiego pewnych form ceremonjału dworskiego i coraz ogniej wzdychał do arcyksiężniczki.

Gdy nareszcie karetka węgierskiego magnata wjechała na dziedziniec Burgu, serce Bohdana tłuło się, jak u panny przed pierwszym występem w świat. Rozpalone świetlice okna cesarskiej siedziby, wielka ich moc i ciężkie mury dokoła przygniotły trochę swobodę Michorowskiego. Na jeden moment stanął mu w myśli zamek gębowicki, lecz nagle zapadł się z łoskotem, jak gdyby pokonany, i w umyśle Bohdana zapanował wyłącznie starożytny gmach Habsburgów.

— Tam jest arcyksiężniczka Marja Beatrycza... Beatrycza...

— powtarzał w myśli młodzieniec, lubując się tem imieniem.

Wspaniałe przedsionki, zastępy służby strojnej, schody ubrane palmami i cyprysami, mnóstwo potoków białego światła, szum materji drogocennych, poważny szept rozmów: wszystko to nieco Bodzia odurzyło. Do głowy buchnął mu niby mus szampa

rozkoszy, targnął nerwami, roziskrzył ciemne źrenice. Bohdan uczył w sobie bezmiar zdobywczej werwy, taki niesłychany prąd radości i szczęścia, że chciał krzyczeć głośno. Gdyby mu się teraz Marja Beatrycza rzuciła na szyję, nie byłby się wcale zdziwił.

W sali balowej znalazł już znajomych, Szötenyi zaś jeszcze go przedstawiał magnaterji węgierskiej i austriackiej. Bodzio wirował swobodnie wśród utytułowanych grup męskich, zręcznie wymijał dworskie treny dam, mówił dobrze i z zapałem. Wspomnienie ordynata Waldemara żyło jeszcze w tych towarzystwach, więc to samo nazwisko znakomicie torowało drogę młodzieńcowi. Wpadł w otchłań przepychu i chciwie zgarniał do swej piersi skarby życia zewnętrznego.

Spoglądał wyczekująco na drzwi, skąd miał wejść dwór.

Silne wrażenie zrobiło na nim ukazanie się starczej postaci cesarza. Prosty, w swym wojskowym uniformie, głowę tylko pochylał nieco naprzód i witał uprzejmie zebranych, których mu przedstawiali dworacy. Mało było takich; przeważnie salę zapełniał wielki świat, stale tu uczęszczający.

Bohdan, przedstawiony cesarzowi, złożył ukłon dworski. Usłyszał parę miłych słów monarchy, skierowanych do siebie, ale tyjących się raczej nazwiska, które nosił. Rozmawiając z dworzanami, na wyraźne wzmianki ich o ordynacie, Bohdan odpowiadał co należało, ale jednocześnie doznawał uczucia przykrewnej niechęci.

— Cóż oni wszyscy tylko o ordynacie?... — pomyślał.

W podnieceniu swem zapomniiał narazie, że jest jakiś Michorowski, więcej znany od niego.

Złe wrażenie minęło prędko pod wpływem siwych oczu Franciszka-Józefa. Cesarz rozmawiał z innymi, Bodzio zaś stał bez ruchu, patrząc na łagodne, głębokie źrenice starca, wyblakłe już, ocienione brwią siwą, trochę apatyczne. Te oczy, bruzdy na czole i fałdy twarzy, wchłonęły w siebie dużo smutków i tragedji. Bohdan czytał w nich jakby historję nieszczęść Habsburgów, z dominującym krwawym dramatem następcy tronu Rudolfa, z zabójstwem cesarzowej Elżbiety. Przypomniiał sobie, że jest w murach, nasiąknięch fatalizmem, że grasuje tu legenda o szarym człowieku, który ukazaniem się poprzedza nieszczęścia. Bodzio wzdrygnął się. Odwrócił oczy od cesarza i zobaczył przed sobą arcyksiężniczkę Beatryczę.

Na jego ukłon odpowiedziała łagodnym uśmiechem i pochylem głowy. Odeszła w gronie dam, smukła, poważna, niepo-

kalana w swej białej sukni. Bodzio zobaczył dziewiczy kark, otoczony perłami, falę lśniących włosów, i wśród nich migotliwy brylant. Posunął się za nią, lecz odgrodziły go złociste mundury orszaku cesarskiego, fraki ministrów, sążniste treny pań. Arcyksiężniczka znikła w świetnym tłumie.

Bohdan był zły. Musiał słuchać ciągłej gadaniny młodego galicjanina — barona, który dzielił się z nim wrażeniami.

— Niech pan spojrzy na tę damę w złotej gazie. Stylowa; co? Jaka koafiura! To księżna Montano. Szalałbym za nią, ale musiałaby zmienić uczesanie: nie lubię takich gruszek perłowych na czole. A ta, w tych sznurach z pereł, to księżna Fürtzberg. Strasznie dumna. A teraz idą dwie Grünendorfki, hrabianki. Jedna taka sobie, uszłaby na szarym końcu przy stole, ale ta druga... Właściwsza byłaby w jej ręku warząchew, niż wachlarz. Co? prawda? Zupełnie nie dla sali Burgu. Cóż za policzki!

Bodzio patrzył bez zajęcia. Szukał migotliwego brylantu we włosach.

Baron dotknął jego ręki.

— Niech pan się lekko obejrzy. Widzi pan tę oryginalną twarz w lokach? To hrabina Matylda! Wiecznie pozuje na prababkę z portretu. Kocha się w niej podobno jakiś arcyksiążę. A ta, która rozmawia z arcyksięciem D'Este, co ma takie ukośne brwi, à la gejsza, to hrabina Gizela Wichy. Cudne ma ramiona. Szaleje za nią pół Pesztu.

Baron mówił z miną niedbałą i z dumą, że zna wszystkie te damy, jak gdyby chciał Michorowskiemu zaimponować. Ale ten odrzekł bez zachwyty:

— Z pana widzę, niezły ekspert salonowy. Ocenia pan jak padyszach szeregi dziewic, przeznaczonych do haremu.

Galicjanin zabawnie stulił usta.

— Ja je wszystkie znam! Muszę jeszcze pokazać panu hrabinę Dalmy. Oczy — bajeczne! Szyja — jak to mówią — ła-będzia... Chociaż, długa szyja u kobiety jest wstrętą. Nogę Dalmy ma piękną, bo te inne, to co do nóg stoją niżej. No, wiedenki zawsze górą. Pokażę panu i hrabinę Szatek. Biust ma jak świątynia Wenery, biały, wypukły!...

Bodzio uczuł gniew.

— Co mnie tam Niemki obchodzą? Widziałem piękniejsze Baronik się obraził.

— Nie zna pan nazwisk, bo są tu i Węgierki.

— Wszystko jedno!

Panicz odszedł. Bohdan mógł swobodnie szukać arcyksiężniczki.

Rozpoczęły się tańce. Michorowski mile został zdziwiony widokiem par, płynących przy dźwiękach poloneza. Widział tańczących Polaków, którzy wyróżniali się majestatycznością ruchów i panie polskie, wdzięczne, jak prawdziwe księżne. Wkrótce ujrzał i arcyksiężniczkę. Tańczyła z jednym z dygnitarzy. Oczy jej duże, szczere, jakby trochę smutne i zdziwione, oczy dziewczynki w magazynie pięknych lalek, zatrzymały się na twarzy Bohdana. Zachwycony wzrok jego wywołał słaby uśmiech na ustach Beatryczy.

Minęła go powiewnie, uniesiona tańcem, jak pasemko białe piany na fali rzecznej.

Przemknął koło niego Szötenyi.

— Pan nie tańczy? — spytał.

Pochylił się do swej damy i znikł.

Michorowski ruszył wytrwale w stronę arcyksiężniczki. Migaly mu przed oczyma cudne twarze, skrzyły się klejnoty. Pomimo gwaru, w sali był dziwny stygmat uroczysty. Etykieta królowała, i ona właśnie, wzięła salę w swe zaklęte państwo, nadając jej tonu. Pachniał, szeleścił, błyszczał długi wąż tancerzy. Mnóstwo rozmaitych figur ludzkich, jak gdyby zaszytych w złociste pokrowce, tworzyło jaskrawe grupy przy wejściach i pod ścianami. Kwiaty sypały się wszędzie.

Bodzio znowu dojrzał zdaleka Marję Beatryczę z jakimś magnatem węgierskim, ubranym w przepyszny strój narodowy. Gdy już byli blisko, Bohdan szybko oderwał z krzewu tuberozy smukłą gałązkę, oblepioną białymi kieliszkami kwiatów. Serce biło mu gwałtownie; zabrakło mu tchu.

Beatrycza i jej tancerz zrównali się z nim. Magnat spojrział na Bodzia obojętnie, ona lekko rozchyliła usta. Michorowski ślicznym, łagodnym ruchem rzucił kwiecistą gałązkę pod stopy arcyksiężniczki.

Ona nie spostrzegła tego. Pantofelkiem zgmiotła tuberozę, i pociągnięta przez tancerza, znowu znikła.

Tren sukni odrzucił gałązkę na środek sali.

Zakochany skoczył, porwał zmięte kwiaty i nieznacznie przycisnął je do ust.

Poczem schował pod klapę fraka.

Jeszcze coś słyszał dokoła siebie. Coś szumiało, grało, płynęło, ale wszystko już to przestało Bodzia zajmować.

— Dwór odchodzi — rzekł ktoś w pobliżu.

Bohdan nie zobaczył już arcyksiężniczki.

XLI.

Zamglony poranek jesienny osnuł wilgotnym pyłem ulice Wiednia. Nad Burgiem zwisały pajęczyny mgiełek. Mury cesarskiej rezydencji wznosiły się ciężkie, wiekowe i jakieś groźne. Dokoła osiadła mokra ocieężałość.

Michorowski chodził wolno w bliskości pałacu, oczyma przebijając okna.

Tęsknił i marzył.

Pragnął odgadnąć, za którym oknem jest ona. Imaginacją rozwałął mury pałacowe i widział arcyksiężniczkę taką jak na balu: białą, poważną, z rozchyłonymi ustami, depczącą jego tuberozę.

W duszy swej czuł zgrzyt, jakby się coś w niej ścierało. Niesmak ogarniał go uparty, przykry.

— Co ja tu robię pod temi murami? — myślał.

Ale coś go trzymało.

Zobaczył małego chłopca, roznosiciela gazet. Obdartusek stał z pliką pism pod pachą i gapił się z otwartą gębą na pałac. Od czasu do czasu drapał się w kolano, poprawiał wypłowiałą czapkę i patrzył, patrzył. Bohdan zauważył straszną ironję w porównaniu wspaniałości gmachu i otoczenia z tym biedakiem ulicznym. Chłopczyna spoglądał na Burg, jak na cud świata, jak na rzecz, niedostępną dla niego całkowicie. A patrzył chciwie, z rozkoszą widoczną, z zachwytem, niemal z pobożnością.

Bohdana myśl nagła tknęła niemile.

— Ten obdartus... to ja!

Wybuchnął złym śmiechem — i odszedł.

Niesmak potęgował się. Myśl buntowała uczucia. Słyszał wewnętrzny jej szept.

— Po co tu łazisz, biedaku zrujnowany? To już dla ciebie świat tylko snów. Pociąg był na balu?... Ty — oficjalista! Pożegnaj się z wielkim światem, miej dumę... Nie bądź nędzarzem, szukającym zmiłowania pod pańskim progiem...

— Porzuć złudzenia. Idź w swój istotny świat, o dawnym środowisku zapomnij.

Młodzieniec wstrząsnął się, jak pod zimnym prysznicem. Duma wezbrana złością, ugryzła go boleśnie.

— Prawda! Prawda! POCO JA TU?!

Żal niesłychany błagał o litość, ale trzeźwa rzeczywistość chłostała. Obowiązek jął go coraz ostrzej tyranizować swą mową.

— Przyjechałeś uczyć się, korzystać; płacą za ciebie, a ty — hulasz?!...

Serce zalała mu krew.

Duma cisnęła mu do oczu straszny widok zrujnowanego Czerczyna, matkę opuszczoną, biedną, bankrutkę po dwóch synach i jego samego ze zgiętym karkiem pod drzwiami magnackiego zamku. Cisnęła mu nędzę przyszłych upokorzeń, wiecznej żebraniny i pukania do łaskawości milionowego wuja, ordynata. Cisnęła mu wzgardę i niechęć.

Pokusa dawała mu słodkie nadzieje.

Duma rzucała obelgę.

Bohdan snuł się obok Burgu niby pijany. Chciał wyrwać pokusę z piersi, ale i dumę chciał odrzucić precz.

Obie mu dokuczały.

Zjawa upadłego Czerczyna zwyciężyła.

Michorowski stanowczym krokiem ruszył przed siebie, mijając pałac.

Wtem zobaczył, że chłopak z gazetami ucieka, ile sił starczy. Papiery rozpadały się po drodze.

Bodzio się obejrzał.

Szyldwach w bramie pałacu stał przed swą budką i prezentował broń.

Ukazał się odkryty powóz, w nim zaś cesarz i arcyksiężniczka Marja Beatrycza.

Młodzieniec stanął jak zdrętwiały.

Paru przechodzących mężczyzn odkryło głowy w ukłonach.

Bohdanem szarpnął nagły wstyd. Wtem spotkał wzrok arcyksiężniczki. Wzrok chłodny, obojętny, matowy, taki sam, jakim patrzyła na szyldwacha w bramie. Zanim ochłonął, zobaczył już daleko lśniący powóz i duży kapelusz Beatryczy.

— Nie poznała mnie.

Śmiech szyderczy, wściekły, śmiech zwyciężonej dumy zatargał jego piersią.

— Dobrze ci tak, ośle!... — wyrzucił Bodzio przez zwarte zęby.

Jednocześnie uczuł ulgę niezmierną, jakby przebudzenie po śnie, w którym się topił. Odrodzony na nowo, z obrazem miłowanej idei w duszy, opuścił Burg. Wracał do rzeczywistości.

XLII.

W Wiedniu ordynat Waldemar Michorowski udał się przede wszystkim do hrabiego Dominika. Ten go uspokoił.

— Zaalarmowałem ordynata niepotrzebnie. Bohdan bywa wprawdzie wśród klubowców, ale się nie hazarduje. Węgierscy magnaci wciągają go w grę w karty, lecz daremnie, bo on zbyt powściągliwy.

Herbski odpowiedział Waldemarowi parę faktów, rzucających dobre światło na Bodzia. Młodzieniec umiał się zwalczać.

Hrabia prawie przekonany do niego, nie mógł się dość nadszpeciwić zmianie, zaszłej w jego naturze. Mówił zdumiony, składając zwykłym ruchem splecione ręce na żołądku.

— Był urwis; teraz jest zuch. O! inaczej określić go nie można. Ordynat dobrze mu przepowiedział: będzie z niego człowiek.

— A widzi hrabia! — odrzekł Waldemar z niezwykłym ożywieniem. Ja go wcześniej przeczułem.

— No, narowy jeszcze ma — poprawił się Herbski — ale już mniej szkodliwe. Takie narowy...

— Michorowskich — dodał Waldemar.

Hrabia się skrzywił.

— Nie zupełnie; mniej kulturalne. Ale może, może. Bohdanem kieruje jakaś idea, tylko trudno ją zbadać. Może miłość?...

Waldemar spoważniał.

— Co pan mówi?... E, nie! Chyba coś nowego?

— W każdym razie jakiś ideał ma w duszy — potwierdził Herbski.

Z ulubieńcem swoim ordynat zobaczył się w mieszkaniu hrabiego. Chłopak był uszczęśliwiony tem spotkaniem. Opowiedział Waldemarowi przebieg swej podróży, odniesione z niej korzyści; wykladał śmiało i ze znajomością.

— Jakież masz zamiary — spytał ordynat.

Bodzio nagle poczerwieniał.

— Bardzo szerokie, wuju!... — rzekł trochę nieśmiało. Waldemar zdziwił się, nie z powodu słów, lecz wyrazem jego twarzy.

— Naprzykład jakie?...

— Widzi wuj, to może śmieszne w mojem położeniu, ale zdaje mi się, że nie głupie. Chcę bardzo pracować, intensywnie. Być popychadłem, jak w Rusłocku, nie potrafię. Miślę o objęciu posady rozległych zakresów, dającej duże poloty i korzyści materialne.

— Czy pan wydoła? — spytał Herbski.

— Chcę i muszę. Lecz pierwsze jest dla mnie ważniejsze. Musem nie wszędzie dam się zaprowadzić, ale wola własna poniesie mnie daleko.

Bohdan mówił z przejęciem. Stał prosty, z zapalem w piwnych oczach. Młodzieńcza pierś jego gromadziła w sobie jakby siłę przemożną, która zdawała się ją rozszerzać. Szlachetna egzaltacja zdobiła jego twarz bladawą.

— Hrabia pyta, czy wydołam? Już zrobiłem wiele z siebie samego; zrobię więcej. Czuję młodość; coś we mnie rwie, ale... brak mi rozpędu!

Nerwowo zatrzęsł dłońmi.

— Jednak wynajdę dla siebie dalszy widnokrąg. Pragnienie mam ogromne. Ale znowu myślę, że gdybym celu dosięgnął może straciłbym już werwę... Tego się boję. Mam wrażenie, że człowiek, zdobywszy jakąś placówkę wymarzoną, choćby szedł do niej z poszarpanymi od trudu stopami, gdy już ją ma, jest... jakby to powiedzieć?... jakiś skończony, czyli ma świadomość, że nic już nadto nie robi. To smutne! bo wtedy się pewno gnuśnieje?

— Dlaczego? Można iść stale wzwyż — rzekł Waldemar. Bohdan skrzywił usta z powątpiewaniem.

— To rzadko! Przeważnie w takich razach oczekuje się tylko... oklasków, jeśli nawet nie pomnika. Sytość duchowa to to samo może, co pełność żołądka — napawa sennością i zatracą czyn.

Nagle roześmiał się szczerze, swawolnie i błysnął oczyma.

— Ha! ha! przedwcześnie się martwię. Ja i... oklaski? Ja i...pomnik?... Sytość duchowa i zbytki tym podobne. Ha! to nie dla ciebie, Bodziu; ty tego nie osiągniesz.

Śmiał się trochę boleśnie i znowu rzekł, zaciskając dłonie:

— A jednak będę lazył do swego celu, zapatrzony w swą ideę, i dolezę. Choć, być może, całe życie na to poświęcę.

Ordynat i Herbski zamienili z sobą spojrzenia. Ordynat rzekł:

— Wybacz mi, Bohdanie, niedyskrecję, lecz... powiedz mi... Mam pewne prawa zapytać cię o to.

— Pytaj, wuju.

— Powiedz mi jaki jest główny twój cel, i co jest ową ideą? Bodzio zmarszczył brwi. Trochę się wahał, ociągał. Wreszcie rzekł odmiennym tonem:

— Chcę, wuju, z czasem naturalnie, wyratować i odzyskać Czerczyn; oddać mamie jej sumę, wchłoniętą przez majątek, i Wiktora może... własnym przykładem ocalić. Chcę aby Czerczyn stał się podobnym do Głębowicz.

— I aby był pańską własnością?... — spytał ciekawie hrabia Dominik.

Bohdan zapłonął gniewem.

— Nie, zaborcą nie będę. To dziedzictwo Wiktora. Ja chcę ich ratować, ale nie okradać podstępnie. Swoje wybrałem.

Waldemar rozpromieniony spojrzał na przyjaciela.

— Oto jest jego idea i jego cel — rzekł ze wzruszeniem.

Bohdan spuścił oczy, trochę się zmieszał. Ordynat to zauważył.

— On jeszcze coś ukrywa — pomyślał niespokojnie.

Herbski zdumiewał się, wieszował młodzieńcowi zapału i szczerze życzył powodzenia.

Bodzio odpowiedział ze śmiechem:

— Panie hrabio. Dopiero zaczynam piąć się, jak niegdyś na zwierzyńiecki płot w Głębowiczach. Ale mię krzepi wiara, że cel opanuję. To duża siła.

— Tak, i twórcza dodał Waldemar.

XLIII.

Bohdan bez żalu zegnał Wiedeń. Na zaproszenie Szötenyiego odpowiedział szczerze, że nieprędko znowu odwiedzi stolicę nad-dunajską. Ale gdy pociąg ruszał, Bodzio patrzył w stronę Burgu z jakąś smętną tęsknotą, której nawet nie rozumiał. Zostawiał tu swoje dni zapomnienia, dni upojeń i swobody. Cieszył się, że

opuszcza rozpustne zabawy, bo po nich pozostał mu jedynie niesmak. Burg zaś i arcyksiężniczka byli jak gdyby symbolem naziemskiego świata, żegnanego może na zawsze.

Ordynat, widząc dziwny stan młodzieniaszka, nie pytał o nic, lecz starał się wybadać, co mu jest. I Bodzio wyznał, co miał na duszy. Lecz o arcyksiężniczce zamilkł. Wstydział się swych zapalów. Bohdan nie skarżył się przed Waldemarem na los; jedynie mówił ze smutkiem, przez który przebijała ironja, skierowana do samego siebie. Ordynat jednakże odgadł, że uczucia chłopca były dotknięte, z paru zaś słów jego przeczuł bohaterkę. Może dostrzegł fotografię Maryi Beatryczy w portfelu kuzyna?

Waldemar nie czuł obawy; wydało mu się to dzieciństwem i zarazem niegroźnym, bo obudzeniem się marzeń idealnych, poczętych niby w ślicznej woni konwalji wiosennej. Wolął dla Bodzia to, niż Annę nicejską lub primabalerinę warszawską.

Śród jednej z takich rozmów Bodzio spytał:

— Dlaczego ty, wuju, tak mało teraz uczęszczasz w świecie? Naprzykład w Burgu wiele osób o ciebie pytało, nawet cesarz.

— Cóż im odpowiedziałeś?

— Rozmaicie. Jak komu. Cesarzowi powiedziałem, że pracujesz w kraju, Szötenyiemu szepnąłem w sekrecie, że zubożałeś, wuju, bo on ma zamiary na twoją kieszeń, chce pożyczyć grubą sumę. Spojrzał tylko na mnie powątpiewająco. Paniom zaś mówiłem, żeś stetryczał, i wyobraź sobie wuju: nie chciały wierzyć!

— Wcale dobrą wyrabiałeś mi opinię — uśmiechnął się Waldemar.

Gdy mijali cudowne okolice Styryji, Bohdan, przyklepiony do szyby wagonu, marzył cicho. Ordynat usłyszał raz jego śpiew. W tęsknej, rozwlekłej melodji Bodzio zamykał jakieś słowa. Brzmienie ich zastanowiło Waldemara. Wsłuchał się uważnie.

Młodzieniec śpiewał:

„Za Wołyniom skuczaju i w deń i w noczy,

„Bo wołyńskaja zemla každyho nauroczy.

„Kto na Wołyń pryide, toho oczaruje;

„Lisami i ćwitami swoimi zwojuje.

„Oj, Wołyniu ridnieńkij, tebe ne zabudu,

„Aż do samoi smerti wspomynaty budu.“

„Na Wołyniu, hde ne hlanesz, tam zemla czornaja,

„Zołotoju pszenyciu ciła usianaja.

„Tam: koły wesna nastane, to wże taka krasna,
 „Taka harna, zelenaja, myleńka i jasna!
 „Oj, Wołyniu, Wołyniu, tebe ne zabudu
 „Aż do samoi smerti wspomynaty budu“...

Ordynat zwrócił się z zapytaniem:

— Bodziu, co to za śpiew? Nie znam go.

Chłopak się zaczerwienił.

— Sam go sobie ułożyłem, wuju.

— Ty?! No, i tu w Styryji tak czule wspominasz Wołyń.

— Bo, ja te kraje tu znam i podziwiam, lecz teraz przeniosłem się myślą nad taki boski parów w Rusłocku, gdzie marzyłem. Żebyś ty go znał wuju! Wiesz? zawsze sobie wyobrażałem, że ten głęboki jar, przepastny, wykopało piekło na zgubę ludzi, a niebo usiało go cudną roślinnością, ubrało skałami pysznymi, ocieniło dziewiczą puszcza drzew, aby ludziom, ot takim jak ja warjatom, dać trochę przyjemności.

— Więc kochasz Wołyń? A jednak Rusłocka nie lubieś...

— Nawet nie cierpiałem. Ale samej rezydencji i Ponieckich. Kraj kocham i lud kocham. Wszystko to harmonijnie dostraja się do mej natury; to tak, jakby kto buńczuk omotał w pajęczynę melancholji. Cudny kraj!

Ordynat spoglądał na sylwetkę profilu kuzyna na tle szyby i myślał nie bez wzruszenia:

— To porównanie, jakie zrobił do Wołynia, stosuje się do niego... Buńczuk, owiany melancholją, i poezją, i zapałem, lecz... złamany!... Jednak takiego warto ratować... To jeden z tych Michorowskich, którzy nie umieją słuchać, ale potrafią przewodzić.

Ordynat czuł, że w sercu wzbiera mu uczucie dla Bodzia — niemal ojcowskie.

Sam nad sobą zamyślił się poważnie, gdy byli już blisko Szwajcarji.

I oto na granicy pierwszego kantonu Waldemar zmienił nagle swój projekt.

— Wracamy do Głębowicz — rzekł do Bohdana.

— Jakto wuju?!... Myślałem, że teraz wahać się już nie będziesz co do Luci i że poto jedziesz...

— Ona jest narzeczoną Brochwicza.

— Ach! — skrzywił się Bodzio. Wuj w to wierzy? Sam fakt niczego nie dowodzi. Ona Jerzego nie kocha.

Waldemar się wstrząsnął.

— Tembardziej jestem tam zbyteczny.

Bohdan wpadł w ponure zamyślenie. Nie rozmawiał więcej z ordynatem o Luci. Przeczuwał zbliżający się ostateczny przełom, ale niepojęty stan ordynata tłumaczył uporem.

Bodzio w Głębowiczach przyznał się Waldemarowi, że porobił starania o posadę administratora.

— Czy czujesz się na siłach? — spytał ordynat.

— Najzupełniej. Zacznę od małego zakresu, ale tam, gdzie będą perspektywy.

Waldemar zaproponował mu stanowisko takie w Białoczerkasach. Bohdan zamiast się ucieszyć, był zmieszany.

— Ufasz mi, wuju? — bąknął niewyraźnie.

— Tak.

Młodzieniec milczał.

— Nie jesteś, widzę, zadowolony — rzekł starszy Michorowski. — Zostawiam ci zatem swobodę.

Bodzio z nagłą szczerością wyznał swą myśl.

— Nie, wuju, to nie to. Jestem ci bardzo obowiązany za zaufanie, ale ja w Białoczerkasach byłbym zawsze na sznurczku... Owszem, wpływ uznaję do pewnego stopnia, lecz wędzidła nawet z twojej ręki nie ścierpę.

— A jak będzie u obcych?

— U obcych działalność swą takbym unormował, że wszelkie pęta dla mnie byłyby zbyteczne.

Waldemar zaśmiał się wesoło.

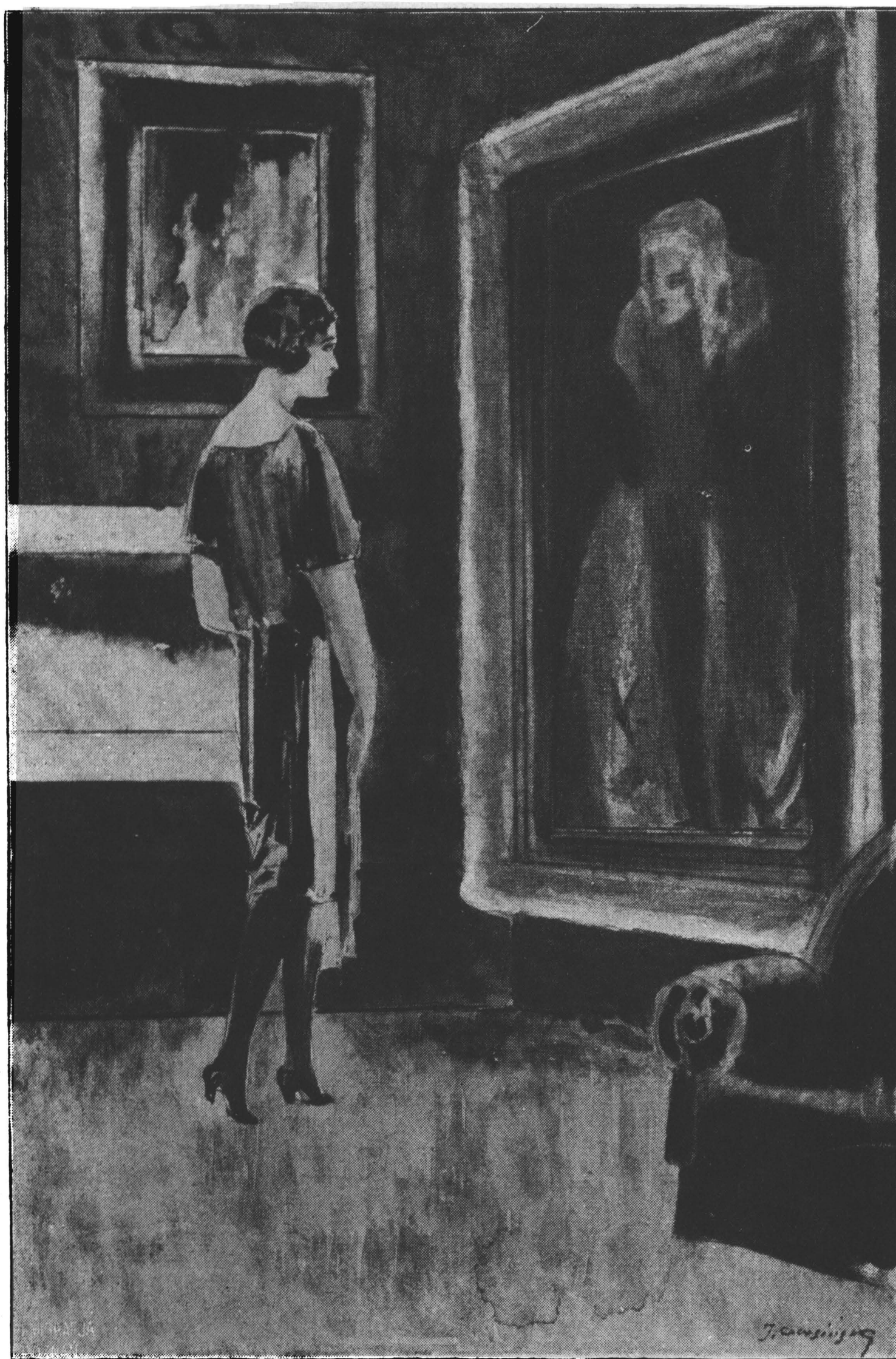
— Dobrze. Podobasz mi się! Wiedz o tem, że żaden Michorowski nigdy wędzidła nie znosił i nigdy go nikomu nie nakładał. Despotyzmem brzydzę się; miałeś chyba czas to poznać. Będziesz w Białoczerkasach administratorem z całkowitą plenipotencją. Posadę obejmiesz na wiosnę. Przez zimę będziesz się jeszcze kształcił. Zgoda?

— A. Jeżeli tak...

Uścisnęli się jak bracia.

XLIV.

Księżna Podhorecka powróciła ze Szwajcarji. W listopadzie cała rodzina zgromadziła się w Głębowiczach, gdzie od pewnego czasu zamieszkiwał i pan Maciej z nieodstępnym panem Ksawerym. Brakło tylko baronowej Elzonowskiej. Mówiono powszechnie, że małżeństwo jej z Barskim jest już postanowione



Staneła przed portretem narzeczonej Ordynata . . . (str. 147)

Razem z Lucią przyjechał Brochwicz.

Stosunek jego do ordynata stał się znamienym.

Brochwicz kochał narzeczoną i bał się jej utracić. Do Głębowicz jechał niechętnie, przeczuwając, że będą one dla Luci powodem nowych walk, odświeżeniem niezaschłej zresztą męki uczuć. Młody hrabia nieufnie patrzył na ordynata, wstydział się tego wrażenia sam przed sobą i był skrępowany.

Lucia pod pozorną odwagą, nawet brawurą, drżała wewnętrznie.

Chciała wyjaśnień z Waldemarem i szukała odpowiedniej chwili.

Gdy cały zamek zapadł w głuchą ciszę nocy, Lucia śmiało weszła do gabinetu Waldemara. Była blada, lecz spokojna.

On powstał na jej widok. Serce biło mu żalem, dramat miał w piersi.

Stała tuż przy nim. W ostatniej chwili zabrakło jej odwagi. Słowa przemówić nie mogła. Przestrach mignął w jej oczach. Trzęsła się okropnie.

Waldemar wziął jej dłonie zimne, jak umarłej.

— Luciu... droga, dziecko, więcej... spokoju... — szepnął.

— Waldy... Ty wiesz, że... idę za Jerzego.

— Wiem — odparł zdziwiony.

— Ja jego... nie kocham! — wybuchnęła.

Ostatnia kropla krwi uciekła z serca Waldemara.

— Nie kocham, i ty wiesz o tem! Waldy!

Szalonym rzutem załamała ręce, zakrywając niemi oczy. Z ust jej wybiegł straszliwy krzyk.

— Ciebie jednego kocham! miłuję! tylko ciebie! Słyszysz?! Tyś mój, w duszy zaryty! Za tamtego... jedynie z rozpacz. Waldy! czyś ty bez serca?!

Spazm okrutnego płaczu targnął nią przeraźliwie.

Waldemar czuł, że leci w otchłań.

— Luciu! na miłość Boga!...

Załamał mu się głos bezradnie.

Upadł na fotel i schował twarz w dłoniach. Ona płakała.

Ponura cisza smutnych przeznaczeń omotała ich tragicznie.

On pierwszy ocknął się z bolesnej wrzawy duchowej.

Wstał i ręce jej przytulił do piersi.

— Cicho, dziecko... nie płacz. Wiedziałem... o twych uczuciach i... walczyłem. Na tarasie wówczas postanowiłem cię ostrzedz. Pamiętasz?...

Lucia wyrwała rękę z jego uścisku i zakryła mu usta.

— Nie mów! Nie mów więcej. Niech ta złuda zostanie, ten jedyny błysk.

— Luciu, źle mnie wtedy zrozumiałaś.

— Milcz, milcz Waldy! powiedz: tyś mnie nigdy nie kochał? Och! nie miłością braterską! ale tą inną, tą... dawną swoją... Czy nigdy...?

Starli się wzrokiem. Jej był drapieżny, jego zbolwały, lecz stanowczy.

— Nie, Luciu.

— Boże mój! A ja myślałam, a ja!... tak cię strasznie kochałam!

Rzuciła się znów do niego.

— Waldy... Były chwile... pamiętasz?...

— Wiem. I przepraszam cię za nie, Luciu. Byłem nieuważny, może — bezczelny, ale nie mogę być niesumiennym. Tamto były chwile krótkiego szału... nerwów. Jestem mężczyzną... działałaś na mnie, przyznaję. Jednak to nie... miłość.

— Więc nic dla mnie w twym sercu niema, nic!?!...

— Jest głęboka miłość braterska, i żal, i boleść, i współczucie, i wielkie pragnienie, abys była szczęśliwą, Luciu. I dlatego...

— Odradzisz mi pewno iść za Jurka? — syknęła ze strasznym śmiechem.

— Nie, tylko lękam się o ciebie.

— Więc uratuj! Zechciej, żądaj, rozkaż, abym była twoją żoną! Zostanę. Bądź pewny: niewolnicą będę!

Waldemar milczał.

— Nie powiesz tego — prawda?

Nie dał odpowiedzi.

Lucia po chwili znów zbliżyła się do ordynata. Ręce oparła na biurku, i pochylona całą postacią naprzód mówiła urywanie:

— Wybrałam Jurka... bo on mnie kocha. Wie wszystko, co ja cierpię, i chce mi dać ukojenie. Matki nie mam! ona już Barska. Przy dziadziu, obok ciebie, nie będę!... Cóż pocznę?... A Jurek mnie kocha. Będę żyła dla innych... Może wytrzymam...

Łzy spadły z jej oczu.

— Czemu nie mogę dać ci szczęścia; czemu?! — zawołał Waldemar głosem tak wzruszonym i tak szczerze żalonym, że Lucia rozrzewniała się, ale smutno.

W milczeniu podała mu rękę.

— Roz... chodzimy się... bo los... — szepnęła i nie mogła dokończyć. Płacz zdusił ją znowu.

Ordynat dłoń jej ucałował gorąco.

Dziewczyna wolno wyszła z pokoju.

Przebiegła szeregi salonów i korytarzy, błędząc trochę po ciemku. Łkanie jej budziło żalosne skargi w głuchych komnatach.

W sali portretowej rozjaśniła elektryczne światło.

Stała przed portretem narzeczonej ordynata. Nienawistny wzrok wpiła w jej twarzy.

— To przez ciebie — wyrzuciły zsiniałe usta dziewczyny.

Patrzała długo. Ostre źrenice miały w sobie jad, piołun i bojaźń.

Patrzała z zapartem tchnieniem, czując w sercu napływ czarnej krwi.

Patrzała jak obłąkana, bo wzrok jej gasł, tępiał, łagodniał.

Podsunęła się bliżej obrazu. Oczy jej zmiękły w wyrazie. Pozostał w nich tylko smutek bezdenny.

Szept jej warg wionął cichutko.

— On twój... Zawsze twój!

I Lucia zwiesiła głowę.

Światło ją opromieniało. Z portetu spływała na nią słodycz — tamtej. Postać schodziła do niej ze smugą gwiazd w oczach.

Wtem Lucia uczuła przerażenie. Do sali zmierzały kroki męskie. Poznała je.

Ukryć się nie było sposobu.

Baronówna, wyprostowana, odważnie podeszła do drzwi.

Otworzyła. Nawprost niej stał Waldemar.

Zmierzyli się oczyma. Zawstydzona, spuściła powieki. Minęli się w milczeniu. Waldemar wszedł do sali. Lucia wpadła w ciemną głąb korytarza.

Gdy dobiegła już do przeciwległego wyjścia, cichutko, na palcach powróciła i lekko uchyliła drzwi od sali, ocienione aksami-
mitną kotarą.

Waldemar na portret zmarłej Stefcy patrzył z takim wyrazem w oczach, jak gdyby oddawał jej całą swą przyszłość lub składał przysięgę wierności.

Lucia zatamowała jęk w piersiach i znikła bez szmeru w przestrzeni korytarza.

XLV.

Ślub Luci z Brochwiczem miał się odbyć w Paryżu w połowie stycznia.

Księżna Podhorecka stała się jedyną opiekunką osamotnionej dziewczyny. Mieszkała z nią razem we Francji, gdyż Lucia po ostatecznej rozmowie z ordynatem wyjechała natychmiast zagranicę i niechciała wracać do kraju.

Zbliżała się chwila stanowcza. Baronówna żyła jak w letargu. Rozpacz i obawa przed przyszłością zabiły w niej duszę. Chwilami budziła się z tego snu straszego, budziła się dotknięciem rzeczywistości, która porywała ją w wir szalony niezgłębionych rozpadlin. Rosła w niej bezbrzeżna niechęć dla Brochwicza, i pogarda, i żal i wstręt do siebie. Jerzego czyniła winnym, że chce ją mieć za żonę, siebie — że się na to zgadza, wreszcie Waldemara — że był demonem, rzucającym ją w bezdeń.

Miłość dla Waldemara, wszystkie walki i cierpienia zmalowały wobec grozy przyszłości, idącej nieubłaganie, z demoniczną siłą.

Nic jej nie wstrzyma. Oboje z Jerzym brną na oślep, nad przepaść, nad krawędź niedoli, widzą ją niemal przed sobą, nędzną, urągliwą, lecz kuszącą jak grzech. Oboje zamknęli oczy, odrzucili precz od siebie wszelkie podszepty sumienia. Mocą stała się dla nich jakaś konieczność i rezygnacja. Co będzie — to będzie, byle prędzej. Bez analizy, bez uwag szli do swego celu, jak pijani. Gdyby siła nieznana a wielka otworzyła im oczy, wzywaliby ratunku. Taka siła mogłaby ich ocalić... lecz jej nie było.

Własny rozsądek i zastanowienie uspili narkotykiem uczuć osobistych, starganych doszczętnie i boleśnie.

Lucia w chwilach przebudzenia zrywała pierścionek z palca, pisała do Jerzego listy, zwracając mu słowo, lecz potem — darła papier na strzępy i znowu poddawała się beczuciu letargicznemu. Teraz już tylko smutny obraz przyszłego życia rysował się w jej duszy; osnuty był paniczną obawą.

Strach ogarniał ją coraz silniejszy, strach dławił, systematycznie truł i ciągnął zarazem w toń.

Lucia przeistoczyła się w bryłę bezwolną i jakby zmiętą.

Czasem, przeciwnie, bunt w niej powstawał, przeogromny, krzyk protestu wydzierał się z serca, które dobrowolnie okuwała w blachy zimne, nieszczęścia. Wówczas Brochwicz ginął, jak drobny liść zmiażdżony nawałnicą wichru. Ordynat zapadał się w ciemnię. Wszystko malało. Na serce zaś cierpiące splotywał ciepły promyk przeczucia niesłychanego, nieuchwytniej halucynacji ocalenia, i złagodzone tą pieszczotą serce uciszało się, jak po haszyszu.

W takich łagodnych jaśniach niby w błyskawicach wśród chmur, ukazywała się w zmęczonej wyobraźni Luci postać Bohdana Michorowskiego. Jego oczy ciemne i twarz szczupła, nerwowa, jego uśmiech szczery, dziwnie pociągający, napawał dziewczynę otuchą niezrozumiałą. Baronówna wzruszała się wspominając jego dobre chęci i dążenia w celu uratowania jej od uczuć nieodwzajemnionych lub też rzucenia w ramiona ordynata.

Wszystko zawiodło.

Pozostał niebezpieczny szlak, idący w głąb życia, albo pozabawienie się go przez samobójstwo.

Śmierć własna przedstawiała się baronównie bez właściwej grozy, lecz jakby symboliczna Marzanna.

Niech nadejdzie, niech się spełni.

Myśl samobójstwa nawiedzała Lucię, lecz na krótko i niezbyt silnie. Bywała raczej wykwittem wybujałej fantazji i pewnego lubowania się własnym dramatem. Nie przychodziły te myśli bezpośrednio, aby zniewolić ducha, lecz snuły się śladem wyobraźni zarazem przejaskrawiając ją.

Umrzeć — nie było dla Luci koniecznością duszy, odtworzoną jasno i wyraźnie, ale najwłaściwszem zakończeniem, do czego jednakże brakowało jej postanowienia.

Lucia na dnie swej jaźni pragnęła żyć, tylko obawiała się rozpocząć z życiem walkę i biernie poddała się prawom krańcowej apatji.

Pani Idalja Elzonowska, już jako narzeczona hrabiego Barskiego, przyjechała do Paryża, lecz przyjęcie, jakiego doznała od córki, zniechęciło ją do pozostania na jej ślubie.

Lucia nie chciała widzieć matki przy tej uroczystości. Z rodziny mieli być tylko księżna Podhorecka i hrabiostwo Trestkowie.

Baronówna oczekiwała jeszcze dziadka Macieja, ale on dla braku zdrowia nie obiecywał przyjazdu.

Księżna, z pomocą hrabiny Rity, zajęła się wyprawą Luci, ona sama do niczego nie chciała się bowiem wtrącać.

Do ślubu pozostało tylko kilka dni ostatnich.

Lucia zachowywała się tak, jakby ją miano żywcem zamurować. Jej niepokój, jej lęk okrutny dosięgnął największego napięcia. Lucia była prawie niepoczytalną i trawioną przez gorączkę. Myślała o chwili ślubu, jak suchotnica o śmierci przewidzianej niemal co do godziny. Czuła, że ginie, i czuła, że od niej samej zależy ocalenie własne, ale śmiech nieludzki, jakiś śmiech targający nerwy wybuchał z jej piersi i tłumił akcję ratunkową. Przerazliwie jasno widziała swój grób otwarty i zbliżała się doń z całą świadomością, ale zarazem z szarpaniną wewnętrzną, która pozornie wydawała się brakiem przytomności i lekceważeniem.

Gdy pewnego dnia Brochwicz ujrzał ją w podnieceniu niebywale drażliwym, zląkł się. Po raz pierwszy od czasu zaręczyn zadał sobie pytanie, co on robi.

Upiór nieszczęścia ukazał mu się groźny, szyderczy i bezlitośny. Jerzy ścierpł. Sumienie i etyka wzburzyły całą jego istotę, ale zamknąć tej ciemnej pieczary złej przyszłości, usunąć jej — nie miał sił. Grzął i pociągał Lucię nieszczęsną, będącą jak w agonji.

Brochwicz odszedł zraniony moralnie, Lucia zaś powróciła do swego półżycia, wkraczającego w newrozę.

Siedziała w buduarze skurczona, z głową wtuloną w poręcz wysokiego fotela. Oczy smutne, o niezmiernie głębokiej, wpatrywały się w wysokie szyby okien, poza którymi jaśniał dzień styczniowy, kipiało wrzątkiem bujne życie Paryża. I oto nagle spadło na Lucię jasne przeczucie. Ujrzała w przestrzeni gienjalną moc swych przeznaczeń, dalekich od otwartego grobu, skąd wiało na nią pustką i chłodem. Ukazanie się tej zjawy niespodziewanej było silne i plastyczne; wrażenie olbrzymie.

Mara, gniotąca ją niemiłosiernie, zginęła na sekundę, oślepiąca piorunowym gzygzakiem objawienia cudownego, co w glorię swą potężną porwało umysł Luci.

W tem ona zamarła ze zdumienia, podniosła się szybko.

Naprzeciw niej, w drzwiach, stał Bohdan Michorowski.

Poważny, spokojny, inny niż zwykle.

W oczach miał stanowczość, usta lekko uśmiechnięte, pewne siebie.

Tchnął zuchwałością i dziwną siłą.

Lucia pozostała bez ruchu. On podszedł i wziął jej rękę.

— Bodziu! Skąd ty... tu!... — spytała z przerażeniem.

— Przyjechałem, aby ratować cię, kuzynko...

— Mnie... ratować?

— Tak.

Lucia patrzyła, jakby nie rozumiejąc.

Przerażenie jej rosło.

Spazmatyczny śmiech runął z jej piersi.

— Mnie ratować?! Ha! ha! Za późno! Mój ślub za kilka dni.

— Otrzymałem zaproszenie i na szczęście zdążyłem, aby zerwać to małżeństwo. Nie wierzyłem do ostatniej chwili, że popełnisz taką... niegodziwość.

— Bohdanie!

— Tak, niegodziwość. Ale ja na ślub nie pozwalałam! Ślub się wasz nie odbędzie, bo to byłoby zbrodnią.

Baronówna wyrwała rękę z jego uścisku. Brwi jej się zbiegły.

— Jakiem prawem to robisz?! Kto cię upoważnił? — zawołała wzburzona.

Bodzio zapłonął.

— Prawem jest mi moja własna pewność, że czynię dobrze, że cię zatrzymuję w tym szalonym, nieprzytomnym pędzie do zaty, że pragnę twego szczęścia. A na twą zgubę nie pozwolę!

— Jeśli chcę jednak zatracenia?

— Kłamiesz!

— Chcę! i dopnę celu.

— To nie cel, to upór, to kaprys... To... zemsta.

— Bodziu! Jak śmiesz?!...

Michorowski delikatnie objął palcami jej dłonie, zajrzał głęboko w oczy dziewczyny. Ona znieruchomiała. Usiadła na fotelu, Bohdan zajął sąsiednie miejsce.

Oboje milczeli.

W duszy Luci rozsnuwał się niepokój, owładnęła nią nagle trwoga, jakby chęć do ucieczki. Bała się spojrzeć na Bohdana, by w oczach jego nie odczytać wyroku na siebie. Ten Bodzio, wesół kuzynek, odrazu w umyśle jej spotęźniał, stał się nowym i ciekawym.

Nawet zastraszającym.

— POCO ON PRZYJechał... Co znaczą jego słowa?...

Pytania wirowały w mózgu baronówny, uparte, domagające się wyjawienia prawdy.

Bohdan ją zainteresował, lecz jednocześnie jakby ogłuszył. Wrażenia, wręcz przeciwne sobie, gromadziły się natarczywie. Serce Luci uderzyło parę razy wielką wdzięcznością dla Bohdana, aż oto znowu Brochwicz wypłynął na serdecznych falach jej uczuć. Obudziła się śpiąca etyka i myśl głęboka, owiane apatją, lenistwem, bezczynne, szarpnęły się, oburzone za spokój zmacony do dna. Senne majaki moralności zostały przez Bodzia targnięte zbyt gwałtownie. Więc dominowała niechęć.

— POCO ON MNIE OTRZEŻWIA? Chcę spać, nawet w udreće snów tragicznych.

Idąc na przepadłe, nie chcę otwierać oczu. POCO ON MI JE OTWIERA?

Czy dlatego, aby ból uczynić nieznośniejszym?

Czy dlatego, aby zeń drwić?

Wtem, jak meteor oślepiający wpadł do duszy Luci błysk nadziei:

Bodzio chce zerwać małżeństwo, upoważniony przez ordynata.

Myśl ta wydała się Luci jedynie motywującą postępowanie Bodzia. Nie śmiała wyjawić jej głośno, tchu zabrakło piersiom dziewczyny. Bohdan, odgadnięty już, zmałał w pojęciu baronówny. Stał się nędznym pośrednikiem ordynata; ordynat — tchórzem, ukrywającym się za plecami kuzyna.

Obaj spodleli w wyobraźni Luci, a ponad nimi wykwitła delikatna płonka współczucia dla Brochwicza. On posiadał chwilowo wszystkie uderzenia serca Luci, całą jej dobroć i uznanie. On był ofiarą spisku Michorowskich. Narzeczona zaprażyła być mu wierną. Szyderstwem chciała zasypać Bohdana. Dać mu odczuć swą pogardę. Śmiech pełzał po nerwach, drażnił dziewczynę. Za chwilę wybuchnie okropny, zły i... nieszczery.

Bodzio uprzedził go; ściskając Luci ręce, rzekł głosem miękkim, ale stanowczo, jak gdyby stwierdzając fakt.

— Nie kochasz Brochwicza...

— Nie kocham! — odrzekła jak echo.

— Więc popełniasz... niegodziwość. I to z powodu zranionej ambicji; przez upór i znęcanie się nad sobą; rozmyślne, bezlitośne znęcanie się.

Milczała, cała drżąca. Sugestjonował ją władzą niepojętą, niweczył jej wolę.

Bohdan mówił nieubłaganie:

— Z rozpaczy można się zabić, ale nie wychodzić za mąż. To nie zabójstwo, to tylko kalectwo na całe życie. Luciu, ty ordynata nie kochasz.

Wstrząsnęła się.

W jej głosie zabrzmiały gniew, zdumienie niesłychane nad zuchwałością Bohdana.

Okropny wir zapanował we wszystkich uczuciach Luci. Usłyszane słowa były dla niej obelgą, raniły ją pręgierzem barbarzyńskim. Ale w jestestwie swem dziewczyna odczuwała najmocniej zawód, z powodu, że upadły jej domysły o spisku. Ordynat nie mógł się ukrywać za Bodziem, skoro ten ośmiela się profanować jej uczucia dla Waldemara przez rzucenie co do nich wątpliwości.

— Jaki ma w tem cel? — pomyślała. — Co to wszystko znaczy? Czego oni od niej chcą?

Niepewność i lęk wewnętrzny odmalowały się na twarzy Luci. Chłód wystąpił z równą siłą. Popatrzała prosto w oczy Bohdana i rzekła bezdźwięcznie:

— Nie rozumiem ciebie! Czyś ty nieprzytomny, czy ja?

— Luciu, posłuchaj mnie...

— Powiedz, co twoje słowa znaczyły! — przerwała mu nerwowo.

— Moje słowa?... Mówiły prawdę: ordynata nie kochałaś i nie kochasz.

Baronówna powstała z fotela.

— Dosyć! — przerwała. — Żegnam ciebie. Jesteś dziecinny... i śmieszny.

Prędko wyszła z pokoju.

Bohdan słyszał jej uśmiech, nienaturalny, krztuszający się nienawiścią dla niego, drapieżny, a pełen żalu.

Jad, wszczepiony słowami Bodzia, wsiąkał do duszy Luci i zaczynał powoli działać.

XLVI.

Lucia całą noc przemęczyła się rozterką duchową. Trapiła ją walka z porywami zagadnień wewnętrznych, z szeptem buntowniczym sumienia. Gwałt, zadany sercu, mścił się już w przede-

dniu spełnionego faktu. Małżeństwo swe widziała jako rzecz konieczną, ale pragnienie zerwania go świtało w tajemnicy nawet przed tą cząstką duszy, z której się poczęło. Ogarnęła Lucię mętna abstrakcja, i pytania, obłądne pytania:

— Co robić?...

Jak pozbyć się ciasnych pęt, będących dotychczas tylko nieprzyjaznemi, dziś już nienawistnemi?

Jeśli się zaś ich pozbędzie: gdzież ratunek i jaki?

Pozostać z dawnym ciężarem w duszy, ale już bez nowego i stokroć cięższego.

Brzemienia niedoli nie zwiększać, dźwigać nędzę moralną, ale bez gorzkich wyrzutów, bez grzechu samobójstwa.

Bohdan — to duch opatrnościowy, który jej podaje ręce, aby wynieść z odmetu. Nie odtrącać ich! Dobrowolnie usunąć zaporę, jak się ją dobrowolnie nasunęło. Zamknąć otwarty grób, bez siebie.

Ale czy można zabijać tamtego człowieka dla pobudek egoistycznych?... Czy ta bezwzględność popelniona nad Brochwiczem nie byłaby większą od zadania kłamu uczuciom własnym?...

Czy uczciwość pozwala na wydzieranie szczęścia z serca, które kocha? Gdzież wreszcie jest uczciwość: czy w szczerzej prawdzie, wypowiedzianej bez obłudy, czy we współczuciu dla czyjejś miłości?...

Lucia pragnęła rozcząstkować swe serce, aby ujrzeć zagadkę wyjaśnioną, i prawą drogę do czynu.

Dusiła się w atmosferze zwątpień.

Przed Bodziem czuła lęk, ale go nie unikała. On był natarczywy. Rozmawiali z sobą całymi godzinami. On ją przekonywał, ona się broniła.

Jej stan dziwny, gorączkowy, niepokoił księżnę, zastanawiał Brochwicza i drażnił go. Knuło się w jego duszy podejrzenie mętne, że Bohdan jest początkiem jego epilogu.

Po paru dniach Lucia szukała rozmów z Bodziem. Jego szczerłość i sąd bezwzględny napawały baronównę otuchą. Gniewał ją, męczył, ale przekonywał każdym słowem. Nie przyznawała się do tego nawet przed sobą, ale Bohdan czynił w niej wyłom wyraźny. Przejrzała, że poświęcić siebie Brochwiczowi nie potrafi. Miała wrażenie, jakby wróg, czyhający na nią oddawna, stracił jej ślad, bo się już ukryła za niezwalczoną moc wahania, które przeważało na jej stronę i było groźniejsze od wielu skry-

stalizowanych postanowień. Znalazła się w przestrzeni, brzemiennej w najważniejsze wypadki swego życia. Czuła to i drżała z lęku, z egzaltacji, unoszącej ją na rozdroża. Ordynat majaczył z oddali, jak oaza ginąca wśród nowych wód, Brochwicz rysował się nikłym wzorem, chociaż go codzien widywała. Tonął w chaosie nowych pojęć, które osnuły Lucię z władzą hypnotyczną.

Wypukło odbitym w jej wyobraźni był tylko Bohdan. Działał na nią tyranicznie, denerwował często swoją argumentacją, miazdżył jej wolę, stawiał motywy miarodajne.

Lucia, podniecona bardzo już bliskim dniem ślubu, pełna kolizji, chwytła się rozpaczliwie dowodzeń Bohdana i łaknęła rozwiązania zagadki, bez uwagi na to wszystko, co ją przedtem wstrzymywało. Michorowski mówił do niej coraz śmieiej, odczuwał swoją przewagę, stał się arbitralnym. Lucia błdziła w domysłach, co Bohdanem powoduje. Głównie tłumaczył jej, że ona nie może wychodzić za Brochwicza, ponieważ go nie kocha i że nie kochała również ordynata miłością wyłączną kobiety do mężczyzny, jedynie czciła go i wielbiła w nim ideał wymarzony.

Lucia zdumiewała się często trafnością spostrzeżeń Bodzia i w skrytości duszy przyznawała im słusność. Wpadła w rebus z własnem sumieniem. Rozmawiali raz szczególnie gorączkowo. Lucia była zdecydowana co do Brochwicza, ale wyrzucała Bohdanowi krzywdę, jaką czynił, niweczając jej wiarę w miłość dla Waldemara.

-- Nie znasz mojej psychologii — rzekła z pasją.

— Owszem, Luciu. Twoją psychologję poznałem — i powtarzam: nie kochałaś go miłością prawdziwą, głęboką i tą jedyną, tą wielką! Szalałaś za nim od lat dziecinnych, potęgowałaś w sobie ten szal z lubością, żyłaś w sferze egzaltacji i uwielbienia dla ordynata. Wieńczyłaś go, jako człowieka szerokich idei społecznych, jako wzór człowieka, godnego najwyższego szacunku i miłowania. Lecz to jeszcze nie miłość pełna i święta.

-- Bohdanie! zmiłuj się; nie profanuj ołtarza, na którym tyle lat... składam ofiary z mego serca, z duszy...

— A teraz sama ten ołtarz burzysz — przerwał Bodzio z gorącością. — Ach! Luciu, czy ty rozumiesz, co popełniasz? Kilka lat marzyłaś o Waldemarze.

— Kochałam go.

— Nie, marzyłaś tylko. W marzeniach dziecinnych, potem w dziewiczych, idealizowałaś go stale, aż stał się gienjuszem twym.

Zareczyłaś się z Brochwiczem dlatego, aby pobudzić ordynata do czynów stanowczych.

Lucia spuściła oczy, usta jej drżały.

— Co i kiedy między wami zaszło, nie wiem, ale sędzę, że w Głębowiczach na jesieni przekonałaś się, że ordynat... nigdy ciebie nie kochał. Odgadłem to po tobie i po wuju. Cierpiałem, bo chciałem dla was szczęścia. Ale cierpiałem stokroć więcej po otrzymaniu zawiadomienia o twym fatalnym ślubie. To mnie zdecydowało; moje zamiary stały się już niewzruszone. Jestem — i nie pozwalam! Brochwicza nie zaślubisz.

— Drażnisz mię, mój drogi! Proszę, abyś nie interesował się mną. Co robię, to robię z rozmysłem.

— Ale ratunku pragniesz — rzekł Bodzio.

Lucia zrozumiała, że się wikła niepotrzebnie. Lęk się wzmógł,

— Czekalaś ocalenia. Lecz kto cię miał ratować?

— Nikt do tego nie ma prawa! — wybuchnęła nieszczerze ale z rozpaczą.

Bohdan chwycił ją za dłonie, rozpalone jak płomienie.

— Ja mam prawo i wyzyskam je — rzekł z energją.

— Jakie... prawo?

— Bo cię kocham!

— Ty... mnie?!

— Tak.

Patrzyli na siebie prawie bez tchu. Bodzio był zmieszany i wzruszony. Fale uczuć przelatywały przez jego twarz szczupłą, lecz męską.

— Czy to litość, czy sposób na zatrzymanie mnie od... fałszywego kroku? — spytała Lucia cała drżąca.

Michorowski ręce jej ucałował. Głos mu się gwał, gdy zaczął mówić:

— Luciu, wybac mi nagłość wyznania. Kochałem cię od dawna, lecz nie było to jeszcze uczucie uwypuklone; nie pojmo- wałem sam siebie. Szczęście, któreś widziała w małżeństwie z ordynatem, chciałem ci uczynić realnem. Cierpiałem, że się łudzisz, ubolewałem nad tobą i nad nim. Bo widzisz — Waldemar Stefcie kochał prawdziwie, to była miłość wyjątkowa i trwała. Pozostała świętą. Ty tak nie kochałaś. Prawda?...

Lucia zaczęła mrugać powiekami.

W duszy jej coś się łamało, coś zapadało w przestrzeń, z której spływał ciepły strumień ukojenia. Otucha wielka; nadzieja

wszechwładna zakwitła nagle, owiała ją przepięknym ogniem szczęścia, nie pojętego jeszcze, lecz już świtającego.

Szczęścia, że ocalenie przyszło.

Szczęścia, że kwiat życia nie zwiędł, ale może się rozwinąć.

Szczęścia, że przestraszająca ją mara nędzy przyszłego bytowania nicości moralnej runęła zabita odwagą Bohdana.

Bodzio Luci imponował. Poddała się pod jego władzę; w sercu jej wdzięczność dla niego rosła w uwielbienie.

On ją zaprowadził na kanapkę pod kwitnący rododendron, siedział obok niej i milczał. Odczuwał chwilę przełomową, której się w niej domyślał. Może i sam siebie badał do głębi, ale wyznania nie żałował.

Minęła długa godzina, zanim Lucia ocknęła się z oszołomienia, z burzy wzruszeń zwichrzonych, słodkich i niepokojących, z targaniny wahań, z nadziei promiennych, z odmetu poróżnionych z sobą wyrzutów gorzkich i pragnień jaśniejszego istnienia.

Bohdan zbudził ją zapytaniem:

— Luciu, nie dałaś mi odpowiedzi. Powiedz: czy nie odnajdujesz różnicy pomiędzy miłością Waldemara dla Stefcia a swoim dlań uczuciem.

Lucia spojrzała mu śmiało w oczy.

— Tak, on kochał inaczej. Ale i ja kochałam! Nie mówmy już o tem. Ty, Bodziu, również nie wyjaśniłeś mi... swego wyznania.

Bohdan się zarumienił.

— Przysięgam ci, że jechałem tu, powodowany tylko uczuciem brata, dążącego na ratunek siostry. Gdy ujrzałem ciebie, przemówiła w mem sercu miłość, tłumiona dotychczas usilnie i... nierozwijana. Kocham cię, Luciu, ale chcę cię ocalić nie z powodu osobistych pragnień. Rządź rozumną i z Brochwiczem zerwij. Szkoda i ciebie i jego.

Lucia załamała dłonie.

— Jak on to zniesie, jak mu to powiem! Jednak już to... konieczne.

XLVII.

Hrabia Brochwicz oczekiwał ślubu z niecierpliwością.

Pewnego dnia do gabinetu jego, gdy hrabia wybierał się odwiedzić narzeczoną, wszedł niespodziewanie kamerdyner księżnej

Podhoreckiej i wręczył mu list wraz z paczką. Szepnął tajemniczo.

— Jaśnie panie hrabio, u nas stało się jakieś nieszczęście.

— Co się stało? Mów.

— Coś jest źle z naszą panienką, i to od przyjazdu młodego pana Michorowskiego.

Brochwiczem wstrząsnął dreszcz nieprzyjemny. On wiedział najlepiej, że z Lucią dzieje się coś, co mu rozwieje szczęście.

Kamerdyner mówił dalej.

— Baronówna często rozmawia z panem Bohdanem, a potem płacze i po całych nocach nie sypia.

— Dobrze, dobrze; dosyć! — z niesłychanym rozdrażnieniem rzekł Brochwicz.

Po wyjściu służącego Jerzy przeczytał list. Z dołączonego pudełeczka wypadł zaręczynowy pierścionek Luci. Brochwicz spodziewał się tego; jednakże wrażenie, jakiego doznał, było ogromne i rujnujące jego istotę. Dusza jego żalosna, zmordowana tyloletnią męką, została ostatecznie zmiażdżoną nieszczęściem.

Jerzy patrzył na pierścionek, i powoli zgnębienie mijało, ustępując miejsca nienawiści. Pytania skłębiły się, ale nie umiał na nie odpowiadać.

Dlaczego Lucia zrywa prawie w ostatniej chwili? Skąd wyłoniła się w niej ta walka, która zmogła jej postanowienie?...

Już była zdecydowaną na życie z nim, wierzyła w przyszłość i jemu pozwalała mieć nadzieję. A teraz suche słowa:

„Musimy się rozstać, bo szczęście nie dla nas. Przejrzałam, i brak mi odwagi do zaślubienia pana. Lepiej, że przecierpimy wspólnie, niż gdybym pana i siebie oszukiwała. Chcę być uczciwą.“

Brochwicz zrozumiał, co przyczyniło się do zerwania.

To obecność Bohdana.

Wściekłość ogarnęła duszę Jerzego.

Uczuł się zdeptanym, upokorzonym. Gdybyż tylko przez Lucię, ale tu winnym był głównie Bohdan! On, jak szatan-kusiciel, zjawił się tu niespodziewanie i siłą jakąś niezwykłą wywarł na niej wpływ, wydzierając mu szczęście.

Brochwiczowi, tak samo jak Luci, przyszedł na myśl ordynat, działający przez Bohdana. Ten podstęp, niegodny Waldemara, rozgoryczył Jerzego, zbudził w nim gniew szalony. Ale Brochwicz miał świadomość, że Luci już nie odzyska. Na razie egoizm prze-

ważył, hrabia myślał o zemście za swoją porażkę, nie troszczył się o psychologię duszy Luci i o jej los, siebie tylko widział, swoją odczuwał nędzę. Luci złorzeczył. Lecz przede wszystkim chciał prawdy. Co zaszło?

Jerzy, jak konający, ujrzał w wyobraźni cały szereg lat, zawierających w sobie miłość nieszczęsną dla Luci. Tyle starań daremnych, tyle walk i udręki wewnętrznej, tyle rojeń słodkich, które oto już spełnić się miały. Wszystko zostało mirażem...

Marzenie, doprowadzone do progu szczęśliwości bezmiernej, okazało się złudą okropną. Gorzki fakt zajął miejsce nadziei, pielęgnowanej troskliwie. Ironja szydziła i nasuwała potworne myśli, ukazujące zdarzenia minione w całej ich nagości. To, co wydawało się dawniej w barwach pastelowych, dziś było bezczelnie kolorowe. Brochwicz widział swe uczucia bez obłon. Zdało mu się, że kocha Lucię miłością bardziej duchową, że przede wszystkim pragnie jej szczęścia. Uczucie to się wzmogło, gdy została jego narzeczoną. Bliskość małżeństwa pobudziła altruizm duchowy, widzenia własnego szczęścia spowodowało hojność niesłychaną, lecz bez określonych granic.

A teraz wszystko to umarło! Pozostała zawiść, że ukochana kobieta jest mu odebrana, że posiadzie ją ktoś inny. Instykt zwierzęcy pędził do zemsty.

Zemsta powinna być wywarta na tym, kto go Luci pozbawił.

— Ale kto jest nim?...

Pozornie Bohdan, i on będzie odpowiadał. Jeśli poza nim jest zrećźnie ukryty ordynat, to i on winien ponieść karę.

Brochwicz zdławił rozpacz i postanowił działać.

Zaczął szukać sposobności zobaczenia się z Bohdanem na gruncie neutralnym. Wiedział, gdzie szukać Michorowskiego, i tegoż dnia spotkał go w jednej z sal Louwru.

Bohdan, ujrzawszy Brochwicza, zdziwił się, ale podszedł i wyciągnął rękę z powitaniem.

Hrabia cofnął swoją dłoń.

Michorowski zapłonął.

— Chce ze mną awantury — pomyślał.

Patrzyli na siebie przez chwilę.

Wreszcie Bodzio przemówił:

— Wiem, jaki jest powód pańskiego zachowania się, i dlatego wybaczam je hrabiemu. Gorycz bywa tak silną, że skłania nawet do niegrzeczności.

— Więc pan sądzi, że ja popełniam tylko niegrzeczność i że nie podaję panu ręki bez powodu? — spytał Brochwicz głosem wprost policzkującym.

— Tak. Hrabia powinien być trzeźwiejszym i nie szafować obelgą bez racji.

Jerzy się zdumiał. Pewność siebie Bohdana zaniepokoiła go.

— Pan intrygami swemi zerwał moje małżeństwo!

— Owszem, skłoniłem do tego baronównę. Przekonałem ją, że popełnia czyn bardzo ryzykowny i nierozważny.

— Jakie pan miał do tego prawo!? — w uniesieniu zawołał Brochwicz.

— Prawo uczciwości.

— Czy pan działał za siebie... czy za kogoś.

— Wyłącznie z własnej inicjatywy.

— Więc jak mam pana nazwać?... — wybuchnął Jerzy.

— Hrabio, proszę się uspokoić. Ja was oboje ocaliłem. Wchodziliście w nieszczęście bez zastanowienia. Lucia pana nigdy nie kochała i nie kocha. Nie mogło się stać to, do czegoście dążyli.

— I pan zostałeś aniołem stróżem Luci, pasterzem jej i mojej moralności. Zbytek łaski! Interwencja pańska jest nikczemną i śmieszną.

Bodzio panował nad sobą, ale czuł, że się wyczerpuje.

Jesteś hrabio niesprawiedliwy i nadużywasz mej pobłażliwości dla swego rozdrażnienia. Powtarzam, że wasze małżeństwo dojść do skutku nie mogło. Chciałem ratować kuzynkę od tej toni, i celu dopiąłem. Czuję się w zupełnej zgodzie z własnym honorem i sumieniem. Hrabia wiedział, że narzeczona nie kocha go i pomimo to nie wahał się zakuwać ją w związek dla niej tragiczny. A zatem, kto z nas więcej pragnął szczęścia dla Luci?...

Brochwicz miał w sercu przerażenie, grozę. Ale gniew przemógł wszelkie inne uczucia.

— Pomimo pańskich wykrętów, czyn jego jest podłym i podstępny. Gardzę panem!

— Hrabio, proszę się liczyć ze słowami! — wykrztusił Bodzio nieswoim głosem.

— Nie liczę się z panem wcale! Cofam panu swoją dłoń i brzydzę się panem. Jesteś bezczelnym! Plugawisz nazwisko które nosisz! — krzyczał Brochwicz bez opamiętania.

Bohdan pobił straszliwie. Zrobiło mu się ciemno w oczach. Spadł na niego cios niespodziewany, bolesny, pierwszy w życiu, i ogłuszył do chwilowego zaniku myśli.

Gdy się ocknął, Brochwicza już nie było.

Zdrój krwi gorącej buchnął do mózgu Bohdana. Obrażona duma zażądała odwetu.

Bodzio wyszedł z Louwru z gotowem postanowieniem.

Cierpliwie znosił obelgi dla miłości Luci, lecz już nawet dla niej poświęcenie okazało się zbyt hańbiącym.

Szedł do swego mieszkania uspokojony, prawie wesół. Przypomniawszy sobie pierwszy pojedynek w Warszawie, i to go znowu rozdrażniło.

— Jaka różnica między tamtym a tym, który nastąpi! — myślał.

Żałował Luci i z nią razem życia. Bardzo jasno i wyraźnie odczuł teraz głęboką miłość dla niej, i cześć, i uwielbienie i współczucie nad jej losem nieszczęsnym.

— Co się z nią stanie? — pytał siebie Bodzio.

Pojedynek zmalował wobec tego pytania, które pochłaniało całą istotę młodzieńca.

— Co się stanie z Lucią?

I bez odpowiedzi, mogącej go uspokoić, Bohdan męczył się całą noc.

XLVIII.

Brochwicz chciał wyrwać z siebie tę prawdę okrutną, którą mu rzucił Michorowski. Lecz nie mógł. Gorzka wstrętą prawdą rozrosła się w jego duszy i unicestwiała ją. Następowaly myśli bardzo trzeźwe i bardzo bolesne.

— Bohdan ma słuszość! Ona by mnie znienawidziła. Ona mną gardzi, tamtego ceni jako swego wybawiciela. Bohdan postąpił z Lucią uczciwie, tylko ja chciałem ją poświęcić dla własnego egoizmu.

Jerzy poczuł w duszy ciężar, niebywały dotychczas. Wątpliwość co do siebie rosła; szacunek dla Luci i Bohdana wykwił nagle i potężnie. Hrabia myślał i walczył z sobą. Odbył spowiedź przed własną duszą, najtajniejszą myśl swoją wydobył z ukrycia i przyjrzał się jej w świetle trzeźwej analizy. Zbadał

uczucia i to było przesileniem rozpaczego gniewu. Tylko jawa nieszczęścia pozostała wciąż tak samo straszną.

Brochwicz ujrzał pustkę przed sobą, pustkę życiową, niby marę, włóczącą się za nim bezlitośnie. I zatrząsał nim dreszcz przerażenia, bo oto zrozumiał, że w tę pustynię bez oazy, iść musi samotny, z duszą zranioną, z sercem krwawem.

Hrabia odczuwał płacz wewnętrzny, rozrywający mu klatkę piersiową, lecz łzami nie płakał. Oczy były suche, ponure.

— Bohdan zwyciężył! — myślał hrabia bez przerwy.

Jaką tamten ma przewagę w pojęciu Luci, o ile wyżej ona go cenić może od tego, który ciągnął ją na bezdroża! Jerzy porównywał siebie z Bohdanem, ale odrazu sam sobie wydał się karykaturą.

Tamten działał na chłodno, on głównie dążył do zadowolenia swych pragnień. Ale... czy Bodzio był zupełnie obojętnym w swych uczuciach, gdy zrywał ich małżeństwo? Działał bez wiadomości ordynata — to widoczne! Czy tylko powodowany szlachetnością, czy też z powodów osobistych?

Hrabia zastanawiał się, dlaczego Bohdan, taki zapalczywy, tym razem był spokojnym. Pierwszą obelgę, gdy mu cofnięto dłoń, wytłómaczył pobłażliwie; na słowa wyzywające odpowiadał bez wybuchów; mocował się z sobą, ale potrafił utrzymać takt, którego się w nim Brochwicz nie domyślał.

Co go tak zmieniło.

Jaka siła wstrzymała go od gwałtowności, znanej u niego powszechnie?

— Jedna jest jedynie możliwą: On kocha Lucię.

Ta myśl zarysowała się odrazu jako pewnik. Zgnębiła ostatecznie Brochwicza, bo na tle swego nieszczęścia ujrzał on znowu — rywala.

A jednak żałował, że obraził Bodzia. Niepokoił się, podziwiał krew zimną młodzieńca, czynił sobie wyrzuty. Zamknięty w swym gabinecie męczył się i cierpiał, nie widząc ratunku.

Zrozumiał, że nie dość jest kobietę kochać szalenie i okazywać jej głęb swych uczuć, nie dość jest miłować duchem i pożądać zmysłami, ale trzeba posiadać tę moc wyłączną, odrębną siłę psychologiczną, którą zniewala kobietę do wzajemności. Trzeba umieć otoczyć ukochaną siecią swej przewagi, delikatną i subtelną, ale trwałą nie ulegającą zniszczeniu. Trzeba z ostrożnością niesłychaną odróżnić despotyzm od tej odmiennej formy despotycznej, mającej władzę bóstwa, a wytworność i barwę storczyka.

Nie żebrać miłości, ale brać ją stanowczo jako swoją własność. Iść do celu bez wahań, bez skrupułów, lecz krokiem śmiałym, druzgocącym wszystko po drodze.

Michorowski szedł z taką właśnie zuchwałością życiową, wszystko rzucił na szalę jednym zamachem i... wygrał.

Lucia odczuła przewagę Bohdana, łamiącą bezwzględnie jej niepewność.

Brochwicz rozmyślał, czasem ze spokojem dziwnym, czasem — do głębi wzburzony.

Powtarzał sobie, że świat i życie ludzkie to blaga, obłuda i wielka fatamorgana. Optymizm, zwykły towarzysz młodości, gdy zanika, zostawia po sobie w istocie człowieka martwotę i niechęć zupełną. Wszystko jest fałszem, to podstawa świata.

Świat jest jak teatr; odgrywają się w nim tragedje, dramaty, najczęściej i komedje, zmieniają się aktorzy, dekoracje, lecz treść główna i scena pozostają te same. Treść oparta na wiecznym, subtelnem lub ordynarnem oszukiwaniu siebie.

— Mówią: kochać — to żyć! Paradoks.

— Kochać — to morfina; bez niej zamiera się, a nią się zatrzuwa.

Kochać z wzajemnością, to szczęście wielkie, to odurzenie narkotyczne.

Kochać bez wzajemności, to trąd, śmierć, to gorsze od śmierci. Ale kochać i bez wzajemności i bez jednego atomu nadziei to powolna okrutna agonja.

Zazdrość szarpała Brochwiczem. Zabiorą mu Lucię... I kto ją zabierze? Gdybyż umarła. Gdybyż nikt nie miał prawa do niej!

Egoizm i mściwość podniecały się w duszy Jerzego. Ale zastanowienie przemawiało ciszej wprawdzie, lecz samowolniej.

Brochwicz zmagał się z sobą.

Wieczorem oznajmiono mu nadejście dwóch panów. Nazwiska ich objaśniły Jerzego.

Sekundanci Bohdana pomyślał.

Odetchnął swobodnie, lecz zanim wyszedł do salonu, gdzie go oczekiwano, przebył z sobą krótką, ale straszną walkę. To, co miał uczynić, pruć mu żyły. Zatałkował krzyk protestu, wyrywający się z wyżyn ambicji, i wyszedł do sekundantów zimny, poważny. Był zwycięzcą... lecz samego siebie.

Przyjaciele Bohdana zrozumieli inaczej. Postawa Brochwicza wydała się im groźną.

Podyktuje ostre warunki — pomyśleli jednocześnie.

Po zmianie ukłonów, starszy z panów wyjawiał cel ich wizyty. Hrabia słuchał bez wrażenia i milczał.

Sekundanci spoglądali na siebie porozumiewawczo, nie rozumując zachowania się wyzwanego.

Nagle Brochwicz rzekł głosem stanowczym, ale zupełnie odmiennym niż zwykle.

— Ja z panem Michorowskim pojedynkować się nie będę.

Sekundanci się zdziwili.

— Jakto?! Hrabia odmawia pojedynku, będąc wyzwanym?

— spytał jeden ze świadków Bohdana.

— Tak odmawiam zadośćuczynienia z bronią w ręku.

— Hrabio! Jaki pan ma powód?!...

Brochwicz spojrział im śmiało w oczy, wzrokiem jasnym, prawym.

— Panowie! — przemówił dobitnie. — Obraziłem pana Michorowskiego bardzo poważnie i z rozmysłem. On był wyrozumiałym, ja zaś niesprawiedliwym. Cisnąłem mu obelgę niesłusznie, prawda jest po jego stronie.

Świadkowie mieli miny niesłychanie zdumione.

Jerzy, głosem złamanym ciągnął dalej.

— Proszę panów zawiadomić pana Michorowskiego, że gotów jestem przeprosić go, gdyż uznaję się winnym. Jeśli wówczas zechce on pojedynku, będę do usług. Żegnam panów.

Hrabia cofnął się do gabinetu.

Miał wrażenie, że zdmuchnął ostatni płomyk w świątyni, w której królowała Lucia, owiana dymem tajemniczym uludy.

Buchały mu w mózgu wulkany, ziejące ogniem i lawą rozpaloną. Coraz więcej ich przybywało i coraz wścieklejszych. Jerzy pragnął śmierci, lecz nie z ręki Bohdana, nie w pojedynku o Lucię. Tęsknił za czymś, co mu dać może zapomnienie.

W parę godzin potem, kiedy Brochwicz drażnił się już brakiem wiadomości od Michorowskiego i miał do niego jechać, nagle Bohdan sam zjawił się przed zdumionym hrabią.

Jerzy, niezmiernie ujęty, ręce wyciągnął do Bodzia szczerze i serdecznie.

— Więc mi pan wybacza? — spytał.

— Tak, chcę abyśmy się rozstali w zgodzie bez przykrych wspomnień. Zatuszujemy je. Chciałem pana zabić, teraz pragnę zgody.

Uścisnęli się przyjaźnie.

Brochwicz chciał wyczerpać sprawę. Rzekł ze wzruszeniem:
— Drogi nasze rozchodzą się, może nazawsze — któż wie!?
Proszę pana pożegnać odemnie baronównę i księżnę. Nie mogę spełnić tego osobiście. Ale... pan mi nie odmówi ostatniego pytania. Jestem w prawie zadać je panu.

Bodzio przeczuł dalszy ciąg.

— Proszę!

Pan... kocha ją. Czy tak?!

— Kocham! — odrzekł Bohdan śmiało i dumnie.

Brochwicz zzieleniał. Żółć zalała mu krew w sercu. Rzekł cicho:

— Tylko to chciałem wiedzieć.

Pożegnali się w milczeniu.

XLIX.

Księżna Podhorecka z Lucią wracały do kraju, Bohdan im towarzyszył.

Baronówna pragnęła ciszy, zaczęła marzyć o wstąpieniu do klasztoru. Ale myśl ta była jedynie przywłaszczoną, nie zaś istotną.

Lucia chciała odrazu w Belgji pozostać w klasztorze, w którym przebywała po śmierci Stefcy Rudeckiej. Lecz oparł się temu Bodzio, i ona znowu mu uległa.

Gdy jechali we troje na dworzec kolejowy, Lucia w nerwowem podnieceniu spoglądała przez okno karety na zaśnieżone ulice Paryża.

Nareszcie rzekła bezwzględnie:

— Pozostawiam tu swoją przeszłość.

— Tak, i zapomnij o niej — odrzekł Bohdan. — Byłaś kuzynko pogrążoną w śnie przez szereg lat. Dopiero teraz otwiera się przed tobą...

— Furta klasztorna. Powinnam była dawno ją przekroczyć — wybuchnęła Lucia z dreszczem spazmatycznym.

Księżna położyła swą miękką dłoń na rękę dziewczyny.

— Wierz mi dziecko, są nieszczęśliwsi od ciebie. Są tacy, których nikt nie kocha, a jednak, idą w świat samotni i dążą do czegoś i zawsze pragną.

— I w końcu rozbijają głowę o bramę, za którą jest tylko utopja — odparła baronówna.

— Nie, bywa czasem za nią nowy horyzont i taka ogromna perspektywa, że przeszłość wydaje się malutką łączką wobec tego obszaru.

Dziewczyna uważnie sięgnęła wzrokiem do oczu księżnej, jakby chcąc wywlec z niej duszę.

— Mnie już taka... niespodzianka nie czeka — rzekła ponuro.

— Ach dziecko moje! Jesteś tylko widzem swego życia i krytykiem jego, ale nie autorem. Możesz się domyślać epilogu, lecz go nie znasz. Los, to twórca gienjalny, dowcipny, i często złośliwy. A ja ci mówię, że bywają epilogi o większej wartości, niż najpiękniejszy prolog. Ostatnie słowo w danym dziele czasem staje się pierwszym w nieznannej nam sztuce, będącej w przestrzeni. Tylko nikt się tego nie domyśla.

— Więc babcia sądzi, że ja...

Lucia spotkała palący wzrok Bohdana i zająknęła się.

— Sądzę — odrzekła księżna — że to wszystko, coś przeżyła, jest pierwszą i małą częścią dużego tomu. I jeszcze, nie byłaś dotychczas w pełnym świetle. Otaczały cię roje świetlików, chodziłaś w ich smudze tęczowej, ale migocącej, nie umiejscowionej. One zagasły; przed tobą wschód słońca! Zaślepiąca ułudnymi błyskami, nie odrazu ujrzysz tę nową, odmienną i prawdziwą jasność. Gdy ją zoczysz wówczas odczujesz moc ducha i powiesz sobie: Idę w życie. To będzie dopiero twojem odrodzeniem.

Lucia zamyślona, zaszuchana, nie spostrzegła się, że łzy wielkie spadły z jej oczu, i że Bohdan patrzył na nie chciwie a łagodnie, jak słońce na rosę kwiatu. Rzewność miał w źrenicach i powagę i myśl głęboką. Lucia wiedzona czułością, rzadką u niej, pochyliła się i ucałowała rękę księżnej, jednocześnie Bohdan zrobił to samo. Głowy ich się zetknęły; w ślad zatem spotkały się oczy.

Lucia ujrzała w nich tyle uczuć, tyle promieni, sypiących się kaskadą, że z dreszczem trwogi spuściła powieki. Oczy Bohdana były dopełnieniem słów księżnej.

— Oto wschód! — mignęła myśl nagła.

Lucia przestraszyła się jej, jakby objawienia niezmiernego. Dojechali do dworca.

Baronówna zmierzała już do wagonu, gdy w tem stanęła. Ukrop krwi wartkiej oblał ją całą.

Ujrzała Brochwicza tuż przed sobą.

Patrzył na nią prawie przerażony.

Żal, współczucie odezwały się w niej.

Wyciągnęła rękę do hrabiego.

— Żegnamy się. Wszak prawda? — szepnęła z uczuciem.

Uścisnął jej dłoń w milczeniu.

— Czy i pan wyjeżdża?

— Tak.

— Dokąd?

Jerzym zatrząsł gniew. Chciał odejść, ale się przemógł i odparł spokojnie:

— W przestrzeń nieznaną.

Lucia rozjaśniła się, jakby po cieniu padła na nią smuga świetlista.

— Ja także! Więc może i pan znajdzie... wschód? Nowy, odmienny, prawdziwy wschód!

Mocno ścisnęła palce Brochwicza i prędko wbiegła do wagonu.

Hrabia ścigał oczyma znikający pociąg, który unosił Lucię; wyteżał wzrok, by do ostatka nie stracić ani jednego szczegółu, ani jednego ruchu uciekającej masy wagonów. Krwawa łuna rozlała się w źrenicach Jerzego, i przez nią widział szczątki swego snu.

Gdyby nie przytomność umysłu, Jerzy rozdarłby piersi swoje i pokazał pustkę w nich — czarną jamę, wyżłobioną przez gorycz, przez rozpacz, przez zawód bolesny.

— Ona mi na końcu o wschodzie mówiła — myślał błędnie.

— Jaki wschód? Czy dla niej świta?...

— Wschód dla mnie... Ha, ha!

Brochwicz zapragnął nagle ruchu, gwaru. Ujrzał w wyobraźni morza, oceany, góry lodowe, skały nieprzebyte. Usłyszał ryk balwanów, zgrzyt wichru o maszty, trzask, łomot lodowców.

W podróż! W podróż!

Uczuł szaloną wolę, konieczność podróżowania.

W przestrzeń! do...

— Wschodu — szepnął głos Luci.

Nie! W przestrzeń do ukojenia.

L.

Matka-ziemia, odmłodzona i pachnąca, wyszła już z kąpieli wiosennej. Spłynęły z niej brudne strugi wód, znikły kałuże i zwinne potoki. Przyroda wychlustuje ze swej wanny resztki zapienionych mydlin. Czystą, ożywczą wodą deszczów płucze ziemię i namaszcza ją wonnościami.

Są cudne.

Pachną żywiczne soki sosen i świerków. Brzozy rozmarzone ronią woń subtelną, lecz odurzającą. Już i źródła okadzają się pachnidłami i leśne grzęzawiska-moczary. Rozkołysany zew ziemi, twórczy podzwon rodzicielki wzmaga się i gotuje wszystko do uroczystości kwitnienia.

Zaczęły się próby. Wytworne zapachy uderzyły w powietrze.

Sypią się kwiaty białe, modre i żółte.

Pękają pączki drzew.

Radość urodziła się słoneczna i pływa w przestrzeni.

Niebo i ziemia wznoszą hymn.

Ono lazuruje jak toń Adrjatyku, ona cała kwiecista. Niebo żeni się z ziemią; odprawia swe gody hucznie ze śpiewanym chórow ptasich, z dzwoniem owadów, z kipiącą potęgą rośno-rostu.

Poróżwiały nasiąknięte sokiem lipy. Tu i tam buja biały motyl.

Poranek roku zaświtał przecudny.

Uczucia nagromadzone szczerze rosną z każdą chwilą. Uczucia, duchem poczęte, więc przeogromne, trawiące wszystko.

Zda się, że na ziemię zstąpiło serce. Wielkie serce miłowania. I tuli ziemię, pieści, jak ojciec stęsknione dziecię. Serce przygarnia do siebie wszechistność, łączy twory ziemi w rodzinę jedną, zespoloną szczęściem. Wchodzi do dusz roślin, stworzeń wszelakich i do dusz ludzkich.

A gdzie wstąpi — rosną skrzydła.

A gdzie zajrzy — promień się budzi.

I śpiew upoisty, wyrwany rozkoszą z piersi brzmi dziękczynieniem.

Nadzieja wzbogaca się, otucha stroi w złotolite szaty. Rany goją się łatwiej; krzywdy maleją; cierpienia przekwitają lub schną.

Bo serce wszechbytu, serce rozpalone miłością, serce z wiosną nadeszłe, balsam kojący kładzie do duszy, kropi płynem czarodziejskim wiary, i natchnienia.

Wszystko głębiej czuje, bujniej myśli.

Wszystko się kocha. Tylko jeszcze nie staje na ślubnym kobiercu, jeszcze nie osiąga najwyższej ekstazy. Zaledwo początek niezmiernego piękna — a już zachwyca.

Idzie rozkosz, idzie! Podwaja swój pęd; rozkosz dla ducha, dla serc upojenie.

Lucia Elzonowska witała wiosnę w Obronnem. Mieszkała tu od powrotu z Paryża, będąc pod opieką księżnej Podhoreckiej.

Trzy miesiące, przebyte w cichym pałacu, pozostawiły na Luci ślad wybitny. Uspokoila się pozornie, w rzeczywistości jednak walki wewnętrzne nie ustały, tylko były już inne, niż przedtem.

Lucia w pierwszych czasach powrotu swego z zagranicy, spotykała ordynata z pewnym wstydem. Ale widząc jego zadowolenie z powodu zerwania małżeństwa, odczuwając jego serdeczność dla siebie, pozbyła się fałszywego uczucia. Wróciła jej dawno zaginiona swoboda w obcowaniu z Waldemarem; była mu siostrą i spostrzegała z ulgą niezmierną, że gwałtowne przejścia duchowe w Paryżu unicestwiły jej miłość. Uwielbienie, cześć dla ordynata nie uległy zmianie, ale teraz dziewczyna już umiała nazwać te uczucia po imieniu.

Widywali się dość często, stosunek ich z dniem każdym stawał się naturalniejszym. Częściej jednakże Lucia przebywała z Bohdanem, który kończył praktykę w Głębowiczach przed wyjazdem na posadę do Biało-Czerkas.

Rozmowy Luci z Bodziem były wyczerpujące dla niej, ale ich pragnęła. Jego śmiałość poglądów brała Lucię w swe jarzmo, nakazując jej mimowolne poddaństwo.

Bohdan humorem swoim rozbawił ją, nadał inny kierunek jej myślom, łagodził jej duszę, powracającą do zdrowia. O miłości swej nie mówił.

Bawili się z sobą jak dzieci, razem odbywali spacer, razem czytali i grali w bilard. Szukali się wzajemnie.

Gdy śniegi stopniały, Lucia i Bohdan lubili zrywać pierwiosnki po mokrych gajach w Obronnem.

On opowiadał jej wiele ciekawych szczegółów ze swego życia przed poznaniem ordynata. Drażnił ją wybrykami dowcipów i czasem łobuzerską brawurą w obejściu. Sprzeczki ich bywały częste i nieraz w tonie ostrym. Oburzenia Luci chłopak dowcipnie wyśmiewał, krytykował pewne jej poglądy, był albo subtelnym, jak rzeźbiarz kamei, lub też nawet szorstkim. Lucia nigdy nie

mogła być pewną, jak skończy się ich rozmowa, jak go pożegna po najlepszym powitaniu. Nie zdołała zgłębić jego natury. Zainteresowała się, gorączkowała i wciąż spotykały ją niespodzianki.

Bohdan opowiedział Luci epizod z Burgu wiedeńskiego; swój zapal do arcyksiężniczki odmalował szczerze, ale go trochę mocniej oświetlił.

Lucię to wyznanie rozgniewało. Nadała się, nie chciała słuchać poetycznych opisów o arcyksiężniczce, która w słowach Bohdana wyrosła na zaczarowaną królową z bajki. Gdy Bodzio spytał Lucię, co ją tak gniewa, odrzekła chmurnie:

— Sądziłam, że Don-Juanem nigdy nie byłeś.

— Owszem! Ojej! I jakim jeszcze! Marja Beatrycza to taka duchowa słabostka... Miewałem szaty innego rodzaju. Pamiętasz w Warszawie pojedynek mój o jakąś tam diwę z baletu? No, przedtem była słodka Anni. Z jej objęć wpadłem w uścisk rulety. Maluczko — a nie ujrzelibyście mnie, ale, wedle pojęć księżnej-babki, ten mój pozorny finał był właśnie uwerturą mego życia.

Baronówna nie lubiła takich zwierzeń.

Księżna cieszyła się, patrząc na Lucię jakby odmłodzoną. Staruszka przeczuła, co dzieje się w sercu dziewczyny, ale była dyskretną. Bohdana księżna lubiła, ujął ją sobie ocaleniem Luci od związku z Brochwiczem. Ceniła młodzieńca, że potrafił złamać jej upór, że umiejętnie leczył ją od cierpień przebytych, że miał nad nią wpływ dobroczynny.

Oni się zaś oboje dopełniali. Wyskoki Bodzia Lucia umiejętnie normowała; jej kaprysy Bohdan zręcznie obracał w żart; jej smutki rozpraszał, narzucał jej siebie łagodnie, lecz uparcie, tak że wkońcu ciągle był w jej myślach. Lucia staczała z sobą utarczki wewnętrzne. Nic nie pomogło: Bohdan porywał ją i podziwem karmił duszę dziewczyny.

Zaczynała się w niej budzić trwoga przed nim. Lucię ogarniał szal niepokojący, bo odczuwała w sobie nowe prądy. Nowe — a inne.

Baronówna chciała się ratować.

Wmawiała w siebie, że kocha jeszcze Waldemara. Umyślnie jeździła często do Głębowicz, gdzie mieszkał i pan Maciej; wspominała przeszłość hypnotyzując się nią natarczywie.

Lecz wszystkie te zabiegi były tylko złudzeniem ratunku. Postać Bohdana prześladowała Lucię.

Pochłaniał ją całą.

Ordynat odgadł w kuzynie miłość dla Luci i wiedział, że pozyska jej wzajemność. Nie dziwił się niczemu, tylko rozmyślał nad psychologią dziewczyny, gdyż była dla niego ciekawą.

Waldemar śledził Lucię badawczo chociaż z ostrożnością. Jej skłonność do Bohdana, wzrastająca niesłychanie szybko, zaczynała go trochę drażnić. Nie mógł sobie uświadomić plastycznie skojarzenia różnych wrażeń, które mu się nasuwały. Czuł jednocześnie: radość z powodu, że Lucia wyzwoliła się ze swej niešťczęśliwej miłości dla niego, że nowe uczucie do Bohdana już w niej kiełkuje, że teraz może być szczęśliwą i... leciuchny cień zawodu, żalu nieuchwytnego jak mgiełka, że jednak Bohdan wziął ją całą, i że ta dawna ubóstwiająca go kobieta jest już pod wpływem innego. Były to wrazenia przykre, ale lekkie i wątle, rozplynięte w ogromie dobrych, radosnych uczuć, jak niemila woń kantarydy w bujnie rozkwitłym gaju bżów. Ordynata przerażało małżeństwo Luci z Brochwiczem, ale nie stawiał energicznych przeszkód, ponieważ brakło mu w duszy tego, co posiadał Bohdan względem Luci. Nie mając ściśle określonej zasady działania, nie mógł działać. Jej zwrot do Bohdana, nie był dla ordynata nawet chwilową podniętą do zatrzymania jej przy sobie. Nigdy nie zmieniłby swej idei przewodniej, która przyczyniła się do odepchnięcia Luci, jednakże denerwowało go nieco jej odejście. Objaw ten Waldemar tłumaczył niezmiennością swoich uczuć, w przeciwstawieniu do wrażliwej natury Luci, potrzebującej oparcia. Usposobienie jej poważne, ale namiętne, śmiałe, lecz melancholijne, musiało harmonizować z gorącą i poetyczną naturą Bohdana, jak również musiało uleść jego woli i stanowczości, przewyższającej jej wolę i stanowczość.

Brochwicz utracił ją dlatego, że był pod jej władzą, Bohdan ją pozyskał, gdyż umiał wyłącznie nad nią zapanować.

Pomimo wszystkiego Waldemar obawiał się rozwiązania tej sprawy. Nowe zawody Luci byłyby dla niego ciosem, nie przewidywał ich, ale przeczuleniem nerwowem lękał się nawet myśli o nich. Lucię miał zawsze trochę na sumieniu. Niepewna przyszłość jej dręczyła go.

Ten sam powód smutkiem przenikał starczą duszę pana Macieja.

LI.

Na rzece głębowickiej burzyły się fale wiosenne, roznosząc dokoła huk i zapach wilgotnej piany. Woda błękitno-zielona, trochę mętna, najeżona białymi grzywami bałwanów, waliła szerokiemi korytem w wirach i skrętach rycząc, jakby się w jej głębinach odbywały orgje wodników z najadami. Gdy fale płynęły spokojnie, z szumem i bełkotem jednostajnym a melodyjnym, z toni wydobywały się jakieś głosy przedziwne, niby szepty miłosne, niby westchnienia i zaklęcia. I niby śpiew syreny biegł wówczas po nurtach pełen słodczy, ponętnych obietnic.

Najpiękniejsze załomy i najgłębsza ton na rzece, były pomiędzy parkiem i zwierzyńcem głębowickim. Tam, zdobyły wodę z obu stron olbrzymie masy drzew, które daleko rzucały swój cień głęboki, drgający. Gdy ściany te niebotyczne zazieleniły się, rzeka płynęła jak w przepaścistym parowie wśród boru. Ptactwo wodne zaczynało się już gromadzić i kwilić. Zjawily się białoskrzydłe mewy i dumne ze swej urody perkozy.

Bohdan Michorowski nie straszył ptaków płynąc w wąskiej łodzi i prawie nie poruszając wiosłami. Codziennie, o ile nie był w Obronnem, zjawiał się na rzece. Tu marzył, snuł zdobywcze projekty, i często głośno je wypowiadał, jakby mówiąc do fal. Zebrało się w jego duszy mnóstwo zapytań i zagadnień, odpowiadał na nie śmiało, bez wahania, lecz one wciąż nasuwały się uparcie zawsze te same. Pragnął Luci i wiedział, że już ją zdobył. Ale chciał, aby myśli jej należały do niego i uczucia i każde drgnienie serca. Pragnął ze swej strony ofiarować jej to samo, i był pewnym siebie. Nie miał żadnych wątpliwości, że Lucię kocha i, że zabezpieczy jej szczęście, gdyż znał dokładnie stan swojej jaźni duchowej. Odczuwał w sobie wiele porywów uspakajających go. Brzydził się istnieniem pospolitego światowca, gogusia, żyjącego zmysłami, dobrem śniadaniem i zabawą, który dba jedynie o poprawny krawat, jeszcze poprawniejszy smoking i najpoprawniejszy kapelusz. Bohdan chciał dążyć do poznania prawd głębokich, do ujarznienia swych namiętności, i osiągnięcia ideału życiowego. Chciał zdobyć szczęście; uważał je jeśli nie jawnym, to utajonym celem każdego człowieka. Ale on chciał szczęścia zdobytego mocą ideału. Rozumiał, że z brudnej kopalni przeróżnych pokładów, jaką jest istota ludzka, wydobyć czysty kryształ, to praca zmudna; chcąc ją spełnić, nie należy opuszczać

rąk, lecz pracować z wzrokiem zapatrzonym w wyż. Pić ten prąd ożywczy, który nie każdy zdoła uchwycić w porę, by wchłonąć go do duszy skurczonej ziemskością.

Młody Michorowski, jakkolwiek liczył zaledwo dwadzieścia pięć lat, przeżył już dużo walk, rozterek, zawodów i życiowych goryczy. W tym odmieńcu nie zatracił duszy nie zochydził serca. Teraz, gdy owładnęło nim uczucie szczere i czyste, żałował, że w jego krótkiej przeszłości były męty... były i błyskawice. Ale każdy mniej więcej przechodzi w życiu przez szlak błyskawic, zanim dosięgnie istotnego i trwałego światła szczęścia. Bańienko pustoty i nędzy moralnej, każdemu choć chwilowo zachlupie pod stopami, tylko jeden grzęźnie bez wyjścia, drugiego zaś jakaś twórcza potęga wyniesie na suchy, ale żyzny grunt. Ta moc zbawcza znajduje się w duszy ludzkiej, tylko, trzeba ją poznać w sobie i pobudzić niezłomną wolą. Słabość usypia ją, bierność — niweczy zupełnie.

Bohdan w Rusłocku pierwszy raz odczuł w sobie tę siłę, długo z nią walczył, zanim popchnął do czynu. Dźwignią była przemożna wola i miłość dla Luci, również w Rusłocku poczęta. Poprzedziła ją tęsknota, której Bodzio wyraźnie nie pojmował. Dopiero w Głębowiczach, podczas świąt Bożego Narodzenia, przed wyjazdem Luci do Paryża, przekonał się, że ją kocha. Pomimo to zgodziłby się, aby została żoną Waldemara, ale znając stan uczuć ordynata, lękał się o szczęście Luci. Przeczuwał, że u niej to neurastenja, ale nie miłość.

Zaręczyny baronówny z Brochwiczem, upewniły Bodzia w jego przeczuciach, i zarazem stały się zachętą do ryzykownej walki. Podjęta w celu ratowania Luci od zguby, z głęboko ukrytą w sercu młodzieńczą samolubną myślą, walka skończyła się dla niego zwycięstwem.

Teraz marzył o szerokich zakresach w życiu dla siebie i dla Luci. Posada administratora w Biało-Czerkasach była dla Michorowskiego na razie wystarczającą; dobra wołyńskie bardzo rozległe, ale mniej kulturalne niż Głębowicze, przedstawiały duży teren pracy. Bodzio tworzył obszerne widoki swej działalności, pragnął iść w ślady Waldemara i ufał w swoje siły. Lecz jego bujna fantazja sięgając w przyszłość, unosiła go po nad Biało-Czerkasy; lotem sokolim rwał się do nieznanych jeszcze obszarów marzeń. Odczuwszy w sobie hart i wolę, doznawał gorączkowych żądz, aby je uczynić niezłomnymi.

Szczupła twarz młodziana i wydatne rysy odtwarzały wiernie wszystkie prądy wirujące w jego duszy. Ciemne oczy gorzały zapalem i myślą, cała postać odznaczała się czystością linii odrębnych, śmiałych, nie tracąc wytworności. Ruchy były zdecydowane, głos dźwięczny nabrał tonów niskich i brzmiał swobodnie, wyrzucany z piersi bogatą skalą.

Bohdan kipiał niezmiernie żywym temperamentem.

Ordynat wyczuwał przełomy wewnętrzne swego ulubieńca, sprawiały mu one wielkie zadowolenie. Mimowoli nasuwały się mu pytania, coby się stało z Bodziem, gdyby go był nie spotkał w Nicei.

I Waldemar doszedł do wniosku, że, tą czy inną drogą, Bohdan zawsze by się wydzwignął, bo nosił w swej istocie zarodek męstwa nie mogący być zdławionym przez nędzę bytu, i nawet brnąc po nizinach moralnych, wspiał by się z czasem na ich wyżyny. Waldemar nie czuł się dumnym, jedynie szczęśliwym, że odrodzenie kuzyna stało się za jego pośrednictwem.

Już teraz ordynat nie obawiał się o przyszłość młodzieńca. Wierzył w jego siły do zdobywania życia.

.

Zbliżał się termin wyjazdu Bohdana do Biało-Czerkas.

Baronówna sposepniała.

Ogarnął ją przestach, co pocznie bez niego. Stał się dla niej koniecznym. Już umiała sobie zdać sprawę z uczuć, nurtujących ją, chciała Bohdana zatrzymać bezwarunkowo.

Kilka tygodni żyła nadzieją, że on nie wyjedzie. Nieznacznie nadmieniła o tem ordynatowi, że Bohdan powinien być dłużej praktykantem w Głębowiczach. Mówiła to samo Bodziowi, jednocześnie karcąc się za swój egoizm.

Chłopak odkładał wyjazd z dnia na dzień. Ale Waldemar, pomijając wszystko, był stanowczym. Oznajmił swemu faworytowi, że powinien jechać zaraz, albo wcale.

W przeddzień wyjazdu młodzieniec zjawił się w Obronnem późnym wieczorem. Po kolacji pożegnał się oficjalnie z księżną i z Lucią. Ściskając rękę dziewczyny popatrzył w jej oczy z taką siłą i wymową, zarumieniła się gwałtownie, ale zrozumiała.

Odrzekła szeptem:

— Czekaj na mnie: będę.

Bohdan pocałował obie jej dłonie.

Gdy pałac pograżył się w ciszy nocnej, młody człowiek zgasił światło, otworzył okno w swoim pokoju i czekał ze drżeniem w sercu.

— Tylko tu przyjść może, skoro zrozumiała — myślał.

Niepokój szarpał mu nerwy.

Przez okno wpływały szумы wiosennej nocy i zapachy wilgotne a delikatne z krzewów i sypiących się traw. Gdzieś, w od dali rechotały żaby, księżyc majaczył słabo, blady, jakby powleczone srebrem. Cisza trwała poetyczna, rozpinająca na swych krosnach pajęczyny marzeń, tajemne westchnienia tęsknoty.

Rzewność sączyła się z mętnej pomroki nocnej, okadzonej wonią świeżej ziemi.

Przed północą zaszemrały w pokoju ciche kroki Luci.

Bohdan przyciągnął ją do otwartego okna.

— Przyszłaś?... Jesteś u mnie! Jakaś ty dobra! szeptał, szczęśliwy, i całował jej rękę.

Lucia zawisała mu na ramieniu.

Bodzio, pomimo szarości w pokoju, ujrzał blisko siebie duże oczy dziewczyny, pałające i smutne.

— Luciu, ja wyjadę do Biało-Czerkas, ale... z tobą — szepnął poruszony do głębi.

Ona potrząsnęła głowę.

— To niemożliwe.

Teraz, będziesz ze mną duchem, w sercu cię powiozę, ale... ja przyjadę by zabrać ciebie całą, swoją własność, już nazawsze. Boś ty moja. Wiódł nas do siebie taki bożek, którego nikt nie spostrzegął. Dotyk jego skrzydełek czułem dawno, teraz już i ty odczuwasz ten urok wszechpotężny. Bożek naszego przeznaczenia złączył nas i odkrywa przed nami szerokie horoskopy. Idźmy, Luciu, w ten wszechświat. Tyś moja, więc pójdiesz, iść musisz! Pragniemy tego wspólnie.

Lucia drżała, ale nie przeczyła. Cisza nieznaną a poważną wypełniła całą jej istotę, unosząc w przestworza dobre i melodyjne. Z ustami blisko ust Bodzia przemówiła cichutko:

— Więc babcia nam wywróżyła: Zaczynamy żyć; przeszłość była tylko prologiem. Więc my we dwoje...

— Będziemy wreszcie szczęśliwi — dokończył Bohdan. — Tobie, ukochana, chcę ofiarować to, czegoś w życiu nie zaznała. Idziesz ze mną: czy tak?

— Na całe życie! — odrzekła Lucia ze szczerą, spokojną pewnością siebie.

Bohdan z uczuciem przedziwnej rzewności ogarnął ją ramionami. Rozpalone jego usta sparzyły jej szyję mocnym pocałunkiem. Przysunęli się do okna i pili razem upojenie serc własnych, pili nektar nocy wiosennej. Dobrze im było z sobą i zacisznie. Szmer słów miłosnych potwierdzał tę przeuroczystą chwilę najistotniejszych i najtrwalszych zaślubin.

Pieszczota spojrzeń płomiennych wystarczała im. Byli spleceni z sobą duchem, serca ich pulsowały razem, myśl łączyła się w jedną smugę świetlistą.

Czynili sobie szczerze wyznania początku swej miłości, rozwój tych uczuć analizowali wspólnie. Upojeni czarem, widzieli przed sobą łąki, usiane kwiatem lotosu.

— Lucia — szepnął Bohdan — patrz! świta na niebie. Wstaje ranek.

— To jest nasz wschód — odszepnęła przytulona do narzeczonego, pełna ufności, że szczęście obecne nie jest złudą.

Różowe źrenice jutrzeńki spoczęły łagodnie na twarzach zakochanych i zabarwiły je kolorem delikatnym jak pączki kwiatu jabłoni.

Świergot ptaków zadzwonił perliście, szepty poranne rozniosły się w parku, budząc wszystko, co jeszcze spało.

Jaskółka w chybkim locie, frunęła do otwartego okna i zatrzepotała z kwileniem radosnem, nad pochylonemi ku sobie głowami narzeczonych.

— To nasze pierwsze błogosławieństwo — rzekł Bohdan. A ptaszyna śpiewała nad nimi hymn weselny. Poczem uniosła się w powietrze, lecąc wprost na łono jutrzeńki.

Bohdan i Lucia zamieniali z sobą słowa pożegnalne.

LII.

Pan Maciej Michorowski po drażliwej rozmowie z Waldemarem, w której raz jeszcze powracał do nieszczęsnej sprawy małżeństwa ordynata, uczuł się zrozpaczonem.

Starzec trząsł się konwulsyjnie. Suche ręce oderwał od fotelowego oparcia i drżące wyciągnął do Waldemara.

— Co będzie... Co będzie, na Boga?!



Patrzy na nią w ekstazie bezpamiętnej . . . (str. 179)

Ordynat utkwiał w nim spokojne oczy.

— Ze mną, dziadziu, czy z ordynacją?...

— Ach! — krzyknął pan Maciej.

Rozwarte jego palce skuliły się, ramiona opadły.

— Ten twój wieczny spokój! ta ironja!... — wołał z drażliwym smutkiem.

Waldemar wziął go za rękę i przemówił łagodnie. Jakieś wesele drgało w jego głosie.

— Nie, dziadziu, to nie ironja, to tylko odróżnienie pytań. Bo widzisz: ja pozostanę już i nadal, tak jak dziś, bez zmiany. Mówiąc to, zadzwonił.

— Proś młodego pana — rzekł do kamerdynera.

Starzec patrzył na niego nieprzytomnie, z obwisłą dolną wargą.

Wszedł Bohdan.

— Wzywałeś mię, wuju?...

Waldemar serdecznie spojrział w poważną twarz kuzyna, wziął go za rękę i przyciągnął ku sobie.

Zwrócił się do starca.

— Oto jest mój następca, przyszły ordynat Michorowski na Głębowiczach, obecny właściciel dóbr Biało-Czerkaskich. O ordynację, dziadziu, bądźmy więc spokojni.

W wielkiej ciszy, jaka zapadła po tych słowach niespodziewanych, rozległ się okrzyk Bohdana:

— Wuju?!

Waldemar uściśnął młodzieńca i rzekł z uśmiechem dziwnie promiennym:

— No, chłopcze, nie miejże miny tak zdumionej. Do Biało-Czerkas przyjedziesz nie jako administrator, ale jako właściciel. Biało-Czerkasy będą szkołą dla ciebie; dopiero tu rozpocznie się twoja praca prawdziwa.

Bodzio przypadł do ramienia ordynata, ucałował je z uczuciem, z wybuchem szału.

Tchnął szczęściem i porywem młodości.

Tego, co nań spadło nie przewidywał w najśmielszych rojeniach swych.

Niespodzianka była zupełną i olbrzymią.

Ordynat odsunął go lekko od siebie, przyjrzał się jego twarzy rozjaśnionej.

— Bodziu, co tobie?!

— Drogi wuju! Twoja hojność jest bardzo cennem dopełnieniem mego szczęścia... innego, o którym jeszcze nie wiesz. Jestem narzeczonym Luci Elzonowskiej — rzekł młody człowiek, z oczyma błyszczącemi radością.

Wrażenie było ogromne, na razie nie oczekiwane.

Pan Maciej powstał ciężko z fotela i drżący oparł dłonie o poręcz rzeźbioną. Oczy skierował na Bohdana, oczy starcze może już ostatni raz do głębi wzruszone.

Waldemar nie zdziwił się samym faktem ile jego nagłością. Uczuł wielki ciężar na duszy kruszący się w pył. Wyrzuty, które czynił był sobie co do Luci, miały więc umilknąć na zawsze. Był już o nią spokojny.

Uściskawszy ulubieńca rzekł serdecznie:

— Wierzę w szczęście wasze, które was szukało i na któreście zasłużyli. Ufam tobie chłopcze, przekonałem się, że potrafisz chcieć. Czego pragniesz, zawsze to zdobędziesz. Przeciwności zwyciężasz. Pozostań takim i nadal.

Gdy pan Maciej całował czoło Bohdana powierzając mu wnuczkę, Waldemar rzekł z zapałem:

— Przyznaj, dziadziu, że mam następcę, godnego rodu Michorowskich.

W dniu zaręczyn młodej pary, zamek głębowicki, głuchy i jakby ciemniejszy od zgonu narzeczonej Waldemara, zajaśniał dawnym przepychem i życiem. Wielka chorągiew, na baszcie, rozwinęła swe błękitne skrzydło. Igrał z niem wiatr majowy, pieściło słońce.

Bohdan, szczupłemu gronu zebranej rodziny, sąsiadom, administracji i tłumom służby miejscowej, przedstawionym został jako przyszły ordynat głębowicki.

Ponieważ był ogólnie lubianym, więc wiadomość przyjęto serdecznie, chociaż ze zdumieniem. Ale na Waldemara spoglądano smutnie.

On zaś po dniu skończonym, przy zorzach wieczornych, myśli swe tęskne z promiennej przeszłości, w której się nurzały, skierował na przyszłość.

Pozostała mu już tylko akcja czynów społecznych, z jej hasłem pójdzie dalej, ona mu będzie wskazówką przewodnią bytu.

Ordynat stojąc na marmurowych schodach przystani, patrzył na szumiącą rzekę, przetkaną zachodem słońca, patrzył na skłon nieba i na świetne korony drzew zwierzyńca, patrzył i myślał

łowił minione lkarje swej szczęśliwości. Radość miał w duszy, że oto najdroższych obrazów swego życia nie zatarł, że utopia urocza, ideału pełna, pozostanie z nim na zawsze.

Zaślubił ją mocą uczuć swych i wiernym jej pozostanie, stopi się z nią, zjednoczy nierozdzielnie.

Żrenice ordynata, uchwyciły na obłokach cudną wizję spływającą ku niemu. Wiotka, śliczna, sunęła niby ptak mistyczny, w przelocie muskając wirchy drzew, że pod dotknięciem jej stóp szemrały śpiewnie. Zfrunęła na białą pianę wód i szła cicho, urokiem natchniona, zda się anielska. Niosła do duszy ukochanego miłość nieskończoną, niezmiernie otchłanie tęsknot i marzący szept wdzięczności, i ukojenie i otuchę na pracę życia.

Niosła mu wszystkie skarby, które on czcił i w sercu swem ukrywał, które wielbił stale i pieścił wyobraźnią wzmocnionego uczuciem ducha. Szła po fali rozświetlonej — jego wieszczka, bóstwo uświęcone w jego jestestwie, ta jedyna, jasna postać, która odleciała od niego... by wiecznie trwać. Duch jego był tam, z nią, i teraz gdy ona idzie po szeleszczących wodach, jest jakby odbiciem wnętrza jego ducha. Serce, nerwy witały ją jak swoją mieszkankę stałą, jak dziecko najdroższe, wzrok pochłaniał ją z uszczęśliwieniem, z religijną czcią.

Już jest blisko. Waldemar czuje ją przy sobie; jakiś delikatny wiew słów, nieziemski pocałunek, jej tchnienie.

Usta ordynata szepcą z zachwytem:

Ty... moja!...

Patrzy na nią w ekstazie bezpamiętnej, złożony ogniskami zorzy.

